POSZUKIWANIA GROBU „HUBALA”
Wieloletnie śledztwo w tej sprawie prowadzi do zabytkowego kościoła

PRZEMIANA ŚW. FRANCISZKA
800 lat temu zmarł święty, który zapoczątkował odnowę Kościoła

WIELKIE ARKTYCZNE EKSPEDYCJE
Dopiero w latach 30. XX w. naniesiono na mapy ostatni nieodkryty kawałek lądu

NR 10(164)/2026 PAŹDZIERNIK 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

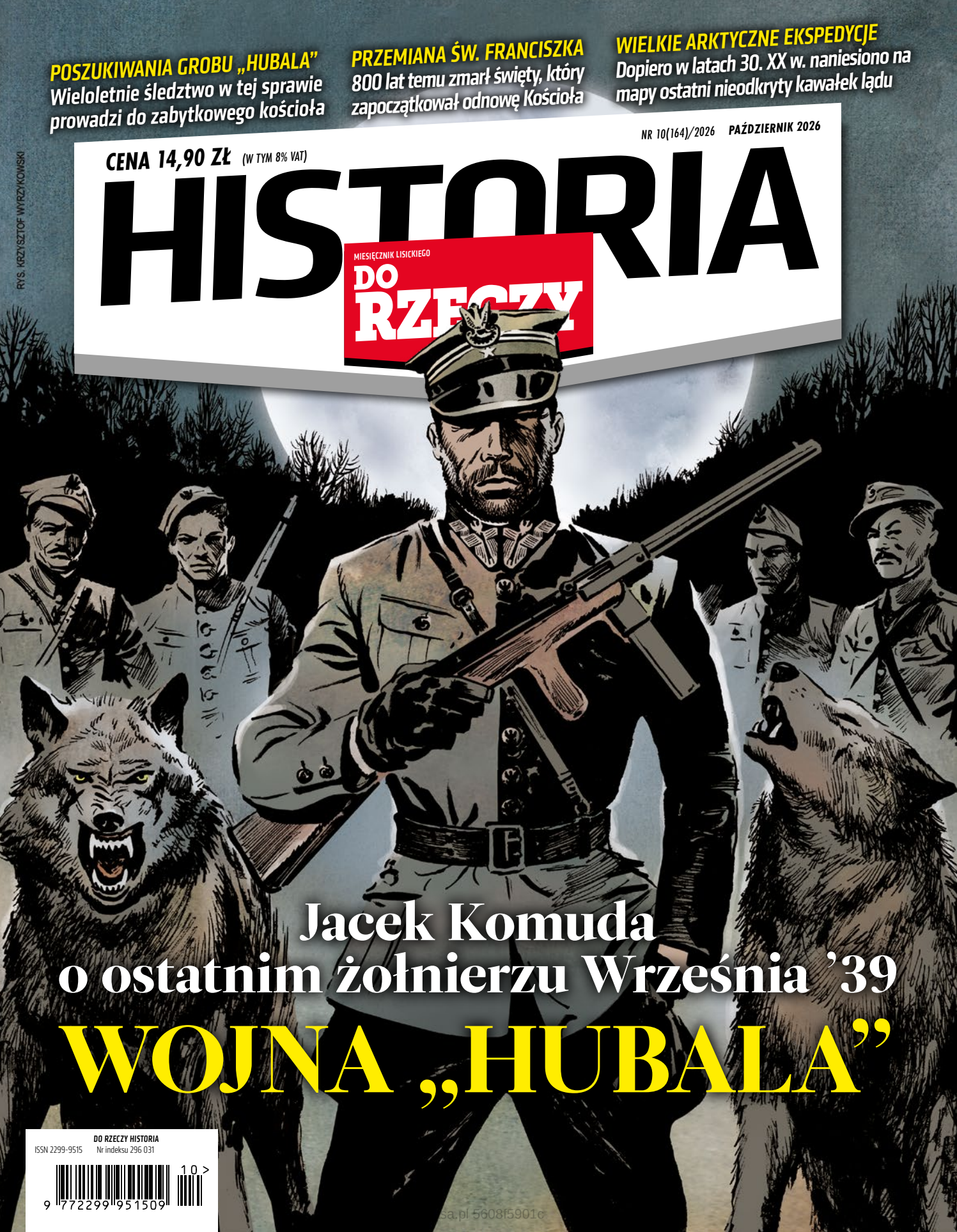

Jacek Komuda o ostatnim żołnierzu Września ’39

WOJNA „HUBALA”

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
10 >
9 772299 951509

sa.pl 5608f5901c

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 5608f5901c

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: **Weronika Trzeciak**

OKŁADKA: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890**

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, wrzesień 1939 r.

Dziewięcioletni Ryszard Pajewski na ruinach rodzinnego domu. Zdjęcie Juliena Bryana

FOT. JULIEN BRYAN/IPN/COMMONS.WIKIMEDIA

Od redaktora / Piotr Włoczyk

Śladami „Hubala"

To nie był oficer łatwy w obejściu. Jego wrodzona niepokorność sprawiała, że miał skłonność do konfliktowania się z przełożonymi. Jak bez ogródek pisze Jacek Komuda w głównym tekście październikowego numer „HDR", zdarzało się wręcz, że jego niesubordynacja źle wpływała na gotowość bojową całej jednostki, w której służył. Aż w końcu, mówiąc wprost, wyleciał z wojska tuż przed wybuchem wojny.

Gdy jednak Niemcy zaatakowali Polskę, mjr Henryk Dobrzański rzucił się w ogień walki i nie oglądał się na nic. Za wszelką cenę chciał walczyć w mundurze, nawet gdy wszyscy inni dawno już złożyli broń. Tak narodził się „Hubal" i jego legenda. Legenda „ostatniego żołnierza Września", jak często bywa nazywany mjr Dobrzański.

Jednak jego działalność w czasie okupacji to nie tylko przedmiot fascynacji miłośników polskiej historii, lecz także zarzewie sporu, który wciąż dzieli historyków. Powodem są bardzo krwawe niemieckie pacyfikacje odwetowe wsi położonych na terenach, na których działał mjr Dobrzański.

„Hubal to bohater, oficer zasłużony dla Polski, któremu należy się państwowy pochówek z honorami wojskowymi" – mówi w wywiadzie z „HDR" Dariusz Szymanowski, prezes Stowarzyszenia „Wizna 1939", który od 2016 r. prowadzi – wraz z innymi członkami stowarzyszenia – swoje własne śledztwo w sprawie miejsca pochówku „Hubala". Wiele wskazuje na to, że już niedługo polskie media obiegnie elektryzująca wieść: odnaleziono szczątki mjr. Henryka Dobrzańskiego! Jest tylko jedno „ale". Stowarzyszenie „Wizna 1939" wciąż nie może się doczekać zezwolenia ze strony instytucji państwowych na podjęcie prac na terenie pewnego zabytkowego kościoła... ©℗

eprasa.pl 5608f5901c

/ TEMAT NUMERU

.6 JACEK KOMUDA
Wyrok na „Hubala”

.12 JAKUB OSTROMĘCKI
Ślepy odwet

.16 DARIUSZ SZYMANOWSKI
Wiem, gdzie leży „Hubal”

.20 MAREK GAŁĘZOWSKI
Niezgoda na niewolę

.24 PIOTR ZYCHOWICZ
Dwa oblicza „Hubala”

eprasa.pl 5608f5901c

/ CZASY I LUDZIE

.26 SŁAWOMIR KOPER
Duomo, czyli dusza Florencji

.30 ANNA SZCZEPAŃSKA
Arktyczni pionierzy

.34 MAŁGORZATA BOJANOWSKA
Piekło i ratunek w Dulagu 121

.38 MIKOŁAJ IWANOW
Zagadka śmierci Gorkiego

.42 PIOTR WŁOCZYK
Od krezusa do kryzysu

.46 PIOTR SEMKA
Królewskie trio kontra Hitler

.50 KRZYSZTOF DROZDOWSKI
Mrzonka sojuszu II RP i III Rzeszy

.54 TOMASZ STAŃCZYK
Zakochany w Pani Biedzie

.58 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Macedońska beczka prochu

.62 RADOSŁAW WOJTAS
Pechowe statki i szczęściara Violet

/ CO CZYTAĆ

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Literacki poker Weyssenhoffa

.70 **Recenzje**

/ FELIETONY

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Jałta-bis

.73 PIOTR SEMKA
Nieoczywistości 1968 r.

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Śladami Pyrrusa

.78 MICHAŁ MACKIEWICZI
Relikty z wrześniowych pobojowisk

/ TECHNIKA

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Bezsensowna broń

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Polski Edison

eprasa.pl 5608f5901c

ARCHIWUM W KIELCACH PAŃSTWOWE

1897–1940 / Życiowe wybory majora Henryka Dobrzańskiego

Oddział „Hubala". Wśród jego członków jedyna kobieta – Marianna Cel

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM PAŃSTWOWE W KIELCACH

Wyrok na „Hubala"

Jacek Komuda

Nazywano go przeróżnie: „Żelaznym Majorem", watażką, „malowanym chłopcem", sprawcą pacyfikacji wsi, pierwszym partyzantem... Mimo trudnego charakteru „Hubal" dobrze przysłużył się Polsce, a oskarżanie go o powodowanie tragedii mieszkańców wsi nie przystaje do rzeczywistości

Połowa marca 1940 r. Podczas postoju w Kamiennej Woli do słynnego „Hubala" przybywa ppor. „Czarny", wysłannik komendanta Związku Walki Zbrojnej w Końskich. „Czarny" przywiózł ze sobą rozkaz niejakiego „Grabca", wzywający do rozwiązania oddziału i – wobec dwukrotnego już niewykonania rozkazów – grożący sądem wojskowym. Jak podaje Józef Wyrwa, „Hubal" nakazał wówczas najpierw rozstrzelać posłańca, a odwiedziony od tego przez ks. Edwarda Ptaszyńskiego miał napisać w odpowiedzi znamienne słowa: „Żadnych Grabców nie znam. Tak Grabca, jak i jego rozkazy mam w dupie".

Problem w tym, że – jak pisze Jacek Lombarski – nie znamy dziś ani autentycznej treści przywiezionego rozkazu, ani prawdziwej odpowiedzi „Hubala". Ponadto wielu autorów przekręcało pseudonim osoby wydającej rozkaz na „Grabicę" – był to konspiracyjny pseudonim gen. Stefana Grota-Roweckiego. Tymczasem faktem jest, że rozkaz przyszedł od enigmatycznego... „Grabca", a nie „Grabicy", co sprawiało, że mjr Henryk Dobrzański, znający przecież prawdziwy pseudonim generała, uznał, iż nie pochodzi on od właściwej osoby. Grożenie sądem siłą rzeczy mogło wywołać wściekłość majora, bo przecież niedawno gen. Leopold Okulicki pozwolił mu na zatrzymanie pod komendą 30 żołnierzy w umundurowaniu, czyli więcej, niż służyło wtedy w jego oddziale.

W tym czasie przyszła wieść o pacyfikacjach wsi, egzekucjach w Gałkach, Hucisku, Skłobach i Królewcu oraz aresztowaniach w innych wioskach. Była to zemsta SS za porażki poniesione w walce z oddziałem „Hubala". Okrucieństwa wywołały wstrząs u majora, który postanowił kwaterować w lasach, aby oszczędzić ludności cierpień.

Kiedy jego oddział przebywał pod Wólką Kuligowską, „Hubal" zdecydował się wysłać do Warszawy swojego podkomendnego, Józefa Wyrwę, aby ostatecznie wyjaśnić sprawę rozkazu i gróźb

eprasa.pl 5608f5901c

wystosowanych przez „Grabca"/„Grabicę". Nie doszło do tego, bo już 29 kwietnia miały miejsca kolejne starcia z wojskiem niemieckim, tym razem z prowadzącą obławę 372. Dywizją Piechoty Wehrmachtu. Dzień później miało dojść do walki, w wyniku której „Hubal" na zawsze trafił do panteonu polskich patriotów...

Za wszelką cenę do armii

Kim tak naprawdę był Henryk Dobrzański? Spójrzmy na niego jako na człowieka ukształtowanego przez epokę XIX stulecia, które zakończyła, jak opadająca kurtyna, pierwsza wojna światowa. Henryk Feliks Józef urodził się w Jaśle w 1897 r. jako syn Henryka Dobrzańskiego i Marii z hrabiów Lubienieckich. Jego przodkowie mieli szlacheckie pochodzenie i wychowani byli w tradycjach sięgających powstania listopadowego, jednak dopadła ich proza życia. Ojciec bohatera pracował w przemyśle naftowym, ale z powodu wykrycia nieprawidłowości w spółce, którą prowadził, uciekł, pozostawiając żonę z dziećmi. Nie interesował się ich losem do tego stopnia, że rodzina traktowała go jak zmarłego. Młody Henryk wychowywany był przez matkę, gorącą patriotkę, a brak ojca ukształtował jego charakter jako człowieka niepokornego. W 1907 r. pani Maria przeniosła się do Krakowa, gdzie pięć lat później jej syn zgłosi się do II Drużyny PDS (Polskich Drużyn Strzeleckich) i przejdzie w niej szkolenie wojskowe. Wkrótce Henryk wstąpi do Legionów, fałszując datę urodzenia (dodając sobie rok życia), a także twierdząc, że zdał maturę, podczas gdy w rzeczywistości nie przystąpił do egzaminu. Podstęp jednak się udał i chłopak został przyjęty.

Kiedy wybuchła wojna, rodzina przeniosła się do wsi Czechy koło Słomnik. 1 grudnia 1914 r. Dobrzański zgłosił się do służby i został skierowany na kurs podoficerski, po czym służył w plutonie kawalerii sztabu przy komendzie Legionów Polskich. Na własną prośbę przeniesiono go do 2. Pułku Ułanów Legionów Polskich. Doświadczenie zdobywał w okopach, w czasie walk pod Wołczkiem. Brał udział w powstrzymaniu rosyjskiej ofensywy Brusiłowa pod Rudką Miryńską.

W 1917 r. doszło do „kryzysu przysięgowego", gdy brygady legionów I i III odmówiły złożenia przysięgi w której była mowa o sojuszu z armiami Niemiec i Austro-Węgier. Dobrzański należał do tych żołnierzy, którzy przysięgę złożyli i kontynuowali służbę w Polskim Korpusie Posiłkowym. Skierowano go następnie do szkoły podchorążych. Jednak nie dane mu było ukończyć tego szkolenia, ponieważ po ogłoszeniu traktatu brzeskiego część oddziałów zbuntowała się i przeszła pod Rarańczą na teren Rosji, gdzie połączyła się z II Korpusem Polskim. Dobrzański był wśród nich, został jednak schwytany, rozbrojony i wraz z innymi legionistami umieszczony w obozie na Węgrzech, gdzie panowały tragiczne warunki. Nie załamał się jednak, uciekł i ukrywał się w majątkach Głębowice oraz w Czechach koło Słomnik.

Henryk Dobrzański

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

Po upadku wiedźmy Austrii zgłosił się do 2. Pułku Ułanów, wziął udział w walkach z wojskami ukraińskimi i w pierwszej odsieczy Lwowa. 1 marca 1919 r. za zasługi awansowany został do stopnia podporucznika. 10 lutego 1920 r. w Pucku wziął udział w symbolicznym akcie zaślubin Polski z morzem. Zasłużył się w czasie wojny z bolszewikami, a po ataku 1. Armii Konnej odznaczył się pod Bielawiejką, Szczurowicami i Klekotowym, za co otrzymał stanowisko adiutanta 2. Pułku Szwoleżerów. Za męstwo wykazane w bitwie pod Komarowem i w trakcie zagonu na Korostień przyznano mu Order Virtuti Militari.

Garnizon i sport

Po zakończeniu wojny Dobrzański wraz z 2. pułkiem znalazł się w Bielsku, a w maju 1922 r. został awansowany (nie bez pewnych problemów) do stopnia rotmistrza. Później odkomenderowano go do Centralnej Szkoły Kawalerii na kurs dowódców szwadronów. Od 1923 r. wchodził w skład Grupy Olimpijskiej Centrum Wyszkolenia Kawalerii i brał udział w zawodach. W styczniu 1927 r. został awansowany do stopnia majora i – jak czas pokazał – miał to być jego ostatni awans za życia. Kolejny – na stopnień pułkownika – nadany mu został pośmiertnie w 1990 r.

Młodość i pierwsze lata służby Dobrzańskiego podobne były do losów wielu młodych ludzi, którzy zaciągali się do Legionów, przerywając naukę i nie zdobywając pełnego wykształcenia. A jednocześnie robili kariery w wojsku i polityce, nie zawsze mając pozytywny wpływ na rozwój kraju. Część z nich tworzyła koterie związane z marszałkiem Józefem Piłsudskim, a także zamknięty układ towarzyski w wojsku. Dobrzański jednak stronił od polityki; nie znajdujemy informacji o tym, aby zawdzięczał karierę znajomościom. Wczesne wejście w dorosłość, przerwana nauka (nie uzyskał przed wojną matury!) i brak ojca ukształtowały jego charakter jako oficera, który w czasie pokoju nie potrafił odnaleźć się w zwykłej, garnizonowej służbie. Surowy i wrogi układom w wojsku nie był, mówiąc dzisiejszym językiem, „plecakiem" mającym poparcie wyższych szarż.

W tym czasie rozpoczął karierę sportową i powołany został do reprezentacji, która pojechała do Nicei na zawody hippiczne. Ekipa zdobyła Puchar Narodów, a Dobrzański wygrał konkurs o nagrodę Monaco. Brał udział w zawodach w Londynie, gdzie otrzymał od księcia Walii złotą papierośnicę. Niestety, po powrocie do 18. Pułku Ułanów w Grudziądzu służba już się nie układała; rozpoczął wędrówkę po różnych garnizonach,

eprasa.pl 5608f5901c

Ekipa jeździecka na konkurs hippiczny w Nicei. Henryk Dobrzański trzeci z prawej, Grudziądz, 1926 r. FOT. NAC

przenoszony na gorsze stanowiska. Doskonale scharakteryzowała go córka Krystyna Dobrzańska-Sobierajska: „Miał rogatą duszę, był dość porywczy i bardzo ambitny. Nie potrafił być układny wobec przełożonych, mówił im prawdę prosto w oczy i nie zawsze mieścił się w karbach wojskowej dyscypliny".

Z Grudziądza Dobrzańskiego przeniesiono do Rzeszowa, do 20. Pułku Ułanów, na stanowisko dowódcy szwadronu. Odchodził w atmosferze skandalu, zdarzyło się bowiem, że jego ułani w ramach ćwiczeń wycięli szablami drzewka posadzone w parku miejskim. Nie była to główna przyczyna przeniesienia, a raczej oznaka tego, że Dobrzański nie był lubiany przez władze miasta. Nie otrzymał zwrotu kosztów przenosin, co sugeruje, że konflikt był poważny. W Rzeszowie rozpoczął się najspokojniejszy okres w jego w życiu. Poznał tam bowiem swoją przyszłą żonę, Zofię Zakrzeńską, z którą wziął ślub w 1930 r.; para doczekała się córki Krystyny. W 1934 r. Dobrzański przeniesiony został na stanowisko kwatermistrza do 2. Pułku Strzelców Konnych w Hrubieszowie. Szybko popadł tam w konflikt z dowódcą, płk. Romualdem Niementowskim. Nie pomogło także jego zachowanie podczas zawodów hippicznych, kiedy obraził Marię, drugą żonę prezydenta Mościckiego. A prywatnie kuzynkę Dobrzańskiego, która rozwiodła się z mężem, aby móc zostać pierwszą damą. Niechęć małżonki prezydenta mogła w ówczesnych realiach, pełnych układów towarzyskich, poważnie zagrozić karierze krewniaka.

Czy przeniesienie na stanowisko kwatermistrza było degradacją? Niekoniecznie. W wojsku obowiązywały wówczas pewne schematy kariery. Wymagano, żeby oficer mający awansować w przyszłości na podpułkownika, a więc stopnień pozwalający na dowodzenie większymi jednostkami, spędził jakiś czas na stanowiskach związanych z zaopatrzeniem i poznał w ten sposób funkcjonowanie struktury pułku. Gdyby Dobrzański zacisnął zęby i wytrwał, być może czekałby go awans otwierający drogę np. na stanowisko adiutanta albo zastępcy dowódcy pułku. On jednak nie był w stanie pokornie służyć, więc kolejne konflikty zakończyły się przeniesieniem go w 1936 r. do Wilna, na stanowisko kwatermistrza 4. Pułku Ułanów Zaniemeńskich. Tutaj rozpoczął się upadek bohatera tej opowieści. Po części powodem były wyznawane przez niego zasady, które sprawiły, że zyskał przydomek Żelaznego Majora (za cztery lata Niemcy nadadzą mu podobny – Szalony Major).

W nowym miejscu czekał go – jak podaje Józef Alicki – konflikt z inspektorem armii, Leonem Berbeckim, który załatwiał w wojsku własne interesy, dostarczając mleko po zawyżonych cenach. W dodatku w 1937 r. rozpadło się małżeństwo Dobrzańskiego, a Zofia Zakrzeńska wyjechała z Wilna. Major wplątał się w obyczajowy skandal – romans z Natalią „Malą", hrabiną Czapską, która mieszkała ze starszym mężem.

Dobrzański dosłownie porywał ją, zabierając na spacery, a ich związek stał się w miejscowym towarzystwie znaną sprawą. Doszło do tego, że – jak wspominała Irena Bączkowska – kiedy pewnego razu wrócił ze spaceru z wybranką, dwór był zamknięty, a walizki pani Mali spakowane. Stojący obok lokaj powiedział, że pan hrabia kazał przekazać: „Pani do domu nie wpuścić, a pan major ma sobie panią zabrać". W ten sposób „Mala" zamieszkała u Dobrzańskiego, a sprawa ta przypieczętowała koniec jego kariery. W 1938 r. został przeniesiony na stanowisko dowódcy szwadronu zapasowego 4. pułku, który znajdował się w Wołkowysku. Uczynił to dowódca, ppłk dypl. Zdzisław Chrząstowski, wrażliwy na punkcie honoru żołnierskiego. Było to zesłanie i degradacja, zwłaszcza że major nie otrzymał kolejnego awansu, chociaż był popierany przez gen. Juliusza Rómmla.

Trzeba powiedzieć wprost, że na nowym stanowisku Dobrzański, biorąc pod uwagę okres, w którym funkcję tę sprawował – przełom lat 1938 i 1939 – zachował się haniebnie. Porzucił służbę i nie wykonywał obowiązków, zapewne wiedząc już, że jego kariera właśnie się skończyła. W marcu 1939 r., a więc w obliczu zbliżającej się wojny, został przez nowego dowódcę 4. pułku, ppłk. Ludomira Wysockiego,

Pośmiertna fotografia „Hubala"
FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

eprasa.pl 5608f5901c

Miejsce wigilii oddziału „Hubala" w Bielawach

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AUSLODZ

zawieszony i oddany pod sąd za… porzucenie stanowiska. Dobrzański bawił się z kochanką, jeździł na bale i polowania, w ogóle nie pojawiając się w jednostce. Wydaje się, że sprawa zakończyła się polubownie. Według dokumentu z 31 maja 1939 r. Dobrzański przeniesiony został w stan spoczynku w toku postępowania komisji rewizyjno-lekarskiej. W chwili wybuchu wojny był więc cywilem!

Kwestia jego służby w szwadronie zapasowym może nie budzić większych emocji jedynie u człowieka, który nie rozumie, czym tak naprawdę zajmowała się taka jednostka. Otóż szwadron zapasowy był zapleczem gospodarczym i materiałowym pułku. Tutaj szkolono konie dla ułanów, przygotowywano rzędy, broń i wozy taborowe do walki, a w razie wojny przeprowadzano mobilizację rezerwistów, co miało ogromne znaczenie dla jednostki. Jeśli więc 4. Pułk Ułanów w czasie wojny obronnej miał braki w koniach i rynsztunku, to winę ponosił za to właśnie mjr Dobrzański.

Wrześniowy wygnaniec

Nic zatem dziwnego, że w pierwszych dniach września 1939 r. Dobrzański jeździł po garnizonach, szukając przydziału. Nie było to proste, gdyż wielu oficerów pamiętało jego zatargi z przełożonymi i porzucenie służby. Nie znalazł przydziału w siedzibie 2. Pułku Strzelców, został powołany dopiero w Białymstoku, stając się zastępcą dowódcy 110. Rezerwowego Pułku Ułanów. Co ciekawe, przygarnął go desperat podobny do Dobrzańskiego – ppłk Jerzy Dąmbrowski, legendarny dowódca samoobrony wileńskiej z lat 1918 i 1919, zagończyk i oficer KOP. W składzie tej jednostki Dobrzański wziął udział w marszu brygady kawalerii na Wilno, a następnie do Grodna. Pierwsze walki stoczył w Ostrynie i Jeziorach z komunistyczną (białoruską i żydowską) milicją. Dobrzański rozprawił się z nimi bezwzględnie, pacyfikując miasteczka i podpalając Ostrynę.

Niespodziewanie Dąmbrowski nie skierował 110. pułku do Grodna, ale samowolnie ruszył na pomoc Warszawie. 28 września w Janowie pod Kolnem podjął decyzję o rozwiązaniu pułku i o przejściu do działalności partyzanckiej lub przebijaniu się na Litwę. Wbrew tezom Zygmunta Kosztyły nie doszło do konfliktu pomiędzy Dąmbrowskim a Dobrzańskim. Uwidoczniły się po prostu różnice między obu oficerami w kwestii prowadzenia działań wojennych. Choć major chciał wyprowadzić pułk z opresji, to Dąmbrowski rozwiązał go, zamierzając kontynuować walkę dywersyjną. Dobrzański inaczej to widział – zamierzał bić się w mundurze. Ostatecznie pułk podzielił się, a major, zebrawszy ok. 40 ludzi, wyruszył na pomoc Warszawie. Jednak gdy 30 września oddział dotarł do majątku Krubki, na północny wschód od Sulejówka, okazało się, że stolica padła dwa dni wcześniej.

Dobrzański się nie załamał. Według relacji Józefa Bispinga to właśnie tutaj wypowiedział słowa: „Munduru nie zdejmę i broni nie złożę, a jak mam zginąć, to w mundurze, z bronią". Zaproponował przedzieranie się na Węgry, ale trzeba przyznać, że nie porwał jednak za sobą żołnierzy. Z oddziału liczącego ok. 50 ludzi została przy nim zaledwie połowa.

Major ruszył pod Maciejowice, gdzie miało miejsce zdarzenie wręcz mistyczne, zważywszy na fascynację Dobrzańskiego końmi. Otóż w majątku Podzamcze oddział odbił z rąk Niemców część stadniny z Janowa Podlaskiego, zdobywając m.in. wierzchowce Grom i Dzianet Hetmański, należące do marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Następnie przeprawił się przez Wisłę i stoczył potyczkę, przeprowadzając atak w szyku konnym na niemieckie ciężarówki. Jak pisał Józef Alicki: „Fantazja zagończyka zwyciężyła rozsądek". W ataku zginęło dwóch ułanów, jeden był ciężko ranny. Z wydarzeniem tym związane są kolejne kontrowersje; według relacji członka oddziału, kpt. Macieja Kalenkiewicza, przyszłego cichociemnego, zamieszczonej w 1942 r. w londyńskim dwutygodniku „Skrzydła", Dobrzański osobiście zastrzelił jeńców.

Następnie oddział stoczył kolejny bój pod wsią Wólka. Wydarzenia te stały się przyczyną konfliktu z rtm. Stanisławem Sołtykiewiczem, który sprzeciwiał się prowadzeniu podobnych akcji. Po awanturze w leśniczówce Klepacze ten ostatni opuścił oddział, a wściekły Dobrzański pozbawił go nawet konia. Major przeszedł w Góry Świętokrzyskie, gdzie w gajówce Podgórze zakomunikował decyzję o pozostaniu w kraju. Jego celem stało się wyczekiwanie na wiosenną ofensywę aliantów, a także przygotowywanie kadr dla powstania, które wybuchnąć miało po klęsce Niemców. Członkowie oddziału przyjęli pseudonimy i postanowili nawiązać kontakty z organizacją Służba Zwycięstwu Polski. Odtąd Dobrzański stał się „Hubalem", kpt. Maciej Kalenkiewicz „Kotwiczem", por. Feliks Karpiński „Korabem", a pchor. Zygmunt Morawski – „Bemem".

Struktura Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego (OW), jak nazywali się oficjalnie hubalczycy, i Bojowego Okręgu Kielce stworzona została do 24 października 1939 r. w Zychach, na północ od Radoszyc. Tym samym major stał się jednym z pierwszych twórców zbrojnej konspiracji. Niestety, na samym początku swojej działalności OW poniósł klęskę. 1 listopada w Cisowniku zaskoczony został przez Niemców i chociaż wycofał się bez strat, to utracił prawie wszystkie konie. Wtedy rozpoczęła się trwająca aż do wiosny działalność Dobrzańskiego, w czasie której zmieniał miejsca postoju, nie chcąc narażać się na atak SS i Wehrmachtu.

W grudniu 1939 r. „Hubal" spotkał się w Warszawie z gen. Michałem Karaszewiczem-Tokarzewskim, szefem byłej już Służby Zwycięstwu Polski, który zatwierdził status oddziału i rozkazał przygotowywanie kadry do przyszłych działań, ale przestrzegał majora przed

eprasa.pl 5608f5901c

atakowaniem Niemców. „Hubal" mianowany został zastępcą komendanta Okręgu Kielce, z prawem do pozostania w mundurze.

Pod koniec roku miały miejsce dwa słynne wydarzenia z historii oddziału liczącego zaledwie ok. 20 osób – wigilia w leśniczówce Bielawy koło Poświętnego i udział we Mszy św. w kościele w Studziannej-Poświętnem 1 stycznia 1940 r.

Ryszard Filipski w roli tytułowego bohatera w filmie „Hubal" Bohdana Poręby

FOT. INPLUS/EAST NEWS

„Szalony Major" czy wieczny buntownik?

W połowie zimy major rozpoczął we Fryszerce, w Anielinie i Gałkach Krzczonowskich powiększanie oddziału. Pod koniec lutego rozrósł się on do ponad 300 osób. Tym większym zaskoczeniem był fakt, że 13 marca 1940 r. do hubalczyków dotarł wysłannik Związku Walki Zbrojnej posługujący się pseudonimem Johann Miller, którym w rzeczywistości był ppłk Leopold Okulicki, komendant Okręgu Łódź, z rozkazem rozwiązania oddziału. Wywołało to sprzeciw „Hubala" i jego żołnierzy. Okulicki zaproponował jednak, aby Dobrzański pozostawił przy sobie ok. 30 żołnierzy, kawalerzystów i przeszedł w rejon Gór Świętokrzyskich lub Karpat.

Dlaczego tak się stało? Wydaje się, że rację ma Jacek Lombarski w opracowaniu „Major Hubal. Legendy i mity", który przypisuje to zmianie strategii Związku Walki Zbrojnej. Nowy dowódca, gen. Stefan Grot-Rowecki, nie widział, w przeciwieństwie do gen. Tokarzewskiego, możliwości kontynuowania walki na wiosnę. „Hubal" i jego oddział w pewnym sensie stał się ofiarą porachunków naczelnego wodza i premiera Władysława Sikorskiego z dawnymi sanacyjnymi oficerami. Służba Zwycięstwu Polski została rozwiązana w listopadzie 1939 r., gdyż została założona przez piłsudczyków; Sikorski zaś obawiał się, że nie będzie miał na nią wpływu, i powołał inną organizację: Związek Walki Zbrojnej. Dobrzański jednak wykonał rozkaz. Na szczęście tylko częściowo. Nie rozwiązał formacji, pozostawił podwładnym wolną rękę, czy chcą zostać czy odejść. Oddział zmniejszył się do ok. 70 żołnierzy.

W rzeczywistości rozkaz „Millera" oznaczał niemal wyrok śmierci – siły hubalczyków stały się niebezpiecznie szczupłe. 30 marca w Hucisku „Hubal" został zaatakowany przez zmotoryzowane pułki SS i policji, ale rozbił obławę i przebił się do Starego Szałasu, gdzie odniósł kolejne zwycięstwo. Później próbował przedzierać się w Góry Świętokrzyskie, co jednak się nie udało. Oddział musiał zawrócić; piechota została rozproszona, konni zaś przebili się przez drogę Samsonów – Odrowąż w desperackiej szarży.

Po wspomnianej na początku artykułu misji ppor. „Czarnego" i bojach toczonych przez hubalczyków w drugiej połowie marca i w kwietniu szczęście przestało uśmiechać się do ich dowódcy. 30 kwietnia nad ranem odpoczywający w lasku pod Anielinem oddział „Hubala" został zaskoczony i ostrzelany przez Niemców. Major zginął od kul karabinu maszynowego razem ze swoim luzakiem, kpr. Antonim Kossowskim „Rysiem", zabity został także koń dowódcy – Demon.

Niemcy zabrali ciało „Hubala" do Anielina, gdzie rozpoczęła się jego ostatnia podróż. To jednak nie należy do naszej opowieści. Oddział Wydzielony istniał do 25 czerwca, kiedy na spotkaniu z nowym dowódcą, rtm. Władysławem Spychalskim, został rozwiązany (po klęsce Francji niemożliwe stało się utrzymanie żołnierzy w mundurach i pod bronią). Większość jego członków przeszła później do konspiracji i oddziałów AK.

Legenda

Burza wokół „Hubala" wybuchła zaraz po zakończeniu wojny. Głównym zarzutem było pytanie, czy działalność OW i jego dowódcy była bezsensowną „bohaterszczyzną", narażającą ludność na represje, czy też był to element budowy państwa podziemnego i stawiania oporu okupantowi.

Legendę tego dowódcy zapoczątkował Melchior Wańkowicz reportażem i książką „Hubalczycy", będącą częściowo fikcją. Szybko rozpętała się burzliwa krytyka, którą rozpoczął Wojciech Sulewski, tworząc wizerunek niesubordynowanego majora, hulaki i jego oddziału – zbieraniny wyrzutków, dla których nie było miejsca w wojsku. W tym ataku wziął też udział Kazimierz Olszewski, przedstawiając „Hubala" jako epigona epoki „malowanych chłopców". Majora krytykowali ponadto Jan Rzepecki, Tomasz Strzembosz, a ze współczesnych publicystów – Piotr Zychowicz. Obrońcami „Hubala" stali się jego żołnierze i współpracownicy: Józef Alicki i Tadeusz Wyrwa, historycy (m.in. Zygmunt Kosztyła), a z młodszego pokolenia badaczy – Jacek Lombarski.

Najwięcej szumu wywołał film Bohdana Poręby „Hubal" z 1973 r., który ze względu na świetną kreację aktorską Ryszarda Filipskiego uznawany jest za kultowy, ale także kontrowersyjny. Należy jednak przyznać, że jak na czasy, w których powstawał, pokazał w miarę prawdziwie losy „Hubala". Poręba nie mógł przecież przedstawić walk Dobrzańskiego z komunistyczną dywersją i armią sowiecką. Film jednak jest – na co prawie nikt nie zwraca uwagi – kłamliwie antykawaleryjski, gdyż konni

eprasa.pl 5608f5901c

hubalczycy bez przerwy rozstrzeliwani są przez Niemców z broni maszynowej. Zupełnie, jakby miał leczyć kompleksy generalicji LWP w stosunku do przedwojennych oficerów...

Czy zatem w sprawie majora można w ogóle wydać sprawiedliwy wyrok?

Niestety, wszystkie oceny zostały sformułowane przez historyków i publicystów, którzy wiedzą, jak skończyła się druga wojna światowa. Jeśli jednak spojrzymy na decyzje majora oczami ludzi z przełomu lat 1939 i 1940, to sprawa przedstawia się inaczej.

W tamtym okresie Polacy czekali na wznowienie wojny. Zakładano, że na wiosnę III Rzesza zaatakuje Francję i zostanie pokonana, a w Polsce – jak w 1918 r. – trzeba będzie rozbrajać lub bić wojska okupacyjne. Na klęskę Niemców czekał sam Władysław Sikorski, naczelny wódz, który będąc kompletnie uzależniony od Francji, poświęcił w imię urojeń odtwarzane tam wojsko, którego nie ewakuował, licząc na wygraną sojusznika.

Taką samą postawę przyjął Dobrzański, zresztą utwierdził go w tym podejściu gen. Tokarzewski. Jego podstawowym celem nie była walka z Niemcami, ale tworzenie konspiracyjnych struktur i szkolenie rekrutów, aby mieć kadry na wiosnę. Nie jest winą Dobrzańskiego, że Francja przegrała wojnę jeszcze bardziej haniebnie niż Polska. Skoro jednak sam wódz naczelny popełnił tak katastrofalny błąd, to dlaczego mamy obwiniać za niego zwykłego majora, który postępował przecież zgodnie z oczekiwaniami rządu polskiego? Podkreślmy: Dobrzański unikał otwartej walki. Podejmował ją tylko wówczas, kiedy został otoczony lub okrążony. Bitwy pod Huciskiem i Starym Szałasem odbyły się w sytuacji, gdy jego oddział został zaatakowany przez przeważające siły wroga.

Natomiast „Hubal" realizował jeszcze dwa cele, które nie zawsze potrafiła spełnić AK. Po pierwsze, demonstrował społeczeństwu obecność regularnego, umundurowanego wojska, co podnosiło morale i pomagało lepiej znosić okupację. Inaczej przecież patrzyło się na patrole policji, butę niemieckich urzędników i wojskowych, wiedząc, że w lesie nieopodal wioski stoi „nasze" wojsko.

Drugim celem istnienia OW było zapewnianie ochrony przed bandami, a w przyszłości przed obcym i wrogim podziemiem, czyli partyzantką komunistyczną i sowiecką, czy UPA na Wschodzie. Armii Krajowej zabrakło przecież na Wołyniu, gdzie powinny zostać skierowane oddziały z Lubelszczyzny i Rzeszowskiego, w celu i likwidacji ludobójczych formacji Szuchewycza i Melnyka. Natomiast oddział „Hubala" likwidował miejscowych bandytów, jak choćby niejakiego Sawickiego.

Sąd na „Hubalem"

Czy major świadomie narażał ludność na represje i „pacyfikacje hubalowskie", jak nazwano akcje SS i policji? Zacznijmy od podstawowej kwestii – w chwili kiedy Dobrzański podjął decyzję o pozostaniu w kraju, pacyfikacje już trwały. Zaczęły się już w pierwszych dniach kampanii 1939 r. (1 września Niemcy spalili wsie Zimnowoda i Parzymiechy). W odwecie za rzekomy opór do końca miesiąca Wehrmacht i oddziały SS wymordowały 434 wsie, nie tylko na terenach przygranicznych. W Świętokrzyskiem ich ofiarami padło ok. 40 wsi, czyli więcej niż w ramach represji za działania „Hubala". Jedną z pierwszych był Kajetanów koło Radomska, podpalony i zmasakrowany 6 września 1939 r. A gdy „Hubal" spotykał się w Warszawie z gen. Tokarzewskim, zaczynała się tzw. Intelligenzaktion, mająca na celu likwidację polskiej warstwy przywódczej. W tym samym czasie rozpoczynały się też egzekucje w Palmirach, a za kilkanaście dni miało dojść do zbrodni w Wawrze.

Niemieckie władze okupacyjne zakładały przeprowadzenie na wiosnę akcji pacyfikacyjnej na terenie Generalnego Gubernatorstwa, ponieważ spodziewały się, że po rozpoczęciu kampanii przeciwko Francji w Polsce wybuchnąć może powstanie. Działalność „Hubala" sprawiła, że przeprowadzono ją we wsiach, które wspierały OW, chociaż kilka z nich, jak Skłoby czy Królewiec, nie miały związku z jego działalnością. Gdyby nie „Hubal", wymordowano by inne wsie – na pewno znalazłby się „dobry" powód. Przykładem może być dokonana 14 kwietnia 1940 r. masakra wsi w powiecie łukowskim na Lubelszczyźnie, na czele z Józefowem Dużym, które nie miały związku z jakimkolwiek ruchem oporu. Nie wiem doprawdy, skąd bierze się naiwna wiara części historyków, jak Piotra Zychowicza, że bez działalności majora Niemcy nie stosowaliby terroru, skoro jeszcze przed wojną szczegółowo zaplanowali mordowanie Polaków.

Pamiętajmy też, że po śmierci „Hubala" represje wcale nie ustały. Wprawdzie na pewien czas Niemcy zaniechali pacyfikacji wsi, ale jedynie dlatego, że zastosowali inne formy terroru. Pod koniec maja 1940 r. rozpoczęli akcję AB, w wyniku której zamordowano ponad 6 tys. Polaków. Jak widać, śmierć majora i rzekoma likwidacja oddziału nie powstrzymały ich zbrodniczych planów; pacyfikacje zmieniły się w masowe egzekucje, wysyłkę do obozów koncentracyjnych i na roboty.

Dlatego sąd nad „Hubalem" to dziś tak naprawdę generalne pytanie o sens naszego oporu i istnienia. Korzyścią płynącą z jego walki było przeszkolenie przyszłych członków organizacji podziemnych i partyzantów, jak choćby twórcy cichociemnych, kpt. Macieja Kalenkiewicza. Po stronie zysków należy też zapisać pamięć o stanowczym oporze Polaków wobec agresji. Jakiejkolwiek agresji. Rachunek ten musi brać pod uwagę nie tylko putinowska Rosja, lecz także każdy inny potencjalny agresor.

Walka „Hubala" to też niezwykła inspiracja dla kultury polskiej, filmu, książki, komiksu, gier... Jest coś porywającego w jego postaci, co widzę jako autor powieści o nim, jednej z najtrudniejszych w mojej karierze. Idąc śladami majora, poznając jego dramatyczne losy, przekroczyłem bowiem conradowską smugę cienia, stając się dojrzałym pisarzem.

Odznaka pamiątkowa „Hubalczycy"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EKSPONAT ZE SŁOWNIKA IZBY PAMIĘCI I TRADYCJI PRZY PUBLICZNEJ SZKOLE PODSTAWOWEJ IM. WANDY I HENRYKA OSSOWSKICH W KUNICACH. JAROSŁAW KRUK

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Skłoby. Cmentarz ofiar niemieckiej pacyfikacji

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MZUNGU

Niemiecka zemsta / „Mężczyzn rozstrzelać, wieś spalić”

Ślepy odwet

Jakub Ostromęcki

W czasie pacyfikacji „hubalowskich”, które pochłonęły 712 ofiar, dobór wsi był prowadzony na chybił trafił. W niektórych zaatakowanych osadach oddziału „Hubala” w ogóle nie było, a przez inne hubalczycy jedynie przemaszerowali, nie zatrzymując się

Do wymordowania polskiej wsi w czasie drugiej wojny światowej Niemcom nie trzeba było wiele. Pouczająca jest tu historia z okupowanego Pomorza, oddalonego o setki kilometrów od terenu działania „Hubala”. Otóż niejaki Fritz pewnego jesiennego dnia 1939 r. wszedł pijany z cygarem w ręku do swojej stodoły i zaprószył w niej ogień. Budynek poszedł z dymem, a wraz z nim jego niemiecki gospodarz.

O śmierć Fritza oskarżono natychmiast miejscowych Polaków, ale nawet lokalna policja była w tej kwestii sceptyczna i wypuściła nieszczęśników. Szef lokalnej policji Ludolf von Alvensleben był jednak mniej wyrozumiały i nakazał rozstrzelanie 150 sąsiadów Fritza „dla przykładu”. Żona zmarłego gospodarza wiedziała dokładnie, że są niewinni, ale nic nie zrobiła. Nie chciała, by wyszło na jaw, że jej mąż, wzorowy gospodarz, zginął przez promile. Jeśli Niemcy byli gotowi do takich bestialstw z powodu wypadku w stodole, to jaki los mógł spotkać mieszkańców wsi oskarżonych o sprzyjanie polskim partyzantom?

W mundurze

Major Henryk Dobrzański miał nieco inny pomysł na walkę z Niemcami niż dowództwo Związku Walki Zbrojnej. Podstawowa różnica polegała na tym, że „Hubal” przez całą swoją działalność walczył w mundurze i tego samego wymagał od rekrutów. Jego oddział był w istocie regularnym wojskiem. O innym sposobie walki major nie chciał słyszeć. Na przełomie lat 1939 i 1940 jeden z członków miejscowego ZWZ nieśmiało wspomniał, że z powodu kręcących się wszędzie zwycięskich Niemców „jeszcze za wcześnie na wojsko”. „Hubal” zjeżył się i w krótkich żołnierskich słowach uciął wszelkie wątpliwości.

Już zimą kazano mu jednak skadrować oddział – to znaczy zostawić jedynie oficerów – i to w cywilu, a resztę poukrywać

eprasa.pl 5608f5901c

po wsiach i miastach jako potencjalnych zaprzysiężonych rekrutów. ZWZ chciała dużo głębszego zakonspirowania działań. W myśl tych zasad nie do pomyślenia było paradowanie po wsiach i lasach w mundurach i, co najbardziej karygodne, posługiwanie się w korespondencji prawdziwymi danymi osobowymi, co przecież nagminnie robił „Hubal". Do powstania, czyli ujawnienia się i przywdziania mundurów, wolno było przejść tylko wówczas, gdy klęska Niemiec będzie oczywista. Generał Stefan „Grot" Rowecki powtarzał swój rozkaz wiele razy od lutego do kwietnia 1940 r. „Hubal" jednak się do niego nie stosował.

ZWZ chciał uchronić cywilów przed niechybną krwawą zemstą ze strony okupanta, który w 1940 r. był przecież u szczytu potęgi. Najciekawsze jest to, że „Hubal" też twierdził, iż chroni cywilów. Nie atakował wszak jako pierwszy Niemców, zmieniał miejsca stacjonowania, a na kwaterę dla siebie i oficerów wybierał oddalone od wsi leśniczówki. 2 listopada 1939 r. pisał: „Do czasu kiedy działania bojowe nie przybiorą formy otwartej walki należy bardzo poważnie liczyć się z akcją odwetową nieprzyjaciela, od której mogłaby ucierpieć ludność cywilna. Należy za wszelką cenę dążyć do uniknięcia tego rodzaju następstw".

O tym, że w lasach na zachód od Kielc i Skarżyska stacjonuje polskie wojsko, Niemcy wiedzieli od zimy. Pierwotnie likwidacją oddziału „Hubala" miał się zająć Wehrmacht, a konkretnie 372. Dywizja Piechoty. Jednak wyjątkowo sroga, nawet jak na tamte czasy, zima uniemożliwiła przeprowadzenie akcji przeciwpartyzanckiej. Do tego doszły spory kompetencyjne. Wilhelm Krüger, dowódca SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie, stwierdził, że to on będzie dowodzić akcją, a wojsko użyczy jedynie swoich pododdziałów. Wehrmacht nie chciał o tym słyszeć i w tym czasie nie uczestniczył w akcji przeciw „Hubalowi". Ostatecznie brały w niej udział: dwa pułki SS (te same, z których rekrutowano załogi obozów koncentracyjnych) kilka batalionów policji i cztery kompanie paramilitarnego Selbstschutzu, złożonego z mieszkających na ziemiach polskich Niemców i volksdeutschów.

Oddział „Hubala" schwytał tymczasem dwóch niemieckich donosicieli – Jana Walasika z Chlewisk i Tadeusza Gruszczyńskiego z Rzucowa. Obaj mieli przy sobie broń i listy z nazwiskami hubalczyków, a swoje postępowanie tłumaczyli koniecznością wyżywienia rodzin. Nie przekonało to oczywiście majora, który obydwu delikwentów kazał rozstrzelać. Dobrzański wiedział, że prędzej czy później Niemcy podejmą przeciwko niemu działania.

Od prawej: Hans Frank i Friedrich Wilhelm Krüger, wyższy dowódca SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Zemsta za Hucisko

Próba schwytania „Hubala" pod Huciskiem 30 marca 1940 r. przerodziła się w pogrom niemieckich funkcjonariuszy i esesmanów. Wehrmacht pisał ze swoistym schadenfreude: „Zachowanie się formacji policyjnych w przedmiocie rozpoznania, ubezpieczenia i postawy na polu walki – nie odpowiadało najprymitywniejszym nawet wymogom. Strzelano do wszystkiego, co się tylko pokazało. Do kobiet i wron". Po 372. Dywizji Piechoty zaczął nawet krążyć prześmiewczy wierszyk na temat SS i policji. Dla Wilhelma Krügera było to coś więcej niż porażka. To było upokorzenie. Za zwycięstwo polskiego wojska miała być zatem ukarana ludność cywilna.

Wszystkie poddane odwetowi wsie leżą dziś na terenie wielkiego obszaru leśnego, który od wschodu ogranicza trasa S7, a od zachodu i północy miasta Końskie i Przysucha. Rzezie rozpoczęły się 30 marca i trwały do 11 kwietnia. „Hubal" był zaskoczony skalą niemieckiego odwetu i 4 kwietnia wydał odezwę: „Komunikujemy, że za każdego człowieka, który by ucierpiał z naszego powodu, będziemy mścić się bezlitośnie i równie sposobem niemieckim […]. Austriacy, Bawarczycy i Czesi – wiemy, że nosicie broń i mundur niemiecki przymuszeni do tego. Z rozkazu Naczelnego Wodza Generała Sikorskiego każdy z was może być pewien naszej pomocy i opieki". Oczekiwanie, że katolickie sumienia Austriaków i Bawarów oraz słowiańska dobroduszność Czechów okażą się silniejsze niż posłuszeństwo rozkazom i lojalność wobec oddziału, trąciło skrajną naiwnością.

Major wiedział jednocześnie, że ludności cywilnej nie mógł bronić, bo miał zbyt mało żołnierzy i nie mógł być wszędzie. Poza tym okopywanie się we wsiach doprowadziłoby niechybnie do zniszczenia oddziału – Niemcy nie byli wszak tak nieudolni, aby ponownie dać się ograć jak pod Huciskiem. „Hubal" próbował więc się wyrwać z obławy i przeskoczyć w Góry Świętokrzyskie na wschód od drogi Radom – Kielce. Nie udało się, droga była zbyt dobrze pilnowana i „Hubal" ruszył w kierunku Opoczna, na zachód, gdzie zginął. We wsiach, które w tym czasie pacyfikowali Niemcy, jego oddziału już nie było.

Zielona trawa

Niemcy najstraszniej potraktowali w czasie pacyfikacji Skłoby. Wieś była tak uboga, że duża część ludności musiała porzucić pług. Kobiety szły na służące do Kielc, mężczyźni – co istotne dla dalszego biegu wypadków – do pobliskich kopalń rudy żelaza czy kamieniołomów.

eprasa.pl 5608f5901c

Podpalona przez Niemców wieś na Kielecczyźnie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Czasem do wsi zaglądali Żydzi z Szydłowca na handel. Skłobianie przed wojną nie żywili nienawiści do Niemców. Kilku z nich w czasie zaborów było w cesarstwie na robotach i zapamiętali to państwo jako bogate i świetnie zorganizowane. We wrześniu 1939 r. dziwili się, czego tak potężny lud może chcieć od ich biednej krainy.

Kiedy przez wieś maszerował Wehrmacht nikt nie częstował najeźdźców wiejskimi specjałami, ale niektóre dzieci i dziewczyny rzucały żołnierzom pod nogi kwiaty. Dzieci nieświadome tego, co się dzieje, dziewczyny – być może – dla załagodzenia nastrojów. Na razie nikt nie strzelał, nie palił chat, nie wyzywał pogardliwie od podludzi. Oficerowie zakazali jednak żołnierzom pić wody z wiejskich studni, zakładając podstęp lub zły stan sanitarny. Wehrmacht odszedł i na jesieni na polskiej prowincji częściej zaczęły się pojawiać policja i żandarmeria. Część Skłobian, jeszcze przed przybyciem „Hubala", poszła do konspiracji w ramach rodzącego się Związku Walki Zbrojnej. Ich największą akcją było wylanie paliwa z wojskowych cystern stojących w Skarżysku-Kamiennej. Szef lokalnej komórki ZWZ na skutek donosu został niestety aresztowany i rozstrzelany. Niemcy nie myśleli jednak na razie, by za ten czyn zemścić się na okolicznych wsiach.

„Skłoby zielona trawa przykryje" – te ponure słowa mieli powtarzać w marcu okoliczni Żydzi, zmuszeni przez Niemców do kopania w lasach głębokich dołów. W pobliskich Chlewiskach jakaś kobieta wydzierała się na Skłobian, że spadnie na nich okrutna zemsta Niemców za śmierć szpicla Walasika. Większość Skłobian nie wierzyła w te kasandryczne wieści. Pół roku po klęsce wrześniowej miejscowym wciąż nie mieściło się w głowie, że za znajomość z żołnierzami mjr. Dobrzańskiego, okazyjne dostarczanie zaopatrzenia i rekruta, mogą być ukarani śmiercią. „Niemcy to naród kulturalny" – mawiali. – „Najwyżej na roboty wywiozą".

Inni byli przekonani, że papiery wystawione dla robotników przez właściciela kopalń to glejt nie do obalenia. Balbina Baran ostrzegała matkę, że Niemcy chcą spalić wieś i trzeba uciekać. Za roznoszenie głupich plotek dostała po głowie kijem. W tym czasie od 10 dni trwały już pacyfikacje innych wsi na Kielecczyźnie. Skłobianie nic jednak o nich nie wiedzieli. Potraktowane bardzo srogo Adamów i Królewiec – Niemcy wymordowali tam prawie 100 mieszkańców – odległe były o prawie 50 km. W innych, leżących bliżej wsiach okupanci przeważnie nie mordowali na miejscu, lecz wieźli aresztowanych do więzienia w Radomiu lub Kielcach. Tam, po poddaniu ofiar brutalnym przesłuchaniom i torturom, rozstrzeliwano je lub wypuszczano. Również o tym Skłobianie, przy braku powszechnej, prywatnej łączności telefonicznej, nie mogli wiedzieć.

Doły śmierci

Niemcy, głównie policja i Selbstschutz, przyjechali 11 kwietnia ok. 2 w nocy na ciężarówkach i motocyklach. Natychmiast utworzyli kordon wokół wsi i kazali mieszkańcom opuszczać domy. Kobiety i dzieci miały iść precz, a mężczyźni wsiadać na ciężarówki. Niemcy pozwolili kobietom zabrać ze sobą wozy, co okazało się zbawieniem dla kilku mieszkańców. Paru gospodarzy niezbyt ufających cywilizacyjnej ogładzie najeźdźców próbowało się ukryć lub uciec. Stanisław Głowacki, leżąc między krowami w oborze, obserwował, jak Niemcy sprawdzają obejście. Potem ukryty na wozie pod stertą naprędce zgromadzonych sprzętów i ubrań został wywieziony przez kobiety i w ten sposób zachował życie.

Podobny fortel nie udał się jego szwagrowi. Przebrany w kiecki i owinięty chustą zapomniał, że spod ubrania wystają mu męskie spodnie. Niemcy to zauważyli i kazali zsiadać z wozu. Feliks Kucfir udawał natomiast kulawego. Niemcy nie dali się nabrać i pobili go kolbami, a następnie zaczęli ciągnąć z powrotem do wsi. Wśród nich trafił się jednak jeden ruszony sumieniem volksdeutsch, który poprowadził Feliksa na bok i po polsku kazał uciekać. Zastrzegł jednak: „Nie chodź tam na łąki, bo tam dużo Niemców". Ten natychmiast czmychnął w zapadające ciemności.

Uratował się też syn wspomnianego Stanisława Głowackiego, ponieważ ukrył się najpierw w gnoju, a potem w piwnicy. Głowacki junior miał pod strzechą ukryte granaty dla „Hubala". Kiedy Niemcy zaczęli podpalać chałupę, natychmiast wybuchły – szczęście w nieszczęściu, że policjanci nie zainteresowali się tym, co spowodowało eksplozję.

Inni Skłobianie próbowali się ratować przepustkami z kopalni. Pokazywali nawet lampy karbidowe. Odpowiedziało im jedyne krótkie „raus!". Jak się potem okazało, interwencja właściciela uratowała robotników z tych wsi, których mieszkańcy trafili do więzienia w Radomiu. Skłobian jednak Niemcy do Radomia wieźć nie zamierzali. Ratunkiem dla kilku mieszkańców okazały się natomiast insygnia leśników – z jakiegoś powodu byli oni dla Niemców użyteczni.

Kilkuset mężczyzn wywieziono do Chlewisk i umieszczono w budynku szkoły podstawowej. Tam odbyła się selekcja wiekowa. Kto miał mniej niż 15 lat, mógł wrócić do wsi – a raczej już wtedy do jej zgliszcz. Wielu chłopców jednak nie chciało opuścić swoich ojców i starszych braci, dlatego zawyżało swój wiek. Był to dowód wielkiej miłości, ale też proszenie się o śmierć, przed czym ostrzegał zresztą dyskretnie pewien umundurowany volksdeutsch. Po jakimś czasie Niemcy zaczęli wyprowadzać ze szkoły mężczyzn w grupach 10-osobowych i prowadzić ich pod eskortą ku dwóm dołom wykopanym w lesie. Jeden znajdował się przy skrzyżowaniu dzisiejszej drogi wojewódzkiej 727 z gminną drogą łączącą Chlewiska i Skłoby. Drugi był dalej na północ, w pobliżu częściowo wyschnię-

eprasa.pl 5608f5901c

tych stawów we wsi Rzuców. Przejściu do lasu towarzyszyły bicie i przekleństwa. Od oprawców czuć było wódkę.

Kto znalazł się w pierwszej grupie ofiar, miał jeszcze szansę uciec. Skorzystało z tego czterech desperatów, którzy rzucili się w las i pobiegli zygzakiem, ścigani strzałami i przekleństwami, dzięki czemu uratowali życie. Dobiegli przerażeni do odległego raptem o 4 km Kochanowa, ale nikt nie chciał tam dać wiary w ich opowieść. Po ucieczce tej czwórki Niemcy wiązali już ofiary i zasłaniali im oczy. Rozstrzeliwania trwały do wieczora. Rannych dobijano bagnetami, do dołów wrzucano granaty, a czasem zasypywano ludzi jeszcze na wpół żywych. W sumie w Skłobach zamordowano 265 osób, co stanowi największą liczbę pomordowanych z jednej wsi.

Tymczasem zabudowania płonęły i Niemcy popędzali kobiety próbujące wsadzać resztki dobytku na wozy. Maria Grzyb zapamiętała, że jeden Niemiec kopnął ją z całej siły, wrzeszcząc coś, inny – starszy – też krzycząc, pomagał jej wynosić sprzęty z domu. Kobiety ze Skłobów daleko jednak nie ujechały. 12 kwietnia krewny jednej z nich mieszkający w Chlewiskach przyniósł straszną wieść o masowych mogiłach w okolicy. Wszystkie ruszyły więc na miejsce niedawnej egzekucji, gdzie rozkopywały piach i starały się zidentyfikować zabitych mężów, ojców, braci i synów. Nieszczęsne kobiety musiały patrzeć na ciała zmasakrowane granatami i bagnetami. „Tatusiu nie śpij, wstawaj" – słychać było przejmujące głosy dzieci nierozumiejących, co się stało. Niemiecki patrol przyglądał się temu, po czym dół zasypano ponownie. Mogił i krzyży nie wolno było stawiać. Przez pewien czas trwała więc cicha wojna o pamięć, podczas której Skłobianki nocami sypały kopce i stawiały krzyże, a Niemcy je niszczyli. Ostatecznie jednak okupanci dali spokój.

Wdowy i sieroty nie mogły zrozumieć skali okrucieństwa Niemców i niewspółmierności kary do czynu. Mawiały poczciwie: „Mogli przecież zbić, jakoś inaczej ukarać". Co ciekawe, zdanie to po części podzielali nawet lokalni niemieccy urzędnicy. Generał Kazimierz Sosnkowski pisał w raporcie na temat nastrojów na kieleckiej prowincji: „Władze administracyjne niemieckie są oburzone zachowaniem się Gestapo i nie kryją się z tym przed ludnością polską".

Niemiecka bezkarność

Skłoby były ostatnim aktem niemieckiej zemsty. Dobór wsi do pacyfikacji był robiony na chybił trafił. W niektórych zaatakowanych wsiach oddziału „Hubala" w ogóle nie było, a przez inne hubalczycy jedynie przemaszerowali, nie zatrzymując się. Tylko jedna pacyfikacja nastąpiła bezpośrednio po walce z żołnierzami „Żelaznego Majora". Niemcy podpalili 12 wsi, z czego cztery spłonęły niemal doszczętnie. W sumie w czasie całej akcji pacyfikacyjnej wymordowano 712 osób, w lwiej części mężczyzn. Większość ofiar zamordowano w leśnych egzekucjach. Ponad 200 zmarło w więzieniach lub obozach koncentracyjnych. Oprócz Skłobów najsurowiej potraktowano Królewiec, Gałki i Szałas.

Na szczęście Niemcy nie wiedzieli, kto wybił im mały oddział w potyczce pod Wolą Chodkowską na południowym Mazowszu, jeszcze w czasie kampanii wrześniowej – z pewnością zapałaliby jeszcze większą nienawiścią, a i sam Wehrmacht byłby mniej powściągliwy. 1 października żołnierze „Hubala" nie brali bowiem jeńców, okręcili drutem drzwi ciężarówek po to, by ranni i uwięzieni w nich niemieccy kierowcy spalili się żywcem.

Krwawa pacyfikacja przyczyniła się do druzgocącej oceny działalności majora przez gen. Stefana Grota-Roweckiego: „W Końskiem niepoczytalne wystąpienie Hubala (mjr. Do), który dwukrotnie nie usłuchał rozkazu rozwiązania partyzantki i zainicjował wystąpienie zbrojne, krótkotrwałe, okupione życiem wielu chłopów, rozstrzelanych w okolicznych wioskach. Hubala ścigam, chcę go wysłać za granicę, w przyszłości oddam pod sąd". Miejscowa ludność była jednak wobec „Hubala" bardziej wyrozumiała. Wspomniany wyżej raport gen. Sosnkowskiego stwierdzał: „Ludność wyraża się ze straszliwą nienawiścią o Niemcach, do partyzantów nie czuje urazy".

Sprawcy mordów uniknęli odpowiedzialności. Ogólnie rzecz biorąc, statystyka wyroków wydanych przez RFN wobec zbrodniarzy hitlerowskich nie jest z naszej perspektywy zbyt budująca. Kary zasądzone za niemieckie przestępstwa na szkodę Niemców przeważały nad zbrodniami popełnionymi wobec obcokrajowców. Bardzo niewielka część wyroków była związana z mordowaniem mieszkańców polskich wsi. Niemieckie powojenne sądy argumentowały swoje decyzje na różne sposoby: niemożnością przypisania czynu do sprawcy czy działaniem na rozkaz oficerów, którzy pozostawali nieznani. Sprawcy byli więc bez winy. Postępowanie w sprawie pacyfikacji „hubalowskich" umorzono, zaniżono przy tym liczbę ofiar i zasugerowano, że część pomordowanych brała udział w walce.

Uroczystości na cmentarzu ofiar pacyfikacji, Skłoby, 1964 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FOTOPOLSKA.EU BONCZEK HYDROFORGROUP

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Dariusz Szymanowski przy zrekonstruowanym pierwszym grobie „Hubala"

FOT. ARCHIWUM DARIUSZA SZYMANOWSKIEGO

Wywiad / Z Dariuszem Szymanowskim, prezesem Stowarzyszenia „Wizna 1939", autorem książki „Tu spoczywa Hubal. Nowe ustalenia"

rozmawia Piotr Włoczyk

Wiem, gdzie leży „Hubal"

PIOTR WŁOCZYK: Już od ponad 10 lat Stowarzyszenie „Wizna 1939" poszukuje grobu „Hubala". Jak blisko jesteście rozwiązania tej tajemnicy?

DARIUSZ SZYMANOWSKI: Od „Hubala" dzieli nas jeden metr. Dosłownie jeden metr. Wiem, gdzie spoczywają jego szczątki i jestem w stanie to udowodnić. Dysponuję jednoznacznymi wynikami specjalistycznych badań, a także relacjami, które razem układają się w jeden logiczny obraz.

Skoro to takie oczywiste, to dlaczego miejsce spoczynku mjr. Henryka Dobrzańskiego pozostaje – przynajmniej oficjalnie – nieznane?

Brakuje nam tylko jednego elementu. Potrzebujemy zgody odpowiednich organów państwowych, żebyśmy mogli podnieść cztery płyty posadzkowe, zajrzeć pod nie i ogłosić informację, na którą czeka tyle osób. Na czele z rodziną „Hubala", z którą jesteśmy w kontakcie i która wspiera nasze poszukiwania. Kilka razy występowaliśmy o stosowne zezwolenie, ale jak na razie nasze starania nie zakończyły się powodzeniem. Liczymy na to, że ta sytuacja w końcu się zmieni.

Zacznijmy tę opowieść trochę od środka. Bardzo ciekawym dowodem w całym tym śledztwie w sprawie miejsca pochówku „Hubala", jest czarno-biała fotografia grobu na cmentarzu w Inowłodzu, na której ktoś napisał „Hubal 1940 r., 13-IX-1949 r.".

To małe zdjęcie znajduje się w dyspozycji rodziny państwa Kowalskich, i przedstawia ich grobowiec. Na tablicy widać tylko jedno nazwisko: Aniela Kowalska. Ta kobieta zmarła na początku 1940 r. Była to żona Józefa Kowalskiego, ówczesnego wójta gminy Inowłódz. Czyli ten grobowiec był w większości pusty. Wszystko wskazuje na to, że zdjęcie zostało zrobione późną wiosną 1940 r., po śmierci „Hubala".

Fotografia została pokazana w mediach w 2016 r. w programie „Było, nie minęło". Zrobił to Paweł Beuth, mąż wnuczki Stanisława Kowalskiego, który miał pochować „Hubala" na początku maja 1940 r. w swoim grobowcu rodzinnym na cmentarzu w Inowłodzu. Dla wyjaśnienia: w tej opowieści pojawia się dwóch Stanisławów Kowalskich. Drugi z nich to ks. Stanisław Kowalski, proboszcz parafii w Inowłodzu, który – wszystko na to wskazuje – ekshumował „Hubala" z jego pierwszego grobu. Obaj ci mężczyźni nie są ze sobą spokrewnieni. Co istotne: ks. Kowalski odprawiał pogrzeb Anieli Kowalskiej i wiedział, że jej grób jest duży i niemal pusty.

To zdjęcie sprawiło, że postanowiłem podjąć trop. Zacząłem jeździć po rodzinie państwa Kowalskich. Rozmawiałem wtedy z pięcioma starszymi osobami, które pamiętały – jako dzieci – tamte czasy. Każda z nich potwierdzała, że w ich rodzinnym grobowcu w okresie od maja 1940 r. do września 1949 r. spoczywał „oficer".

Ci ludzie nie mówili o „Hubalu", tylko właśnie o „oficerze"?

Tak. Właśnie w ten sposób ta historia funkcjonuje w ich rodzinie. Fotografia, o której pan wspomniał, została odnaleziona kilkanaście lat temu w trakcie remontu prowadzonego w Kościele św. Michała Archanioła w Inowłodzu – tak mi powiedział syn Stanisława Kowalskiego, Władysław. Ta świątynia położona jest zaledwie kilkaset metrów od cmentarza, na którym stoi słynny Kościół św. Idziego.

eprasa.pl 5608f5901c

Fotografia, wraz z dokumentami, była włożona do skrytki w filarze. Przejął ją Jan Kowalski, teść Pawła Beutha i brat Władysława Kowalskiego. Przypomnę: byli oni synami Stanisława Kowalskiego. Pytałem Władysława, czyje to pismo. Nie wiedział, ale stwierdził, że to na pewno nie był jego ojciec. Okazało się, że było to pismo organisty, który wraz ze Stanisławem Kowalskim, z jego szwagrem Janem Gradem i właśnie ks. Stanisławem Kowalskim przenosili ciało „Hubala".

Data widniejąca na fotografii – 13 września 1949 r. – to dzień pogrzebu Rozalii Kowalskiej, żony Stanisława Kowalskiego. Władysław Kowalski, jej syn, opowiadał mi, że jego matka długo chorowała i wiadomo było, że niedługo umrze. W dniu jej śmierci jego ojciec powiedział przy nim do jego babki, czyli matki Rozalii: „Idę po Jaśka [Jana Grada – szwagra], przeniesiemy tego oficera z grobu". Władysław zainteresował się tym, bo – jak mi opowiadał – od małego lubił tematy polityczne.

Dlaczego szczątki „oficera" zostały przeniesione?

Rozalia powiedziała przed śmiercią: „Ja nie chcę leżeć koło tego partyzanta". Możemy się domyślać, z czego to wynikało. Wiele osób w tamtych stronach obarczało „Hubala" odpowiedzialnością za to, że Niemcy w odwecie za jego działalność palili wioski i mordowali ich mieszkańców.

Dlaczego jednak „oficer" miałby być „Hubalem"?

Kluczowa jest tu rola ks. Stanisława Kowalskiego, kapelana prezydenta Ignacego Mościckiego, który działał w konspiracji. Na początku wojny przy Polskim Czerwonym Krzyżu działały jeszcze komisje dla opieki nad grobami poległych żołnierzy. Niemcy na początku wojny liczyli się z Czerwonym Krzyżem, bo jeszcze dbali o swój wizerunek. Jednocześnie na rękę było im, że Polacy zajmowali się takimi trudnymi sprawami.

Wójt gminy Inowłódz, Józef Kowalski – pamiętamy, że dysponował dużym grobowcem, który został uwieczniony na odnalezionej fotografii – 11 kwietnia 1940 r., a więc trzy tygodnie przed śmiercią „Hubala", powołał ks. Stanisława Kowalskiego na stanowisko delegata

DARIUSZ SZYMANOWSKI
„TU SPOCZYWA HUBAL. NOWE USTALENIA"
STOWARZYSZENIE WIZNA 1939

odpowiedzialnego za opiekę nad grobami poległych polskich żołnierzy na terenie gminy Inowłódz. Był to więc obowiązek proboszcza!

Z tego wynika, że „oficer" potajemnie złożony w grobowcu rodziny Kowalskich mógł być zupełnie oficjalnie pochowany. A jednak tak się nie stało. Skoro był ukrywany, to chyba musiał być ku temu jakiś wyjątkowy powód…

Przejdźmy do początku tej historii, czyli do pierwszego grobu „Hubala". Dlaczego Niemcy pochowali go w lesie pod Tomaszowem Mazowieckim, przy drodze, i do tego z napisem „Hier liegt ein Held" („Tu leży bohater")?

Albo był to przypadek, albo jednak Niemcy zrobili to celowo, „wystawiając" niejako Polakom grób „Hubala", by mogli go zabrać i pochować po swojemu. Ten grób nie był przecież wykopany w środku lasu, tylko niedaleko leśniczówki, przy skrzyżowaniu dróg. W miejscu, które trudno nazwać ustronnym.

Skracając tę historię: znalazł pan relacje wielu świadków, którzy mówią o bardzo charakterystycznym grobie z nietypowym, zastanawiającym napisem.

Mówimy o różnych osobach z różnych środowisk. Jedną z nich był Stanisław Wilczyński, bardzo szanowany nauczyciel z Tomaszowa Mazowieckiego, lokalny patriota, nazywany „profesorem", którego nie sposób posądzić o kłamstwo w takiej sprawie. Ale to nie wszystko. Temat tego grobu i tablicy wypłynął jeszcze w czasie wojny. Leonia Papée, żona ambasadora RP przy Stolicy Apostolskiej, Kazimierza Papée, a zarazem rodzona siostra mjr. Henryka Dobrzańskiego, dostała bowiem od niemieckich oficerów przebywających w Rzymie zdjęcie grobu z krzyżem i napisem: „Hier liegt ein Held"… Informację o tym, że zdjęcie tego grobu trafiło w Rzymie w ręce Leonii Papée, można odnaleźć we wspomnieniach rodziny „Hubala".

Co ciekawe, Niemcy chcieli początkowo pochować mjr. Dobrzańskiego na cmentarzu wojennym w Tomaszowie, naprzeciwko koszar. To nie ulega wątpliwości. Faktem jest też to, że nie pochowano tam „Hubala", bo coś się wydarzyło. Wieczorem 30 kwietnia 1940 r. przeniesiono jego zwłoki do koszar i tam złożono w tzw. działowni.

Co mogło spowodować zmianę decyzji?

Wszystko wskazuje na to, że było to związane ze zmianą na stanowisku Naczelnego Dowódcy na Wschodzie, który stacjonował w nieodległej od Tomaszowa Mazowieckiego Spale. Doszło do tego właśnie na przełomie kwietnia i maja 1940 r. Miejsce gen. Johannesa Blaskowitza zajął gen. Curt Ludwig von Gienanth, który był kawalerzystą.

Major Dobrzański był uznanym w Europie jeźdźcem…

Von Gienanth mógł go kojarzyć z czasów przedwojennych, być może nawet spotkali się na jakichś zawodach. Faktem jest to, że właśnie ten generał pojawił się 1 maja w koszarach w Tomaszowie i złożył hołd „Hubalowi". Wydarzenie to potwierdza w powojennej relacji mjr Heinrich Schreihage, oficer zwiadu 372. Dywizji Piechoty Wehrmachtu, który organizował obławę na mjr. Dobrzańskiego. Czy von Gienanth postanowił oddać „Hubala" Polakom, bo czuł, że tak wypada? A może właśnie powodem tego był szacunek do majora…

Wiadomo też, że pierwszy pochówek „Hubala" organizował kapitan Abwehry, Konrad Gałuszko vel Gallen. Ten oficer pochodzący ze Śląska doskonale znał język polski. Możliwa jest więc jeszcze jedna wersja: ks. Stanisław Kowalski, jako człowiek wyznaczony do opieki nad grobami, mógł porozumieć się z nim i w jakiś sposób – być może za pieniądze – „załatwić" pochowanie „Hubala" w miejscu, z którego można było go potem łatwo zabrać.

Co ciekawe, w 1987 r. Henryk Sobierajski, wnuk „Hubala", napisał list do rodziny Gallena z prośbą o zwrot bardzo istotnego dla niego medalika.

Ten oficer zatrzymał go sobie na pamiątkę po „Hubalu". I wdowa po Konradzie Gallenie odesłała go do Polski! Ponad wszelką wątpliwość ustalono, że był to ten sam medalik, który nosił „Hubal".

Wracając do pierwszej mogiły: po wojnie hubalczyk Jan Sekulak skontaktował się ze Schreihagem i wyciągał od niego

eprasa.pl 5608f5901c

Kościół św. Idziego w Inowłodzu

FOT. WIKIMEDIA COMMONS/CHRUMPS

informacje, które miały doprowadzić do odnalezienia mogiły. To Schreihage powiedział, że „Hubala" pochowano „5 lub 7 km na północny wschód od Tomaszowa Mazowieckiego". Jestem z wykształcenia geodetą, działam na podstawie koordynatów, więc od razu zacząłem szukać więcej danych, które pozwoliłyby zlokalizować to miejsce.

Sekulak poszukiwał grobu „Hubala", ale na podstawie samych informacji od Schreihagego nie był w stanie namierzyć tego miejsca, ponieważ były one nieprecyzyjne. Sprawą zainteresowały się media, które relacjonowały bezowocne poszukiwania grobu „Hubala". Po obejrzeniu materiału na ten temat głos zabrał wspomniany Stanisław Wilczyński, nauczyciel z Tomaszowa Mazowieckiego. Powiedział, że taki grobek z charakterystycznym niemieckim napisem faktycznie był w tamtej okolicy, jednak nie tu, gdzie szukał Jan Sekulak, ale po drugiej stronie drogi. Podkreślał, że dokładnie zapamiętał, gdzie to było.

Na szczęście mamy uwiecznione na kamerze, jak Stanisław Wilczyński patrzy w stronę, gdzie jego zdaniem miał być ten grób. Jednak wtedy, w latach 70., nie było już po nim – przynajmniej na pierwszy rzut oka – śladu. Zlokalizowałem miejsce, gdzie wtedy stał Wilczyński i zobaczyłem, że obok widać charakterystyczną małą nieckę. A na jej brzegu leżał pobielony kamień…

Dla laika nic to zapewne nie znaczy.

Takich kamieni nie kładzie się pośrodku lasu. W ten sposób oznacza się specjalne miejsca, jak choćby mogiły. Stanisław Wilczyński poszukiwał potem na własną rękę tego grobu, ale niczego nie znalazł. Zwróciłem uwagę na słowa Wilczyńskiego, który mówił, że był tam „mały grobek" niczym „zapadnięta mogiła". Jak to rozumieć? Jeśli wykopano z tego miejsca trumnę, to ziemia w naturalny sposób „osiadła".

Zbadaliśmy to miejsce, ale nie znaleźliśmy tam żadnego guzika czy kawałka munduru. Takie przedmioty zazwyczaj się urywają, jeżeli ciało – nawet złożone w trumnie – leży w grobie dłuższy czas. Skoro niczego takiego tam nie było, to znaczy, że trumna została stamtąd szybko wyciągnięta. Nasze badania ujawniły natomiast wyraźny ślad po dole przeznaczonym na trumnę.

Sporo w tej historii poszlak…

Nie jest łatwo zrekonstruować całą tę sprawę, bo nie mamy tu twardych dowodów. Jednakże gdy połączy się informacje pozyskane od rodziny Kowalskich oraz odnalezione zdjęcie, można założyć, że zaraz po pochowaniu „Hubala" przez Niemców na obrzeżach Tomaszowa został on przez Polaków ekshumowany i przeniesiony do grobowca Kowalskich w Inowłodzu.

Ale w tej sprawie pojawił się jeszcze jeden, bardzo ciekawy wątek. Pewnego dnia zadzwonił do mnie jakiś „skruszony", emerytowany ubek, który śledził w mediach poszukiwania grobu „Hubala". Powiedział mi, że dysponuje w tej sprawie wiedzą, ale poprosił, żebyśmy już „stamtąd" nie przenosili „Hubala"… Mój rozmówca twierdził, że widział notatkę UB z 1952 r. Nazwiska miały być w niej zamazane. Opowiadał mi, że z notatki wynika, iż „Hubala" pochowano w ziemi za Tomaszowem Mazowieckim, a potem przyjechał „dwukółką" ksiądz, organista i „jakiś rolnik". Wydostali oni „Hubala" z ziemnego grobu, przebrali w sutannę i zabrali go do Inowłodza do grobowca jakiegoś „kułaka".

Potem rozmawialiśmy jeszcze kilka razy. W czasie jednego z kolejnych telefonów „skruszony ubek" powiedział, że udało mu się ustalić, iż „Hubala" najpierw pochowano w ziemi, potem przenoszono go z jednego grobowca do drugiego, a teraz jest pochowany w krypcie kościelnej. Czyli powinien być w czwartym miejscu. Ta opowieść sama w sobie mogłaby brzmieć mało wiarygodnie, ale było to niezależne potwierdzenie ustaleń, do których sam doszedłem!

Do krypty kościelnej jeszcze wrócimy, ale teraz musimy wyjaśnić sprawę drugiego grobowca. Ustalenie jego lokalizacji również nie było proste.

Z różnych relacji wynikało, że „Hubala", po wyjęciu jego trumny z grobowca rodziny Kowalskich, pochowano na tym samym cmentarzu, ale w innym miejscu, „pod murem". Co ciekawe, Stanisław Kowalski, który do końca życia zachował milczenie w sprawie pochówku „Hubala", latami chodził palić znicze właśnie pod mur, w jedno i to samo miejsce. Wytypowaliśmy pas ziemi pod cmentarnym murem, który należało przekopać, by potwierdzić tę wersję. Od razu okazało się jednak, że była ona nieprawdopodobna. Bardzo ciężko wykopać w tamtym miejscu głębszy dół – ziemia jest zwyczajnie zbyt twarda.

W końcu okazało się, że nie chodzi o ziemię pod murem, lecz o grobowiec tuż przy murze, należący do zmarłego w 1903 r. Jana Cichońskiego. Dlaczego więc znicze pojawiały się pod murem? Na samym grobowcu trudno było postawić znicz, bo był on otoczony ozdobnym ogrodzeniem. Poza tym można się domyślać, że Stanisław Kowalski nie chciał nikomu zdradzać miejsca pochówku „Hubala".

eprasa.pl 5608f5901c

Co zobaczył pan we wnętrzu grobowca?

Uzyskaliśmy od proboszcza stosowne zezwolenie. Widać było, że grobowiec był „po drodze" otwierany i ktokolwiek to zrobił, nie zadał sobie trudu, by porządnie zamknąć płytę. Wejście do grobu było pełne emocji, bo spodziewałem się, że odnajdziemy tam szczątki „Hubala". Tymczasem, ku naszemu zdumieniu, odkryliśmy sprofanowany grób.

Po lewej stronie leżała blaszana trumna, w której był zapewne pochowany Jan Cichoński. Była ona rozcięta jedynie na wysokości nóg, a sam szkielet był pozostawiony w układzie anatomicznym. Najwyraźniej ktoś zajrzał do trumny, zobaczył, że to zwykłe cywilne buty, a nie wojskowe, i zostawił zwłoki w spokoju. Obok leżały natomiast porozrzucane kości i kawałki innej, drewnianej trumny. Wydaje mi się, że ktoś był wściekły, bo nie znalazł „Hubala". Zdemolował więc trumnę i porozrzucał znajdujące się tam szczątki ludzkie.

Kto to zrobił? Ubecy?

Najpewniej.

UB chciało się pozbyć szczątków oficera, który dla wielu Polaków był bohaterem?

Można się domyślać, że UB chciało rozwiązać ten „problem". Wygląda na to, że ktoś jednak ubiegł UB i przeniósł szczątki „Hubala" z grobowca pod murem cmentarza w inne miejsce. Jeżeli tak, to gdzie? To powinno być miejsce święte i łatwo dostępne, by można to było zrobić w tajemnicy. Te warunki spełnia położony na cmentarzu Kościół św. Idziego.

Długo czekałem, aż w kontekście pochówku „Hubala" ktoś wypowie słowa „pod posadzką kościoła".

I w końcu się doczekałem. Trafiłem w Internecie na wspomnienia człowieka, który w 1972 r. jako żołnierz służby zasadniczej był na wycieczce wojskowej śladami „Hubala". Jej trasa wiodła też przez cmentarz w Inowłodzu. Żołnierzy oprowadzał po cmentarzu następca ks. Stanisława Kowalskiego – ks. Stanisław Zelman. Skontaktowałem się z tym człowiekiem. Usłyszałem od niego, że miejscowi twierdzili, iż „Hubal" pochowany jest pod murem cmentarza, i wskazywali nawet ten grobowiec. Ksiądz miał mu jednak wtedy powiedzieć, że „Hubal" jest pochowany… pod posadzką kościoła.

Miejsce w Kościele św. Idziego, gdzie prawdopodobnie złożone zostały szczątki mjr. Dobrzańskiego

FOT. ARCHIWUM DARIUSZA SZYMANOWSKIEGO

Być może ks. Kowalski, człowiek bardzo oddany polskości, który został przeniesiony do parafii w Mińsku Mazowieckim tuż po pogrzebie Rozalii Kowalskiej, przekazał swojemu następcy, że trzeba ekshumować „Hubala" i ukryć jego szczątki w innym miejscu. Słowa „pod posadzką kościoła" były dla mnie absolutnie kluczowe.

Problem w tym, że Kościół św. Idziego to zabytek wysokiej klasy.

Mówi się, że to kościół romański, ale ta świątynia była już przerabiana kilka razy. W czasach międzywojennych, gdy proboszczem był tam ks. Kowalski, kościół został przebudowany. Badano też fundamenty, ponieważ budowla nieco osiadała. W związku z tym wybrano ze środka ziemię. Pod podłogą świątyni znaleziono wtedy ludzkie szczątki, które przeniesione zostały w jedno miejsce. Nawa została następnie wyłożona małymi płytkami, więc gdyby ktoś chciał coś ukryć pod płytkami, na pewno pozostałby ślad po takich pracach. Natomiast pod chórem położono duże płyty kamienne z piaskowca. Nie ma między nimi fug. Gdyby tutaj ktoś zdjął płyty, mógłby bez pozostawiania śladów schować coś pod posadzką.

Na razie Stowarzyszenie „Wizna 1939" przeprowadziło w kościele badania bezinwazyjne. Jakie są ich efekty?

Chcieliśmy sprawdzić z pomocą georadaru, czy pod chórem jest jakaś krypta. Okazało się, że jest tam niewielka nisza! Co ważne, ktoś się dostał pod posadzkę od góry, czyli już po remoncie kościoła te płyty były zdejmowane i prowadzono tam jakieś prace. Dlatego mówię, że od „Hubala" dzieli nas dosłownie metr.

Porozmawialiśmy o dowodach, badaniach, kwestiach technicznych. Ale tak właściwie dlaczego poświęca pan tyle wolnego czasu na poszukiwanie „Hubala"?

Przede wszystkim dlatego, że „Hubal" to bohater, oficer zasłużony dla Polski, któremu należy się godny pochówek z honorami wojskowymi. Dlatego muszę tę sprawę doprowadzić do końca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dariusz Szymanowski jest prezesem Stowarzyszenia „Wizna 1939", które zajmuje się m.in. poszukiwaniem zaginionych polskich bohaterów z czasów drugiej wojny światowej. W 2011 r. członkowie stowarzyszenia odnaleźli i ekshumowali szczątki mjr. Władysława Raginisa, słynnego obrońcy Wizny. Właśnie ukazała się najnowsza książka Dariusza Szymanowskiego pt. „Tu spoczywa Hubal. Nowe ustalenia".

eprasa.pl 5608f5901c

Plac Krasińskich i Pomnik Jana Kilińskiego w Warszawie podczas okupacji niemieckiej

FOT. Z KOLEKCJI ROBERTA MARCINKOWSKIEGO/PAP

1939–1940 / Okupacja niemiecka

Niezgoda na niewolę

Marek Gałęzowski

Zanim ucichły strzały w kampanii wrześniowej, zaczęły powstawać konspiracyjne organizacje. W pierwszych miesiącach wojny utworzono ich 150

Rankiem 1 października 1939 r. w lesie pod wsią Wytyczno na Lubelszczyźnie gen. Wilhelm Orlik-Rückemann, dowódca zgrupowania Korpusu Ochrony Pogranicza, zwołał naradę swoich oficerów. Dotarcie do znajdującej się niespełna 50 km dalej SGO „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga, która właśnie zaczynała ostatnią bitwę z Niemcami w tej kampanii, było niemożliwe. Otoczeni przez przeważające siły drugiego z agresorów, wszyscy oficerowie zgodzili się, że dalsza walka spowoduje jedynie całkowite zniszczenie resztek tego bohaterskiego wojska, które w ciągłych walkach z Armią Czerwoną dotarło tu znad wschodniej granicy Polski. Ale równocześnie poparli swojego dowódcę, by nie poddawać się wrogowi i po wystrzeleniu ostatnich pocisków przez artylerię, rozproszyć się.

Dla gen. Orlika-Rückemanna i jego oficerów nie był to bowiem koniec ich służby Polsce. „Przedstawiłem zebranym, że mimo zakończenia przez nas otwartej walki orężnej w mundurze żołnierza polskiego, nie wolno nam wycofywać się z walki. Walka ta musi być przez nas od tej chwili inaczej prowadzona. Musimy znowu przejść do konspiracji. Wezwałem obecnych do przystąpienia do takiej tajnej organizacji, nowej POW. Nie wiemy czy na terenie kraju istnieją już jakieś tajne organizacje. Jeżeli tak – to połączymy się z nimi".

„Tajny KOP"

Generał nazwał tę organizację „Tajny KOP". Już w chwili powstania nie była ona pierwszą i jedyną organizacją podziemną w kraju, która zamierzała prowadzić dalszą walkę o niepodległość Polski. Organizacje takie zaczęły bowiem powstawać na obszarach okupowanych przez Niemców, gdy nie umilkły jeszcze strzały kampanii 1939 r. Chociaż nadal brakuje pełnego wykazu, według szacunkowych informacji w pierwszych miesiącach wojny utworzono ich ok. 150. Powstanie tych konspiracyjnych organizacji wynikało z niezgody Polaków na poniesioną klęskę militarną i utratę niepodległego państwa, było też wyrazem rzadko spotykanego poczucia obowiązku i patriotyzmu.

eprasa.pl 5608f5901c

Pierwszą i najważniejszą organizacją w dziejach Polskiego Państwa Podziemnego była Służba Zwycięstwu Polski, powołana 27 września 1939 r. – w nadal jeszcze broniącej się przed Niemcami Warszawie – przez gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza i grupę oficerów wywodzących się w większości z Legionów Polskich. Pełnomocnictwo, które otrzymała od Naczelnego Wodza WP marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, dawało jej wyjątkowy status wśród wszystkich innych organizacji, które zaczęły powstawać z chwilą wygasania wrześniowych bojów. Jak pisał znawca dziejów Armii Krajowej, Marek Ney-Krwawicz: „ona jedna miała już w chwili powstania mandat najwyższych władz Rzeczypospolitej do działania w ich imieniu".

Lecz niezależnie od SZP tworzono kolejne, zarówno na ziemiach wcielonych do III Rzeszy, jak i w Generalnym Gubernatorstwie. Powstawały na bazie przedwojennych związków paramilitarnych i kombatanckich, środowisk wojskowych, politycznych, zawodowych i młodzieżowych (tj. tej młodzieży, która organizowała się politycznie przed wojną w orbicie wszystkich kierunków politycznych – od lewicy przez ludowców do ugrupowań prawicowych), w środowiskach regionalnych i lokalnych.

„Ku Wolności"

Na Śląsku jedna z pierwszych grup podziemnych skupiła się wokół pisma „Ku Wolności". Utworzono ją w Katowicach, lecz potrafiła znaleźć zwolenników na Opolszczyźnie, która nie wchodziła przed wojną w skład państwa polskiego. Na terenie powiatu pszczyńskiego działała Polska Organizacja Podziemna, a w Chorzowie powołana przez wiceprezydenta miasta Józefa Korola Polska Organizacja Partyzancka. W 1940 r. powstały kolejne, zwykle obejmujące obszar powiatu, m.in. Tajna Organizacja Powstańcza, a w 1941 r. – Polska Organizacja Obywatelska. Większość ich członków weszła z czasem do SZP, a następnie Związku Walki Zbrojnej. Pierwszym komendantem Okręgu Śląskiego SZP został Korol, który jednak 27 sierpnia 1940 r. zginął w walce z Niemcami.

P. 108 Konsp.

DWA DNI

Pismo informacyjne — Wychodzi trzy razy w tygodniu

No. 133 WARSZAWA 18.V.1942

FRONT WSCHODNI

WALKI W USB

DALEKI WSCHÓD

„Dwa Dni" – pismo Polskiej Organizacji Zbrojnej

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Na Pomorzu najznaczniejszą organizacją konspiracyjną był Gryf Kaszubski, w 1941 r. przekształcony w Tajną Organizację Wojskową Gryf Pomorski. Na jej czele stanął nauczyciel, por. rez. Józef Dambek, a po jego śmierci – ks. ppłk Józef Wrycza, co symboliczne – kapłan, który odprawił mszę dziękczynną w dniu zaślubin Polski z Bałtykiem, dokonanych 10 lutego 1920 r. przez gen. Józefa Hallera. W Toruniu utworzono w styczniu 1940 r. Polską Armię Powstania na czele z Franciszkiem Stachowiakiem. Kiedy zginął on z rąk Niemców, zastąpił go Edward Słowikowski. Polska Armia Powstania stworzyła swoje struktury także w innych miejscowościach pomorskich.

Z innych większych organizacji na tym obszarze działał Grunwald, powstały w kręgu podoficerów rezerwy w Toruniu. W środowisku podoficerskim powstała też grudziądzka organizacja Orzeł Biały, kierowana przez Józefa Hirsza i Władysława Meggera, w marcu 1940 r. podporządkowana ZWZ. Obaj jej dowódcy zostali wkrótce aresztowani przez Niemców i zginęli w obozie koncentracyjnym Stutthof, który był miejscem kaźni wielu polskich konspiratorów z Pomorza Gdańskiego i Kujaw. W Grudziądzu istniała również niewielka uczniowska organizacja Rota, która nazwę wzięła od słynnej pieśni Marii Konopnickiej. Na jej czele stał niespełna 18-letni Tadeusz Kaube. Rota prowadziła działalność dywersyjną, m.in. przesyłając okupantom bomby własnej konstrukcji. Organizacja została rozbita w czerwcu 1940 r., Kaube ścięty, a prawie 50 uczestników wywiezionych do niemieckich obozów koncentracyjnych.

Józef Korol

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Najsilniejsze i najliczniejsze regionalne struktury konspiracyjne na ziemiach wcielonych do III Rzeszy utworzono w Wielkopolsce. 8 grudnia 1939 r. kilka grup wojskowych połączyło się w organizację Wojsko Ochotnicze, na czele której stanął kpt. Leon Komorski. W kręgu działaczy ruchu narodowego powstała Ojczyzna, którą kierowali kolejno ks. Józef Prądzyński, Witold Grott (obaj później zamordowani przez Niemców) oraz Jan Jacek Nikisch, po wojnie więziony przez komunistów. I tutaj jednak uderzenie niemieckie doprowadziło do ich rozbicia, a następnie okrutnych represji. Wiosną 1940 r. los ten spotkał Wojsko Ochotnicze. Ci, którzy uniknęli aresztowań, zwykle angażowali się później w działalność ZWZ-AK.

Spośród innych obszarów wcielonych do III Rzeszy silny opór przeciw okupantom od początku wojny zaznaczył się w Łodzi. Tam powstały Polska Organizacja Bojowa oraz grupa Borysa Fedotiewa, której członkowie rekrutowali się z okręgu łódzkiego Związku Strzeleckiego, Polska Organizacja Wojskowa pod dowództwem Antoniego Kalinowskiego, „Głos Polski" i „Pochodnia". W ciągu kilku miesięcy poniosły one znaczne straty z rąk Niemców lub zostały rozbite. Jak pisał badacz konspiracji łódzkiej Tomasz Toborek: „tworzenie struktur w Łodzi charakteryzowało się spontanicznością działań i ich żywiołowym

eprasa.pl 5608f5901c

charakterem, co niestety – w połączeniu z brakiem doświadczenia w tego typu pracy skutkowało licznymi przykładami dekonspiracji".

Opinię tę można odnieść także do innych inicjatyw podziemnych na ziemiach polskich wcielonych do III Rzeszy. Znaczna część tych organizacji została szybko rozbita, do czego się przyczyniły – co należy podkreślić – znacznie trudniejsze niż w Generalnym Gubernatorstwie warunki prowadzenia działalności konspiracyjnej, a także masowe wysiedlenia Polaków, które uderzyły w potencjalną bazę społeczną rodzącej się konspiracji. Natomiast te struktury, które ocalały, weszły w skład większych organizacji lub – w wypadku wojskowych – zwykle z czasem podporządkowały się Armii Krajowej.

„Polska żyje"

Po opuszczeniu kraju przez gen. Orlika-Rückemanna, który przedostał się do armii polskiej na Zachodzie, dowództwo Tajnego KOP objął oficer jego sztabu, uczestnik walk z Armią Czerwoną, mjr Bolesław Studziński. Za działalność niepodległościową był więziony w moskiewskich Butyrkach jeszcze jako nastolatek, później z wielkim zaangażowaniem działał w POW, a w WP jako dowódca batalionu był ciężko ranny w wojnie z bolszewikami. To on rozwinął działalność organizacji, której nadał nazwę Obrońcy Polski, a następnie Komenda Obrońców Polski. Wyróżniła się ona w dziejach Polski Podziemnej wydaniem pisma konspiracyjnego, długo uchodzącego za pierwsze w okupowanym kraju (jak ustalił Andrzej K. Kunert było ono jednak trzecim w kolejności), pod znamiennym tytułem „Polska Żyje".

Ten początkowy niepodległościowy charakter organizacji został zatracony po śmierci Studzińskiego wiosną 1940 r. (nastąpiła ona – jak rzadko w konspiracji – z przyczyn naturalnych, zmarł bowiem na zapalenie płuc), kiedy w niejasnych okolicznościach jej kierownictwo przejął Henryk Borucki „Czarny", wcześniej firmujący grupkę konspiracyjną o nazwie Gwardia Ludowa, która jeszcze w połowie października 1939 r. dołączyła do

KSEROKOPIA

Biuletyn ten nie może dostać się w ręce wroga! Nie rzucaj! Nie zgub! Nie niszcz! Przeczytaj i daj dalej w ręce dobrego Polaka!

M. p. 15 X. 1939 r.

POLSKA ŻYJE!

Biuletyn informacyjny

Treścią dzisiejszego biuletynu jest apel do wszystkich dobrych obywateli. Apel ten pisany ręcznie ukazał się po raz pierwszy dnia 1 października 1939 r. Dnia 10 października był przepisany na maszynie i rozesłany po całym kraju. Dziś podajemy go w całości w naszym biuletynie jako dowód, że bezpośrednio po rozbiciu przez wrogów naszych armij przystąpiliśmy do organizowania społeczeństwa i przygotowywania go do ostatecznej krwawej rozprawy z wrogami.

Oto treść apelu:

OBYWATELE-PATRIOCI!

Odwieczni nasi wrogowie zajęli Polskę. Armie nasze musiały wobec straszliwej przewagi wojsk, samolotów i czołgów niemieckich i bolszewickich. Ojczyzna nasza skrwawiona, ale żyć będzie! Godzina zemsty wybijeł Zapłacimy wówczas tym ciemiężycielom za zburzone i spalone miasta i sioła, za zamordowanych naszych braci, kobiety i dzieci, za zbezczeszczone i zrabowane Domy Boże, za cierpienia i łzy milionów Polaków, za zniszczony i rozgrabiony dorobek całego życia.

Okrutny zbój Niemiec, podpalacz pokoju świata, padnie, bo paść musi! Zostanie również złamana moc czerwonych hord bolszewickich, pustoszących nasz kraj na wschodzie. Musimy tylko czaru zacisnąć zęby i trwać, aż armia francuska, angielska i armia polska we Francji rozgromią Niemców na zachodzie! Nasi polscy sprzymierzeńcy, którzy mają olbrzymie zapasy złota, sprzęta w ludzi, mogą prowadzić wojnę całą siłą! Natomiast Anglii, bez zerwat zbójów niemieckich, bez złota

„Polska Żyje" – pismo Komendy Obrońców Polski

FOT. BIBLIOTEKA CYFROWA UMCS

KOP. Na początku 1941 r. KOP poniosła ogromne straty z powodu aresztowań, które rozbiły jej struktury na Lubelszczyźnie i północnym Mazowszu, a także dość silne siatki na ziemiach wcielonych do Rzeszy.

Aresztowania nie uniknął Borucki, który był chyba jedynym komendantem podziemnej organizacji maskującym się noszeniem damskiej odzieży. Po rocznym pobyciu na Pawiaku w mało przejrzystych okolicznościach zbiegł i ponownie objął kierownictwo znacznie już zmniejszonej KOP, której z czasem nadał charakter skrajnie lewicowy, sprzyjający komunistom. Z kilkoma innymi grupkami weszła ona potem w skład Polskiej Armii Ludowej, a Borucki zaczął się tytułować generałem, chociaż nie był oficerem WP, a jedynie drobnym urzędnikiem wojskowym. Liczba członków tej „armii" ledwie przekraczała setkę osób i jak oceniano w dokumentach AK: „Pod względem liczebności i zwartości nie przedstawiają [one] żadnego ciężaru gatunkowego, a ideologicznie skłaniają się wyraźnie ku komunie".

Wśród pierwszych organizacji powstałych w GG wyróżniała się Organizacja Orła Białego, której struktury opierały się na oddziałach przedwojennego Związku Strzeleckiego. Jej założycielem był piłsudczyk i wybitny działacz niepodległościowy Kazimierz Kierzkowski, poseł na Sejm RP i były komendant Związku Strzeleckiego. Działała ona przede wszystkim na południu kraju – w Krakowskiem, Kieleckim, Zagłębiu Dąbrowskim, swoimi wpływami sięgając Śląska. Wśród jej przywódców znaleźli się przyszli wyżsi oficerowie ZWZ-AK: ppłk dypl. Kazimierz Pluta-Czachowski, ppłk Henryk Kowalówka, płk Ludwik Muzyczka.

Wojskowy charakter miało również tworzone od drugiej połowy września 1939 r. na bazie przedwojennych struktur dywersji pozafrontowej Pogotowie Wojskowe, przekształcone następnie w Tajną Organizację Wojskową. Na jej czele stanął mjr Jan Mazurkiewicz, w późniejszym okresie dowódca Kedywu i – pod pseudonimem Radosław bohater powstania warszawskiego. TOW prowadziła przez dłuższy czas samodzielną działalność, unikając scalenia z ZWZ i AK, do którego ostatecznie doszło dopiero w marcu 1943 r. Jeszcze jedną z najpoważniejszych organizacji wojskowych była Tajna Armia Polska, której założycielem i komendantem

Kazimierz Pluta-Czachowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Jan Henryk Włodarkiewicz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 5608f5901c

został mjr Jan Henryk Włodarkiewicz. W dziejach Polski Podziemnej pamięć o niej wiąże się przede wszystkim z osobą jednego z jej czołowych oficerów, ppor. Witolda Pileckiego, który jako jej członek stworzył konspirację w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau.

„Racławice” i inni

Organizacja Orła Białego, Tajna Armia Polska i Tajna Organizacja Wojskowa z czasem scaliły się z ZWZ, o czym zdecydował ich wojskowy charakter. W pierwszych tygodniach okupacji niemieckiej powstały jednak także organizacje niepodległościowe, unikające sytuowania się w którymś z głównych nurtów politycznych, co wynikało w pewnym stopniu z tego, że powstały w kręgu środowisk obecnych w przedwojennym obozie rządzącym, od którego teraz się odżegnywały. Działały one samodzielnie przez prawie cały okres wojny, a były wśród nich m.in. Chłopska Organizacja Wolności „Racławice”, Polska Niepodległa, Polski Związek Wolności i Związek Odbudowy Rzeczypospolitej. ChOW „Racławice” utworzyli działacze Centralnego Związku Młodej Wsi, powołując równocześnie własną siłę wojskową – Polską Organizację Zbrojną. W pierwszych latach okupacji „Racławice” były poważnym konkurentem Stronnictwa Ludowego na wsi i chociaż później stopniowo utraciły te wpływy, to do końca wojny zachowały liczące się struktury. Polska Niepodległa została powołana w listopadzie 1939 r. w kręgu członków Związku Peowiaków, a więc w środowisku dawnych członków Polskiej Organizacji Wojskowej. Silnie akcentowała ona jednak swoją apolityczność, uznając „że w latach wojny nie można było marnować sił na jakąkolwiek walkę polityczną”.

Spośród mniejszych organizacji aspirujących do miana wojskowych były m.in. Strażacki Ruch Oporu „Skała” na czele z Jerzym Lgockim i Stanisławem Gieysztorem. Ten drugi wkrótce został okrutnie zamordowany w Auschwitz. Pod koniec wojny z rąk Niemców zginął także Lgocki. Związek Czynu Zbrojnego kierowany przez Franciszka Znamirowskiego, Organizacja Wojskowa – Kadra Bezpieczeństwa kpt. Witolda Orzechowskiego, Związek Powstańców Niepodległościowych. Ostatnia z nich, na czele z Sebastianem Chorzewskim, grupowała dawnych uczestników powstań śląskich, którzy obecnie przebywali w GG. Związek wydawał jedno z pierwszych pism konspiracyjnych w kraju – „Monitor”. Tę organizację szybko dotknęły aresztowania – sam Chorzewski został wiosną 1940 r. zamordowany przez Niemców w Palmirach. Po tych represjach ZPN przemianowano na Kadrę Polski Niepodległej.

Upamiętnienie powstania „Gryfa Kaszubskiego” w Stężycy FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GDAŃSK

Druk ulotny organizacji Miecz i Pług
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Wśród mniejszych organizacji wyróżniał się Miecz i Pług powstały w październiku 1939 r. pod kierownictwem ks. Leona Poeplaua, kapelana wojskowego, który przyjął pseudonim Wolan. Po jego aresztowaniu latem 1940 r. i rychłej śmierci w obozie w Auschwitz komendantem został Anatol Słowikowski. Z czasem Miecz i Pług rozwinął szeroką działalność, obejmującą również ziemie polskie wcielone do III Rzeszy. Na historii organizacji silnie zaciążyły kontakty Słowikowskiego z gestapo i podejmowane przez niego, bez wiedzy członków Miecza i Pługa, próby nawiązania porozumienia z Niemcami. Kiedy zostały one wykryte, Słowikowski wraz ze swoim współpracownikiem Zbigniewem Gradem zostali zastrzeleni 18 września 1943 r. przez własnych podkomendnych. Miecz i Pług kontynuował działalność konspiracyjną, a krótko przed wybuchem powstania warszawskiego podporządkował się temu odłamowi Narodowych Sił Zbrojnych, który wcześniej scalił się z Armią Krajową.

*

Spośród wszystkich wymienionych organizacji najbardziej trwałe w sensie znaczenia roli odegranej w dziejach Polskiego Państwa Podziemnego okazały się struktury wywodzące się ze Służby Zwycięstwu Polski, które dały początek podziemnej armii, oraz organizacje cywilne i wojskowe zbudowane przez największe stronnictwa polityczne w okupowanym kraju. To one doprowadziły z czasem do zbudowania Polskiego Państwa Podziemnego. Aby jednak mogło do tego dojść, konieczne było zaangażowanie oraz zdolności organizacyjne dziesiątek tysięcy Polek i Polaków ze wszystkich warstw społecznych w pierwszych miesiącach okupacji, wyrażające się w aktywności w wielu innych inicjatywach patriotycznych, w każdym wypadku znaczonych ogromną ofiarą poświęcenia i cierpienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 5608f5901c

Piotr Zychowicz

Cena bohaterstwa / Niemiecki odwet na cywilach

Dwa oblicza „Hubala”

FOT. NAC

Major Dobrzański był bohaterem. Jednak cenę za jego działalność poniosła polska ludność cywilna

Mało jest w najnowszej historii Polski wydarzeń, które wywoływałyby tak mieszane uczucia jak epopeja mjr. Henryka Dobrzańskiego. Jest to jedna z największych heroicznych legend drugiej wojny światowej, którą w polskiej świadomości narodowej ugruntował PRL-owski film Bohdana Poręby „Hubal” z 1973 r.

Dlaczego decyzje i działania podjęte przez mjr. Dobrzańskiego wywołują mieszane uczucia? Z jednej strony mamy bowiem do czynienia z przykładem bezsprzecznego bohaterstwa. I to bohaterstwa najwyższej próby.

Major Dobrzański nie może się pogodzić z wrześniową katastrofą i kapitulacją Wojska Polskiego, dlatego nie składa broni. Na czele swoich żołnierzy „zapada w lasy”, aby kontynuować walkę z niemieckim okupantem. Jako dowódca „Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego” staje się pierwszym partyzantem drugiej wojny światowej.

Przez pół roku toczy zaciekłą wojnę podjazdową z Niemcami w lasach Kielecczyzny. „Hubal” staje się postrachem okupantów, ale – wobec gigantycznej dysproporcji sił – tragedia jest nieuchronna. Jego ułańską epopeję kończy śmierć na polu chwały. Major ginie 30 kwietnia 1940 r. w boju pod Anielinem. Pierś dzielnego oficera przeszywa seria z niemieckiego karabinu maszynowego.

Czyż można sobie wyobrazić bardziej porywającą opowieść? Niezłomny żołnierz Rzeczypospolitej, który walczy do ostatniego pocisku. Niemal w pojedynkę rzuca wyzwanie potężnej III Rzeszy i bezwzględnemu wyrokowi historii. A na koniec składa najwyższą ofiarę na ołtarzu ojczyzny. Trudno się dziwić, że „Hubal” zajął poczesne miejsce w polskim panteonie herosów i męczenników sprawy narodowej.

Przed jego bohaterstwem – jak wszyscy rodacy – chylę czoła.

Zaplecze dla „leśnych”

Teraz pora na przedstawienie drugiej strony medalu, o której apologeci majora mówią półgębkiem lub wcale. Otóż brawurowa szarża, która zapewniła nieśmiertelność mjr. „Hubalowi”, miała swoją cenę. Zapłaciła ją ludność wiejska terenów, na których działał jego oddział. W odwecie za akcje „Hubala” Niemcy spacyfikowali 31 polskich wsi i wymordowali 712 osób.

Do zbrodni tych doszło w marcu i kwietniu 1940 r. Niemieckie oddziały zaangażowane w obławę na „Hubala” zastosowały taktykę, którą stosuje większość armii świata zwalczających partyzantkę. Czyli – nie mogąc dopaść nieuchwytnego „Szalonego Majora” – uderzały w cywilną ludność wiejską, która stanowi naturalne zaplecze dla „leśnych”. Zapewnia im pożywienie, schronienie i podwody. Służy informacją.

eprasa.pl 5608f5901c

W przypadku tzw. pacyfikacji hubalowskich niemiecki okupant zastosował wyjątkowo okrutne metody. Masowe rozstrzeliwania zakładników, niszczenie mienia, palenie domów, zabudowań gospodarskich i całych miejscowości. Do mordów doszło m.in. we wsiach Skłoby, Szałas, Królewiec, Stefanów, Gałki, Hucisko czy Stadnicka Wola. A wśród ofiar znalazły się kobiety i dzieci.

Z perspektywy Polaków „Hubal" był bojownikiem o wolność. Perspektywa Niemców była oczywiście diametralnie odmienna.

6 października 1939 r. kapitulowała Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga. Tym samym wojna polsko-niemiecka dobiegła końca. W niemieckiej optyce od tego momentu każdy, kto strzelał do przedstawicieli władz okupacyjnych, nie był żołnierzem, tylko buntownikiem i pospolitym bandytą. I zgodnie z drakońskim prawami okupacji zasługiwał na śmierć. Zasadą tą Niemcy objęli również każdego, kto wspierał partyzantów.

O tym, że straszliwe represje niemieckie spadną na ludność cywilną, było przekonane kierownictwo polskiego podziemia. Według dowódcy struktur Związku Walki Zbrojnej płk. Stefana Grota-Roweckiego była to sytuacja niedopuszczalna. Nie można było w tak lekkomyślny sposób narażać życia rodaków.

Dlatego wydał on bezwzględny rozkaz rozwiązania oddziału. „Hubalowi" przekazał go 13 marca 1940 r. we wsi Gałki Krzczonowskie dowódca łódzkiego okręgu ZWZ ppłk Leopold Okulicki „Miller". Major Dobrzański odmówił wykonania rozkazu i nie podporządkował się woli „Grota". Kontynuował swoją walkę przeciwko okupantowi, która wkrótce – zgodnie z przewidywaniami Roweckiego – przyniosła tragiczne konsekwencje.

Zajrzyjmy do monumentalnego dzieła „Armia Krajowa w dokumentach" (tom I), aby przekonać się, jaka była opinia pułkownika „Grota" na temat „Hubala":

„W Końskiem niepoczytalne wystąpienie Hubala (mjr. Do), który dwukrotnie nie usłuchał rozkazu rozwiązania partyzantki i zainicjował wystąpienie zbrojne, krótkotrwałe, okupione życiem wielu chłopów, rozstrzelanych w okolicznych wioskach. Hubala ścigam, chcę go wysłać za granicę, w przyszłości oddam pod sąd" (meldunek z 15 kwietnia 1940 r.).

„Duże trudności miała organizacja w związku ze sprawą Hubala. Ten dzielny, choć niesforny oficer, wbrew rozkazom Kmdy Gł. rozpoczął na własną rękę walkę partyzancką z Niemcami. W następstwie został rozbity, a później sam zginął w ucieczce i został pochowany przez Niemców z honorami w Tomaszowie. Następstwa tego: krwawy terror, zniszczenie całkowite kilkunastu wsi i rozstrzelanie 700 chłopów, przyczyniły się do odstręczenia ludzi od organizacji (meldunek z 21 listopada 1940 r.).

Pułkownik „Grot" miał rację. Działania mjr. Dobrzańskiego sprowadziły krwawy odwet niemiecki na ludność cywilną. A jedyny rezultat, jaki odniosły, to zniechęcenie miejscowych Polaków do polskiej konspiracji i struktur podziemnych.

Zasadniczym błędem „Hubala" była fałszywa kalkulacja strategiczna. Major swoją akcję oparł na założeniu, że wiosną ruszy wielka ofensywa aliantów: Francuzów i Brytyjczyków. W momencie gdy armie sprzymierzonych miały maszerować na Berlin, „Hubal" planował na nieprzyjacielskich tyłach rozpocząć wielką akcję dywersyjną.

Jak wiadomo, kalkulacje te były oderwaną od realiów mrzonką. Wiosną 1940 r. to nie Francuzi pomaszerowali na Berlin, tylko Niemcy pomaszerowali na Paryż. Walka podjęta przez mjr. Dobrzańskiego była więc przedwczesna i nie miała najmniejszego sensu. „Hubal" nie mógł wyzwolić Polski. Sprowadził jedynie cierpienia na ludność wsi, które miały to nieszczęście, że w ich pobliżu operowali „hubalczyczy".

Niepotrzebne straty

Jacek Komuda pisze, że nie wie, „skąd się bierze naiwna wiara części historyków, jak Piotra Zychowicza, że bez działalności majora Niemcy nie stosowaliby terroru, skoro jeszcze przed wojną szczegółowo zaplanowali mordowanie Polaków".

Stwierdzenie to jest sprzeczne z elementarną logiką i faktami. Ani ja, ani żaden inny historyk nigdy nie twierdził, że bez działalności mjr. „Hubala" Niemcy nie stosowaliby terroru w okupowanej Polsce.

Niemcy oczywiście stosowaliby terror. Ale nie wobec tych konkretnych wsi. I nie wobec tych konkretnych ludzi. W archiwach nie ma najmniejszego śladu świadczącego o tym, że Niemcy „przed wojną szczegółowo zaplanowali mordowanie Polaków" z wiosek Skłoby, Szałas, Królewiec, czy Hucisko na Kielecczyźnie. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że nawet nie wiedzieli o ich istnieniu.

Terror niemiecki w pierwszym okresie okupacji był wymierzony w przedstawicieli polskich elit. Jego celem było „prewencyjne" zdławienie potencjalnego oporu przez pozbawienie narodu polskiego – używając określenia Heinricha Himmlera – „warstwy przywódczej".

Dlatego Niemcy już przed wojną przygotowali listy proskrypcyjne, na których znalazły się nazwiska księży, ziemian, intelektualistów, działaczy politycznych i społecznych. Posłużyły one do przeprowadzenia zbrodniczej „Intelligenzaktion" na terenach wcielonych do Rzeszy (wrzesień 1939–kwiecień 1940).

Odpowiednikiem tej operacji w Generalnym Gubernatorstwie była Akcja AB. W jej ramach między majem a lipcem 1940 r. niemieckie siły bezpieczeństwa rozstrzelały ok. 3,5 tys. przedstawicieli polskich elit i 3 tys. kryminalistów.

Terror był więc punktowy i wymierzony – powtórzmy to jeszcze raz – w „warstwy przywódcze". W tym okresie okupacji nigdzie na terenie Generalnego Gubernatorstwa nie przeprowadzono masowej operacji pacyfikacyjnej wymierzonej w polską ludność wiejską. Nigdzie, poza terenem, na którym działał „Hubal".

Władze niemieckie nie ukrywały zresztą, że te konkretne pacyfikacje są zemstą za działania majora.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie twierdzi, że „Hubal" sprowokował cały terror niemiecki skierowany przeciwko Polakom podczas drugiej wojny światowej. Ale bez wątpienia jego działania przyczyniły się do powiększenia strat narodu polskiego. Ci konkretni ludzie, których Niemcy rozstrzelali wiosną 1940 r. w odwecie za akcje „Hubala", mogliby przeżyć.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Renesans / Olśniewająca katedra

Duomo, czyli dusza Florencji

Sławomir Koper

Każde ze średniowiecznych włoskich miast–państw chciało wykazać swoją wyższość nad sąsiadami również w dziedzinie sztuki. Jednym z przejawów dominacji miała być budowa najpiękniejszej i największej katedry (duomo). Florencja postanowiła przyćmić w tym względzie całą konkurencję

W połowie XIII w. Florencja liczyła 65 tys. mieszkańców i była czwartym pod względem wielkości miastem Europy (za Mediolanem, Wenecją i Paryżem). Kraków w tym czasie liczył niewiele ponad 10 tys. ludności, a był przecież największym polskim miastem. Mieszkańcy Florencji bogacili się dzięki przemysłowi tekstylnemu i handlowi, a jednocześnie miasto stało się centrum kredytowym zachodniej Europy. Florencja biła też najmocniejszą walutę ówczesnej Europy, gdyż złoty floren zawierał 3,5 g złota i stał się wzorem dla innych państw. Naśladowano go także w Wenecji, w której wybijano cekiny, a w innych państwach pojawiły się dukaty, co oznaczało „monetę księcia". W państwach, w których nie było wystarczających zapasów złota, pojawiły się emisje monet srebrnych o wartości równej dukatom. Od niemieckiej nazwy „thaler" zaczęto je określać mianem talarów, co przyjęło się na całym kontynencie i stąd też nazwa dolar.

Mimo licznych wojen z sąsiadami i zaburzeń społecznych miasto wciąż się rozwijało, a w 1293 r. doszło do ważnych zmian ustrojowych. Odebrano władzę najzamożniejszym rodom arystokratycznym i dopuszczono do rządów członków miejskich cechów, właścicieli manufaktur tekstylnych, bankierów i prawników. Ale na tym nie koniec. Prawa uzyskali również sklepikarze, rzemieślnicy i artyści, chociaż wykluczono osoby zalegające

eprasa.pl 5608f5901c

Katedra Santa Maria del Fiore we Florencji

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, STOKES FLICKR

z podatkami. Od tej pory Florencją miały rządzić pieniądze.

Kolebka renesansu

Nie wiadomo, kiedy dokładnie narodził się renesans. Z wielkimi epokami historycznymi mamy ten problem, że żadna z nich nie rozpoczęła się ani nie zakończyła jednego dnia. Wprawdzie historycy podają umowne daty oznaczające koniec antyku czy średniowiecza, ale nawet oni nie potrafią określić jednego, konkretnego roku. Część badaczy twierdzi, że jako początek renesansu należy przyjąć datę zdobycia Konstantynopola przez Turków (1453), inni, że dotarcie przez Kolumba do Ameryki (1492). A tak naprawdę był to proces bardzo złożony, którego ówcześni mieszkańcy zupełnie nie dostrzegali. Dla nich wciąż trwała epoka, w której żyli i której nawet nie potrafili nazwać, ponieważ określenia dzisiaj używane mają o wiele późniejszy rodowód.

Wiadomo jednak, że renesans narodził się w Italii, a dokładnie we Florencji. To przecież z tego miasta pochodzili Dante Alighieri i Francesco Petrarca, a Giovanni Boccaccio spędził tutaj znaczną część życia. Miasto nad Arno przodowało także w sztuce, gdyż powstawały tutaj najlepsze dzieła Cimabue i Giotta.

Pewną cezurą może być natomiast data rozpoczęcia budowy katedry we Florencji, której kamień węgielny położono we wrześniu 1296 r. Jej projektantem był Arnolfo di Cambio. Cieszył się on już sławą jako utalentowany rzeźbiarz i architekt, a wcześniej pracował w Perugii i w Rzymie. Kiedy osiadł nad Arno wiadomo było, że także tutaj odciśnie swoje piętno. I faktycznie tak się stało.

Władze miasta początkowo zamierzały odnowić stary Kościół pw. św. Reparaty, ale di Cambio przedstawił bardziej ambitne plany. Zaproponował wyburzenie dotychczasowej świątyni oraz okolicznych domów. Projekt przyjęto i budowa ruszyła z miejsca. Osobiście nadzorował ją architekt, który jednak po sześciu latach zmarł (od 1302 r. brakuje jego zeznań podatkowych).

Nie wiadomo, jak w jego zamierzeniach miała wyglądać katedra; zasadnicza część projektu była realizowana bowiem prawie 150 lat, a fasada została ukończona dopiero po sześciu wiekach. Architekci często się zmieniali, ale wiadomo, że di Cambio zaprojektował solidne fundamenty, tak by powstała największa świątynia w Italii.

Po ponad 100 latach przed inwestorami pojawił się jednak problem – wzniesienie kopuły. Miało to być największe zwieńczenie świątyni na świecie, ponieważ jej średnica miała wynieść ponad 45 m. Czyli 2 m więcej niż w przypadku rzymskiego Panteonu, a tajemnica powstania tamtejszej czaszy została już dawno zapomniana. Z racji rozmiarów nie wchodziły w grę dotychczas stosowane metody i wydawało się, że projekt przerósł możliwości techniczne inwestorów. Wtedy na scenę wkroczył Filippo Brunelleschi, z zawodu złotnik, który wiele czasu spędził w Rzymie, w którym poznał metody stosowane przez antycznych architektów. Udało mu się nawet wejść na dach Panteonu, gdzie zdarł fragment poszycia. Dzięki temu pojawił się w rodzinnym mieście z gotowym planem działania.

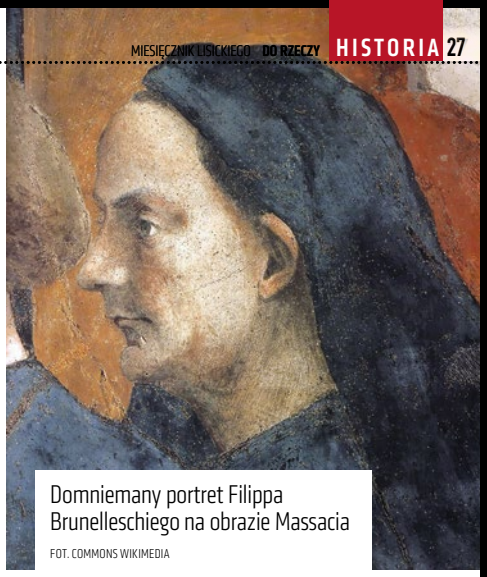

Domniemany portret Filippa Brunelleschiego na obrazie Massacia

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Architekt choleryk

Brunelleschi nie był łatwym człowiekiem i uchodził za zarozumiałego gwałtownika, z którym współpraca była bardzo trudna. Poza tym, jak na prawdziwego artystę przystało, nie lubił się dzielić swoimi pomysłami z innymi, gdyż uważał, że jest to tajemnica jego warsztatu.

We wrześniu 1418 r. władze miasta rozpisały konkurs na projekt budowy kopuły, ale nikt nie przedstawił sensownego pomysłu rozwiązania problemu. Dopiero po dwóch latach dyskusji i sporów pojawił się projekt Brunelleschiego, który zaplanował czaszę na planie ośmioboku o wysokości 70 m (z latarnią aż 107 m). Ze względu na rozmiary nie zamierzał używać rusztowań i filarów. Zamiast tego chciał wykorzystać ruchome pomosty podnoszone w miarę postępu prac. Czasza miała się składać z dwóch warstw, ceglanej i kamiennej, między którymi miała się znaleźć czterometrowa wolna przestrzeń.

Genialny pomysł Brunelleschiego zakładał zastosowanie żeber, tak by kolejne partie wznoszonej kopuły usztywniały całą konstrukcję. Dolne pierścienie dodatkowo powinny zostać wzmocnione ołowianymi obręczami, a w narożnikach ścian miały się pojawić łuki oporowe.

Władze miejskie nie dowierzały jednak architektowi i obrady miały bardzo burzliwy przebieg. Pomysły

eprasa.pl 5608f5901c

Brunelleschiego tak dalece odbiegały od stosowanych dotychczas rozwiązań, że uznano go za osobę obłąkaną. Inna sprawa, że niełatwo było mu przedstawić swoje zamysły, ponieważ Brunelleschi był człowiekiem zapalczywym i łatwo tracił panowania nad sobą.

„[…] Budził coraz więcej wątpliwości – komentował Giorgio Vasari – i sprawił, że coraz mniej mu wierzono, mając go za niespełna rozumu gadułę. Parokrotnie wołano, żeby już przestał mówić i że powinien odejść, a kiedy nie chciał wyjść, pachołkowie wynieśli go siłą z zebrania, uważając za wariata".

Nie pojawił się jednak żaden nowy projekt i władze musiały zaakceptować plany Brunelleschiego. Ale nie do końca mu zaufano i podpisano kontrakt tylko na początkową fazę inwestycji. Brunelleschi jednak doskonale wiedział, co chciał osiągnąć i nie przejmował się uwagami, że ze względu na rozmiary czaszy nie uda się bezpiecznie transportować materiału budowlanego na tak dużą wysokość. Opracował system kołowrotów i wyciągów, za których pomocą wciągano materiały, podobno zresztą osobiście oglądał każdą cegłę i każdy kamień używane do budowy. Nie zapominał o żadnym szczególe, założył nawet specjalne haki, które mogły być wykorzystywane w przyszłości przy malowaniu fresków czy też układaniu mozaik. Oczywiście pamiętał też o odpływach dla wody i o wlotach powietrza.

Nic zatem dziwnego, że podpisano z nim kolejny kontrakt, mianowano go głównym budowniczym i dodano mu tytuł „wynalazca", który musiał mu się szczególnie podobać. Bez problemu wygrał też konkurs na projekt latarni, której rozmiary również przekraczały wszystko, co dotychczas zbudowano (miała ponad 30 m wysokości). Ale dla Brunelleschiego nie stanowiło to problemu – latarnia miała nie tylko zwieńczyć kopułę, lecz także zapewnić jej stabilność. Architekt złotnik nie ujrzał jednak swojego dzieła skończonego, gdyż zmarł rok po rozpoczęciu budowy latarni.

Brunelleschi był bez wątpienia geniuszem, ale trudny charakter sprawił, że miał wielu wrogów. Chociaż bowiem powszechnie podziwiano jego talent, to zawiść ludzka nieraz dawała znać o sobie. Wprawdzie wpisano go do Złotej Księgi obywateli miasta i przyznano roczną, wysoką pensję (100 florenów), to jednak zdarzyło mu się również trafić do więzienia. W 1436 r., gdy konsekrowano katedrę, przełożeni cechu murarzy ogłosili, że Brunelleschi działał nielegalnie, ponieważ nie był członkiem ich korporacji (należał do cechu złotników). W tamtych latach we Florencji uważano to za poważne przestępstwo, ale ostatecznie architekta wypuszczono na wolność i przyjęto w poczet członków murarskiego bractwa.

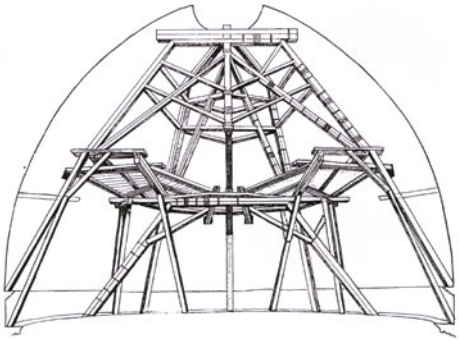

Konstrukcja kopuły katedry we Florencji

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Pusta katedra

Trudno sobie wyobrazić Florencję bez charakterystycznej kopuły katedry Santa Maria del Fiore. W pierwszych odcinkach słynnego serialu o dziejach rodziny Medyceuszy pojawiały się ujęcia miasta bez zwieńczenia świątyni (usunięto je cyfrowo), przez co Florencja wydawała się zupełnie innym miastem. Podobnie stałym elementem miejscowego krajobrazu jest kampanila przy świątyni. Zaprojektował ją Giotto di Bondone, który był jednak znacznie lepszym malarzem niż architektem i jego projekt kilka razy korygowano. Dzwonnicę ukończono na długo przed kopułą, gdyż już w 1359 r. Na jej taras widokowy prowadzi ponad 400 stopni i autor niniejszego artykułu podczas pierwszego pobytu we Florencji ćwierć wieku temu wspiął się na szczyt, by obejrzeć miasto nad Arno z tej perspektywy. W późniejszych latach nie próbował już jednak powtórzyć tego wyczynu...

Nieprawdopodobne wrażenie wywiera fasada świątyni. Wprawdzie ukończono ją dopiero pod koniec XIX w. i jest utrzymana w stylu neogotyckim, ale jej widok zapiera dech w piersiach. Inna sprawa, że duomo wyjątkowo długo czekał na główną elewację, ponieważ nieukończoną fasadę według planów Arnolfa di Cambio rozebrano jeszcze pod koniec XVI w. Przez kolejne 300 lat (!) deliberowano nad kolejnymi projektami, a wpływ na to miała sytuacja polityczna, gdyż Florencja pod rządami ostatnich Medyceuszy została sprowadzona do roli prowincjonalnego włoskiego miasta. Dopiero po zjednoczeniu Italii, kiedy na krótko stała się siedzibą władz państwa, sprawy nabrały przyspieszenia. Chociaż stolicę przeniesiono ostatecznie do Rzymu, to w 1871 r. zaaprobowano projekt florenckiego architekta Emilio de Fabrisa i fasada została ukończona.

Elewacja zachwyca, ponieważ nie jest przeładowana zdobnictwem, co może przeszkadzać przy odbiorze mediolańskiego duomo. Duże znaczenie miało też to, że budowlę obłożono pasami marmuru o różnych barwach, gdzie dominuje biel, róż i zieleń, a geometryczne wzory tylko dodają uroku.

Do wnętrza prowadzą trzy portale, a każdy wprowadza do innej nawy. W środku trudno jednak ukryć zaskoczenie, gdyż świątynia wydaje się wręcz pusta. Ogromna przestrzeń, ponad 150 m długości, prawie 40 m szerokości i aż 90 m wysokości, sprawia, że we wnętrzu znikają elementy wystroju.

A przecież nie brakuje tutaj dzieł wybitnych, ze szczególnym uwzględnieniem fresków przedstawiających zasłużonych dla Florencji kondotierów oraz epizody z „Boskiej komedii". Witraże projektowali

Fasada katedry

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JEBULON

eprasa.pl 5608f5901c

Donatello, Ghirberti i Ucello, natomiast freski na kopule są autorstwa Vasariego i Federico Zuccari. Przedstawiają sceny ze Starego i Nowego Testamentu i powstały właściwie wbrew pierwotnym zamierzeniom Brunelleschiego, który sugerował, by wnętrze kopuły nie było zdobione. Trudno jednoznacznie stwierdzić, co byłoby lepszym rozwiązaniem, ale trzeba przyznać, że monumentalne malowidła wywierają duże wrażenie.

Podobnie jak marmurowa podłoga o różnych barwach, która powstawała przez półtora wieku. Jak widać, wznoszenie katedr w tamtej epoce było dziełem dla wyjątkowo cierpliwych twórców, którzy od początku pracy doskonale wiedzieli, że nigdy nie zobaczą jej finalnego wyniku. Pod tym względem Brunelleschi mógł się uważać za szczęściarza, ponieważ kopułę udało mu się wznieść w zaledwie 16 lat.

Drzwi Raju

Tuż przy katedrze znajduje się Baptysterium św. Jana Chrzciciela uważane niegdyś za najstarszy budynek miasta. Twierdzono bowiem, że jest to dawna świątynia Marsa, która z czasem zmieniła swoje przeznaczenie. W rzeczywistości budowla powstała u schyłku epoki rzymskiej na potrzeby kultu chrześcijańskiego. W średniowieczu została przebudowana w stylu romańskim, przybierając obecną postać, a ostatnim dodatkiem było prostokątne prezbiterium, które powstało w 1202 r.

Do budynku prowadzą trzy wejścia, a każde z nich jest wyposażone w ozdobne drzwi z brązu. Południowe, najstarsze, jest autorstwa Andrei Pisano, pozostałe natomiast stworzył florencki złotnik, Lorenzo Ghiberti. Jego projekt został wybrany w konkursie (pierwszym w dziejach sztuki europejskiej) razem z pracą Brunelleschiego. Nie wiadomo, jak dalej potoczyłyby się losy współpracy (oba projekty były bardzo podobne), ale Brunelleschi obraził się na jurorów i wycofał się z rywalizacji. Zapewne dobrze się stało, że zajął się architekturą, gdyż Ghibertiemu wykonanie pierwszych drzwi zabrało ponad 20 lat. A potem doszły jeszcze kolejne drzwi, nad którymi pracował następne ćwierć wieku!

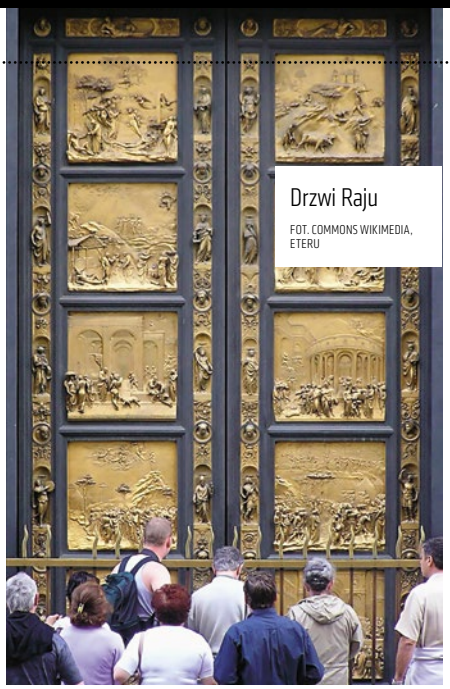

Drzwi Raju

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ETERU

Baptysterium św. Jana Chrzciciela

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FCZARNOWSKI

Przy okazji warto też pamiętać, że data rozpisania konkursu (1401) jest przez niektórych badaczy uważana za umowny początek renesansu nad Arno.

Drzwi są zawsze oblegane przez turystów, którym nie przeszkadza fakt, że to tylko kopia, ponieważ oryginał po powodzi w 1966 r. znalazł się w pobliskim Muzeum dell'Opera del Duomo. Trudno się zresztą dziwić, że postanowiono zadbać o zabytek, skoro woda wyrwała drzwi z zawiasów, tak że znaleziono je prawie 2 km dalej.

Pierwsze drzwi Ghibertiego składają się z 28 kwater, z których większość opowiada o życiu patrona baptysterium, św. Jana Chrzciciela. Osiem dolnych kwater poświęcono postaciom ewangelistów i doktorów Kościoła, a całość pozłocono. Patrząc na dzieło Ghibertiego trudno ukryć zachwyt, ale też pojawia się podziw nad ogromną cierpliwością autora. Przecież artysta pracował nad przyozdobieniem baptysterium przez prawie pół wieku!

Drugie drzwi Ghibertiego to 10 kwater ze scenami biblijnymi. Początkowo planowano, że znajdą się po północnej stronie budynku, ale ukończone dzieło wzbudziło taki zachwyt, że trafiło do głównego wejścia, natomiast drzwi Pisana przeniesiono na południową stronę.

Uznania nie ukrywał nawet Michał Anioł Buonarotti, który raczej nie był skłonny do pochwał. Stwierdził, że drzwi przypominają mu wrota do raju. Nazwa ta przyjęła się i bywa używana do dziś.

Ciekawostką są natomiast dwie kolumny z porfiru znajdujące się przy głównym wejściu. Niespecjalnie pasują do wystroju budynku, ale był to dar od mieszkańców Pizy za pomoc zbrojną, jaką kiedyś udzieliła im Florencja. Nawiasem mówiąc, kolumny dotarły do miasta mocno sfatygowane, gdyż na statku, który transportował je wodami Arno, wybuchł pożar. Kolumny jednak pozostawiono, być może dlatego, że późniejsze stosunki z Pizą były dalekie od poprawności i chciano w ten sposób pokazać, że Florencja potrafiła być wielkoduszna.

Kto narzekał na pustkę wnętrza duomo, ten nie będzie zawiedziony baptysterium. Dwudzielne, arkadowe okna, korynckie kolumny i pilastry, barwna posadzka o geometrycznych wzorach, a do tego efektowne mozaiki na sklepieniu. I grobowiec antypapieża Jana XXIII… To piękne renesansowe dzieło (wykonane przez Donatella i Michelozza) uważane jest za „grób wielkiej schizmy zachodniej". Inna sprawa, że sam pogrzeb antypapieża Jana XXIII miał wyjątkowo uroczystą oprawę i trwał aż dziewięć dni. Wzięło w nim udział duchowieństwo z Florencji, a także przedstawiciele dworu papieskiego. Chociaż w chwili śmierci zmarły był już tylko kardynałem, to podczas pogrzebu wspominano jego dokonania. Niektórzy tłumaczą to tym, że hierarcha zapisał w testamencie na rzecz baptysterium cenną relikwię – prawy palec św. Jana Chrzciciela, którym miał on wskazać Chrystusa i wypowiedzieć słowa: „Oto Baranek Boży".

A jeżeli ktokolwiek byłby zawiedziony wystrojem florenckiego duomo, to powinien się udać do Sieny. Owocem rywalizacji politycznej tego miasta z Florencją stała się katedra, której wnętrze może olśnić każdego. Ale to już materiał na inny artykuł.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Wieki XVI–XX / U północnego wybrzeża Rosji

Christiaan Julius Lodewijk Portman, „Śmierć Williama Barentsa"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NARODOWE MUZEUM MORSKIE W LONDYNIE

Arktyczni pionierzy

Anna Szczepańska

Ostatni większy kawałek nieznanego wcześniej lądu naniesiono na mapy dopiero w latach 30. XX w. Dlaczego zajęło to tak dużo czasu?

Lodołamacze „Wajgacz" i „Tajmyr" mijały kolejną dużą czapę lodową. Pod koniec sierpnia słońce schodziło coraz niżej, zbliżając się do linii horyzontu. Choć wciąż trwał dzień polarny, lada chwila miało się to zmienić i nieustanne światło miało zacząć ustępować nocy. Wciąż był to jednak dobry czas na eksplorację wybrzeża. Temperatura często nie schodziła poniżej zera, a lód w Arktyce miał w tym czasie najmniejszą powierzchnię, co pozwalało bezpiecznie docierać do niezbadanych wcześniej zatok i wysypek.

Rosyjscy marynarze płynący na dwóch jednostkach przystosowanych do poruszania się w ekstremalnych, arktycznych warunkach byli częścią rozpoczętej w 1910 r. Ekspedycji Hydrograficznej Oceanu Arktycznego. Było to przedsięwzięcie naukowe finansowane przez rosyjski skarb państwa i marynarkę wojenną, które pomagał przygotowywać m.in. adm. Aleksandr Kołczak, znany później jako jeden z dowódców „białych".

Liczącą 32 osoby załogą złożoną z marynarzy i naukowców dowodził Boris Wilkicki. Część załogi na pewno zdawała sobie sprawę, że bierze udział w historycznym wydarzeniu: mieli dokończyć to, co niemal 200 lat wcześniej zaczął car Piotr I Wielki oraz duński żeglarz w rosyjskiej służbie, Vitus Bering. W latach 30. i 40. XVIII w. Rosja zorganizowała bowiem jedną z największych wypraw eksploracyjnych w historii, zwaną Wielką Wyprawą Północną. Jej celem było zbadanie rosyjskiego wybrzeża arktycznego oraz odkrycie drogi morskiej z Europy do Azji prowadzącej przez Arktykę. Tego drugiego nie udało się wtedy osiągnąć.

„Tajmyr" i „Wajgacz" również miały z tym problem, gdyż arktyczne lody nie pozwoliły przebyć całej trasy. Załoga Wilkickiego nie zmarnowała jednak czasu ani środków przeznaczonych na wyprawę. 3 września 1913 r. marynarze oraz naukowcy płynący w ekspedycji ujrzeli przed sobą ląd, który w teorii nie miał prawa się tam znajdować, ponieważ

eprasa.pl 5608f5901c

nie było go na żadnej mapie. Tego dnia ludzie po raz pierwszy stanęli na jednej z ostatnich nieznanych dotąd wysp na Ziemi. Na lądzie wbili w ziemię rosyjską flagę i ogłosili, że „roboczo" wyspa otrzymuje nazwę Tajwaj (był to akronim utworzony od pierwszej sylaby każdego z lodołamaczy). Załoga w kolejnych dniach próbowała lepiej poznać wyspę, lecz brakowało jej na to czasu, gdyż celem wyprawy było zmapowanie syberyjskiego wybrzeża, a nie „zapuszczanie" się coraz bardziej na północ. Nie wiedzieli jeszcze zatem, że znaleźli nie tylko pojedynczą wyspę, lecz także cały archipelag: Ziemię Północną, ostatni nieodkryty ląd na naszej planecie.

„Tajmyr" i „Wajgacz" w Zatoce Opatrzności na Czukotce, 1913 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EDWARED MARSHALL

Pasja odkrywania

Ludzie od zawsze pragnęli się dowiedzieć, co się kryje za horyzontem. Często wspominamy tych, którzy jako pierwsi odkryli dla Starego Kontynentu Amerykę, znaleźli drogę lądową z Europy do Chin czy też jako pierwsi wyruszyli w podróż dookoła świata. O ile rzadziej, może poza dosłownie kilkoma głośnymi nazwiskami, pamiętamy o tych, którzy eksplorowali bodaj najtrudniejsze dla człowieka tereny na Ziemi: Antarktykę i Arktykę. Powszechnie znany jest wyścig do bieguna południowego z udziałem Roalda Amundsena i Roberta Falcona Scotta, ale już właściwie nieznane pozostają dokonania ich poprzedników, którzy pierwsi przecierali szlaki i prowadzili badania za południowym i północnym kołem podbiegunowym. Warto wspomnieć tu także o naszych rodakach: Henryku Arctowskim i Antonim Bolesławie Dobrowolskim.

Wyprawy morskie na daleką północ w dawnych czasach kojarzą się przede wszystkim z wikingami. To nie oni byli jednak pierwsi. Już w czasach starożytnych zastanawiano się, co się kryje daleko za północnym horyzontem. Na wodach odległej północy umieszczano mityczną wyspę Thule. Pisał o niej żyjący w IV w. p.n.e. grecki marynarz i odkrywca Pyteasz w swoim dziele „O Oceanie", które nie zachowało się jednak do naszych czasów i znane jest tylko dzięki odniesieniom w innych pracach starożytnych uczonych. Pyteasz twierdził, że w czasie jednej z wypraw dopłynął do krańca świata i znalazł lodową wyspę, gdzie słońce rzadko zachodzi, a morze i powietrze zamieniają się w galaretowatą masę. Fragment jego pracy przytacza w swoim dziele „Wstęp do zjawisk niebieskich" matematyk i astronom, Geminos z Rodos: „Barbarzyńcy wskazali nam miejsce, gdzie Słońce kładzie się do snu. W tych stronach noce są bardzo krótkie. W niektórych miejscach dwugodzinne, w innych trzygodzinne, tak że Słońce po zachodzie wkrótce znów wschodzi (cyt. za: F. Nansen, „In northern mists; Arctic exploration in early Times").

Dziś wiemy, że relacje Pyteasza to prawdopodobnie pierwsze udokumentowane zapiski o białych nocach, ale w jego czasach mało kto wierzył w opowieści o słońcu święcącym przez całą dobę czy „zastygającym" morzu. „Nie ma już właściwie ani lądu, ani morza, ani powietrza, lecz jakaś mieszanina tych wszystkich elementów, podobna do płuca morskiego, w której ląd i morze i w ogóle wszystko jest zawieszone. I ona właśnie jest jakby ramami wszystkich rzeczy. Ani przejść, ani przepłynąć przez nią nie sposób" – miał pisać Pyteasz, zapewne o „mieszaninie" mgły i dryfującego lodu, wspominany przez powątpiewającego w jego słowa Strabona (cyt. za: Strabon, „Geografia").

Borys Wilkicki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, POLARPOST.RU

Podróż Pyteasza została przeanalizowana po ponad 2 tys. lat m.in. przez znanego polarnika Fridtjofa Nansena. Choć nie wiemy, jak daleko Pyteasz faktycznie dopłynął, to można przypuszczać, że rzeczywiście ujrzał zamarznięte morze, ponieważ dotarł co najmniej w północne rejony Wysp Brytyjskich (miejsce to, jak dowiedział się od miejscowych, nazywało się „Orcas" od celtyckiego „orc" [pol. dzik], co dało nazwę archipelagowi Orkadów), a później do Szetlandów albo do wybrzeży Norwegii w okolicach dzisiejszego okręgu Møre og Romsdal lub Trøndelag.

Najsłynniejszymi odkrywcami odległych północnych lądów byli wikingowie. W 793 r. napadli i złupili klasztor na wyspie Lindisfarne leżącej u wschodnich wybrzeży Wysp Brytyjskich. Choć od tej daty liczy się początek ery wikińskich najazdów na Brytanię, to nie było to pierwsze takie wydarzenie. Już kilka lat wcześniej skandynawscy wojownicy najeżdżali północną Szkocję, Szetlandy oraz Orkady. W pierwszej połowie IX w. założyli na tych wyspach pierwsze osady. Jeszcze wcześniej wikingowie pojawiali się na Wyspach Owczych. Według nordyckich sag właśnie podczas jednej z podróży na Wyspy Owcze wiking Naddod z powodu złej pogody zboczył z kursu i tym sposobem trafił na Islandię. Padający na wyspie śnieg sprawił, że nazwał ją Krainą Śniegu (Snæland), ale nazwa się nie przyjęła, a późniejsi osadnicy ukuli nazwę Ísland, czyli Kraina Lodu.

W kolejnych latach inni nordyccy wojownicy odkryli Grenlandię. Jako pierwszy zobaczył ją prawdopodobnie Gunnbjörn Ulfsson, który podobnie jak Naddod zgubił drogę z powodu niesprzyjających warunków, a po nim niejaki Snaebjörn Galti. Stałą osadę na Grenlandii

eprasa.pl 5608f5901c

Carl Rasmussen, „Lato u wybrzeży Grenlandii ok. 1000 r."

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRUNN-RASMUSSEN.DK

założył jednak dopiero 100 lat później znacznie bardziej znany Eryk Rudy (notabene banita, który został wygnany z Islandii za zabicie kilku osób). Jego syn, Leif Eriksson, był z kolei jednym z pierwszych Europejczyków, którzy zobaczyli Amerykę Północną i niemal na pewno pierwszym, który ok. 1000 r. podjął się eksploracji jej wybrzeża. Leif odkrył i nazwał ziemie: Helluland (prawdopodobnie Ziemia Baffina), Markland (Labrador) oraz Winlandię, czyli (być może) Nową Fundlandię, gdzie (znów być może) właśnie on założył osadę znaną pod nazwą L'Anse aux Meadows, której pozostałości odkryto w latach 60. XX w.

Niezależnie od odkrywania Ameryki (choć oczywiście wikingowie nie wiedzieli, że znaleźli inny kontynent), Skandynawowie eksplorowali północne wybrzeże Półwyspu Skandynawskiego i tereny leżące dalej na północ. W 880 r. Ohthere z Hålogalandu dotarł m.in. do Półwyspu Kolskiego i Morza Białego.

Przejście Północno-Wschodnie

Kolejna epoka znaczących odkryć geograficznych rozpoczęła się na przełomie wieków XV i XVI, co nie znaczy, że już wcześniej różni osadnicy, poszukiwacze przygód czy myśliwi nie zapuszczali się coraz dalej na północ. Przodowali w tym rdzenni mieszkańcy północnych terenów dzisiejszej Rosji.

Wśród pierwszych osadników jako eksploratorzy dalekiej północy najbardziej znani są tzw. Pomorcy. Byli to ludzie pochodzący z Nowogrodu Wielkiego, którzy zaczęli zakładać własne osady nad Morzem Białym już w XII w. Stamtąd wyprawiali się w dalekie podróże lądowe i morskie. To oni jako pierwsi zaczęli pokonywać łodziami część trasy, którą później nazwano Przejściem Północno-Wschodnim. Pomorcy docierali znad Morza Białego na Syberię, tworząc nawet „stałą" drogę między dzisiejszym Archangielskiem a ujściem Jeniseju, gdzie zbudowali miasto Mangazeja, urządzali polowania i zdobywali cenne futra, które później sprzedawali. Powoli w te rejony zaczęli docierać także mnisi. W 1532 r. prawosławny św. Tryfon, mnich z Nowogrodu, założył w Peczendze Monaster Świętej Trójcy (dziś pw. Świętej Trójcy i Świętego Tryfona). Do dziś jest to najbardziej na północ wysunięty klasztor na świecie, gdzie na stałe przebywają zakonnicy.

Przejścia morskiego na północy Syberii poszukiwało także wielu Anglików. Jednym z nich był prekursor wypraw arktycznych, Hugh Willoughby, który w pierwszej połowie XVI w. prawdopodobnie odkrył wyspę znaną później jako Nowa Ziemia. Kilka lat po nim inny Anglik, Steven Borough, świetny nawigator i badacz Arktyki, dotarł do Morza Białego i nawiązał kontakty z Rosją w imieniu angielskiej spółki, Kompanii Moskiewskiej. W 1555 r. Borough odkrył Karskie Wrota, cieśninę między wyspą Wajgacz a Nową Ziemią, łączącą Morze Karskie z Morzem Barentsa, lecz nie mógł przez nią przepłynąć z powodu zalegającego lodu.

Przejście Północno-Wschodnie było eksplorowane także przez innych cudzoziemskich żeglarzy. Spośród nich najbardziej znany jest William Barents, który w 1596 r. odkrył Spitsbergen i Wyspę Niedźwiedzią. W kolejnych latach europejskie wyprawy zostały wstrzymane ze względu na wrogość Rosji, która – obawiając się, że obcy przejmą kontrolę nad pozyskiwaniem futer na dalekiej północy – w 1619 r. zamknęła szlak morski przy swoim wybrzeżu; był on dostępny tylko dla ludzi mających pozwolenie cara. Trasę tę penetrowali wtedy kozacy na niewielkich łodziach zwanych koczami. To na nich w połowie XVII w. wyprawa Fedota Aleksiejewa i Siemiona Dieżniowa popłynęła od ujścia Kołymy aż do Pacyfiku. W czasie tej podróży kozacy opłynęli też Półwysep Czukocki i udowodnili, że nie istnieje połączenie lądowe między Azją a Ameryką Północną. Sto lat później tę samą trasę, tyle że w odwrotnym kierunku, przebył Vitus Bering.

Minęło wiele lat, zanim pierwsi ludzie przepłynęli po raz pierwszy całe Przejście Północno-Wschodnie. Udało się to w 1878 r. wyprawie płynącej

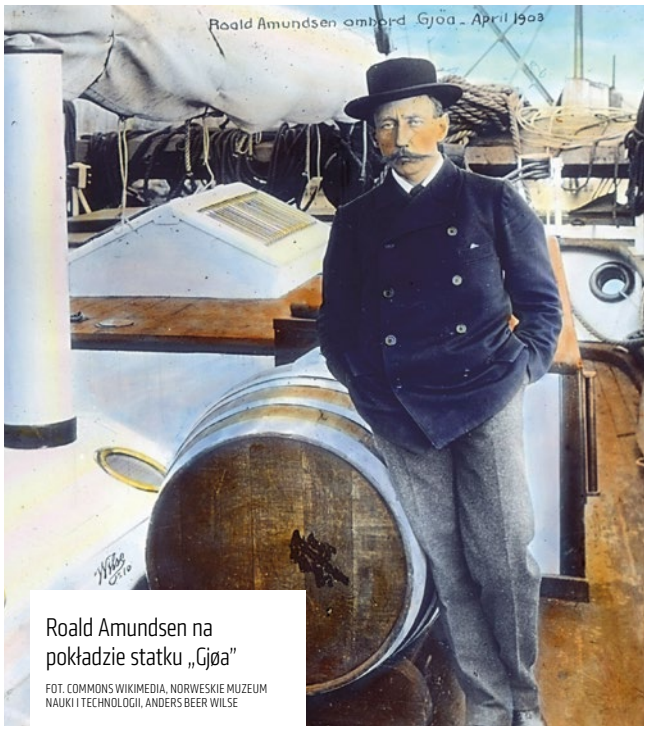

Roald Amundsen na pokładzie statku „Gjøa"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NORWESKIE MUZEUM NAUKI I TECHNOLOGII, ANDERS BEER WILSE

eprasa.pl 5608f5901c

na statku SS Vega pod dowództwem szwedzko-fińskiego polarnika, Adolfa Erika Nordenskiölda.

Przejście Północno-Zachodnie

Nowa era w historii eksploracji koła podbiegunowego zapanowała także po „drugiej" stronie świata, po odkryciach Krzysztofa Kolumba. Kolejni po Kolumbie europejscy podróżnicy próbowali znaleźć „zachodnią" drogę prowadzącą do Azji. Z ramienia Anglii zadania tego podjął się John Cabot, który dotarł dalej niż Kolumb, bo do kontynentalnej Ameryki (do wybrzeży dzisiejszej Kanady), choć początkowo sądził, podobnie jak poprzednik, że znalazł się już w Azji.

Europejczycy dopiero po odkryciach Cabota zaczęli lepiej pojmować, że znaleziono zupełnie nowy kontynent, który „odgradza" Europę od Chin, Japonii i Indii. Priorytetem stało się znalezienie jak najkrótszej drogi morskiej do Azji. Opływanie kontynentów amerykańskich od południa zajmowało, jak się okazało, wiele miesięcy. Słusznie podejrzewano więc, że krótsza będzie droga północna.

Martin Frobisher postanowił ją odkryć i w latach 1576–1578 poprowadził trzy wyprawy wzdłuż północnych wybrzeży Kanady. W wyniku jego odkryć Nowa Fundlandia została ogłoszona terytorium należącym do korony angielskiej. Panująca w tym czasie w Anglii Elżbieta I Wielka opłaciła kolejną wyprawę. Z jej polecenia John Davis poprowadził cztery statki, a jego załoga opłynęła Grenlandię i znalazła wielką zatokę nazwaną później Zatoką Hudsona. Choć Davis nie trafił na ślad północnej drogi morskiej do Azji, to poinformował angielski dwór, że taką trasę z pewnością da się przepłynąć. Po nim to samo próbował osiągnąć inny znany podróżnik, William Baffin, lecz również on nie osiągnął sukcesu.

Sztuka znalezienia żeglownego Przejścia Północno-Zachodniego nie udawała się nikomu aż do początku XX w. Wcześniej, przez cały XIX w., głównie Brytyjczycy organizowali wyprawy jedną po drugiej, łącząc podróż morską z lądową (np. przy użyciu psich zaprzęgów używanych na lodzie), próbując znaleźć Przejście. Odkrycie drogi przez Ocean Arktyczny, od północy opływający swoimi wodami Kanadę, stało się dla wielu odkrywców nieomal obsesją. Jeden z nich, William Parry, w 1819 r. przygotował nawet zupełnie inny rodzaj wyprawy, zakładając z góry, że załoga kilka miesięcy spędzi gdzieś w Arktyce uwięziona w lodzie, w tym ok. trzech miesięcy w całkowitej ciemności nocy polarnej. Aby jego ludzie wytrzymali tę sytuację psychicznie, Parry obmyślił plan codziennych ćwiczeń fizycznych i rozrywek. Załoga brała udział w przedstawieniach teatralnych, wspólnych śpiewach, a nawet wydawała pisane odręcznie pismo pt. „Gazeta Północnej Georgii". Parry ponadto osobiście hodował w swojej kajucie m.in. rzeżuchę, dbając, aby załoga nie zachorowała na szkorbut. Niestety, mimo wielkiego poświęcenia, nie udało mu się znaleźć Przejścia.

Georg von Rosen, „Portret Nilsa Adolfa Erika Nordenskiölda"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL MUSEUM STOCKHOLM

Dokonał tego dopiero w kolejnym stuleciu norweski polarnik, Roald Amundsen, który zasłynął przede wszystkim jako pierwszy zdobywca bieguna południowego. Amundsen, wraz z sześcioosobową załogą, podróżował przez trzy lata na statku „Gjøa", docierając ostatecznie do osady Eagle na Alasce. Jak sam później stwierdził, droga ta, choć możliwa do przebycia w dobrych warunkach, była nieopłacalna z ekonomicznego punktu widzenia.

Wielka wyprawa

Wspomniana Wielka Wyprawa Północna została zainicjowana przez cara Piotra Wielkiego w latach 30. XVIII w. Jej organizatorem był zasłużony odkrywca Vitus Bering. Głównym celem ekspedycji było zmapowanie rosyjskiego wybrzeża i znalezienie drogi morskiej z Syberii na Ocean Spokojny, a także prowadzenie badań nad nowo odkrytymi gatunkami roślin i zwierząt oraz obserwacje zwyczajów i języków miejscowej ludności.

Vitus Bering i Aleksiej Czirikow jako pierwsi Europejczycy ujrzeli wschodnie wybrzeże Ameryki Północnej, Alaskę (tylko Czirikow na niej wylądował, gdyż statki się rozdzieliły) oraz Wyspy Aleuckie. W drodze powrotnej statek Beringa rozbił się u brzegu Wyspy Beringa, którą błędnie wzięto za Kamczatkę. Załoga próbowała się ratować, żywiąc się tym, co znaleziono i co udało się upolować. Niestety, nie chcąc słuchać rad okrętowego lekarza, załoga nie jadła zalecanych przez niego ziół i owoców, przez co wiele osób zachorowało na szkorbut i zmarło (w tym Bering). Przy życiu pozostało 46 ludzi. Zbudowali oni łódź, którą wyruszyli w stronę Pietropawłowska, do którego dotarli pod koniec 1742 r.

Pamięć o Wielkiej Wyprawie Północnej była w Rosji żywa przez wiele lat. Kolejne ekspedycje wypełniały pozostałe „białe plamy". Gdy w 1878 r. Adolf Erik Nordenskiöld jako pierwszy przepłynął Przejście Północno-Wschodnie, mogło się wydawać, że wszystko, co można było odkryć, zostało już odkryte. A jednak w 1913 r. Ekspedycja Hydrograficzna Oceanu Arktycznego prowadzona przez Borisa Wilkickiego natknęła się na ogromne wyspy. To odkrycie zostało potwierdzone przez kolejną wyprawę, którą zorganizowano rok później. Ostatni nieodkryty duży ląd na Ziemi otrzymał miano Ziemi Cesarza Mikołaja II. Nazwę zmieniono po przejęciu władzy przez komunistów. Od tej pory widnieje ona na mapach jako Ziemia Północna.

Ostatni nieodkryty ląd udało się w pełni nanieść na mapy dopiero w 1931 r. Trwająca dwa lata wyprawa zespołu Gieorgija Uszakowa udowodniła, że rzekomy jeden ląd tak naprawdę składa się z czterech wysp, które otrzymały nazwy dostosowane do czasów, w których były badane: Rewolucji Październikowej, Bolszewicka, Komsomolec i Pionierska. Chociaż kilka lat temu pojawił się postulat, aby zmienić te nazwy, to z powodu panującego na Kremlu sentymentu za czasami sowieckimi raczej nie ma co liczyć na taką geograficzną rewolucję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Wywiad / Z Małgorzatą Bojanowską, dyrektorką Muzeum Dulag 121 w Pruszkowie

rozmawia Piotr Włoczyk

Wypędzeni z Warszawy w drodze do obozu w Pruszkowie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Piekło i ratunek w Dulagu 121

PIOTR WŁOCZYK: Wizyta w Muzeum Dulag 121 z jednej strony przygnębia, bo Niemcy byli bezlitośni wobec wygnanych mieszkańców Warszawy. Z drugiej jednak strony pełno tu historii, które podnoszą na duchu i pokazują, jak niesamowicie solidarnie zachowywali się wtedy Polacy.

MAŁGORZATA BOJANOWSKA: Nasze muzeum odwiedziło kiedyś dwóch braci, którzy bardzo chcieli opowiedzieć o tym, co robiła wtedy ich matka. Ta kobieta wyciągała w Piastowie z tłumu pędzonych przez Niemców Warszawian ciężarne kobiety. W swoim mieszkaniu w Piastowie miała pokój z kuchnią; pokój przeznaczyła na porodówkę, a sama mieszkała z synami w kuchni. Ci mężczyźni przyszli do mnie z listą, na której widnieje 18 imion i nazwisk dzieci, które urodziły się w ich mieszkaniu. Wokół obozu przejściowego w Pruszkowie pełno jest straszliwych historii, ale z drugiej strony jest też mnóstwo pozytywnych opowieści, które pokazują, jak niesamowita była wtedy solidarność międzyludzka.

Jak wyglądała droga do Dulagu 121?

Wiele osób trafiło tu z punktów zbornych, przede wszystkim z Zieleniaka i z Kościoła św. Wojciecha na Woli. Te miejsca są tragicznie wspominane przez ludzi, którzy przeszli przez obóz. Niektórzy mówili, że w porównaniu z Zieleniakiem obóz przejściowy w Pruszkowie był „rajem", bo była tu… woda.

Mieszkańcy Warszawy byli wyprowadzani z domów, pędzeni ze swoich dzielnic do Pruszkowa. Było to kilkanaście kilometrów. Jednak nie tylko Warszawian wypędzano. Również mieszkańców okolicznych miejscowości, jak choćby Ząbki, Anin czy Zielonka, gdzie przygotowywano teren na przyjście frontu. Niektórych zmuszano do przejścia tego dystansu na piechotę, a inni docierali do Pruszkowa pociągami z warszawskiego Dworca Zachodniego. Transporty były kontrolowane; trzeba pamiętać, że żołnierze z eskorty potrafili się zachowywać jak bestie. Ludzie, którzy nie potrafili iść o własnych siłach, byli niekiedy rozstrzeliwani. Zdarzało się też, że niemowlaki były mordowane, bo płakały.

Pomoc oferowana na trasie do obozu w Pruszkowie nie była jeszcze systemowa.

Mieszkańcy rzucali jedzenie, ktoś próbował kogoś wyciągnąć z transportu. To było swego rodzaju pospolite ruszenie. Ale kolejarze zorganizowali jednak pomoc, która jak najbardziej była systemowa. Myślę tu o akcji „Peron". Pociągi przed stacjami zwalniały, by ludzie mieli szansę wyskoczyć z wagonów. Dysponujemy relacjami świadków, którzy uciekli w ten sposób, zanim jeszcze trafili do obozu przejściowego w Pruszkowie. Akcja „Peron" to również podawanie żywności wygłodniałym, stłoczonym w wagonach ludziom i odbieranie od nich wiadomości. W Milanówku AK wypuszczała na tory dzieci po to, by zbierały karteczki z informacjami dla rodzin wypędzonych.

eprasa.pl 5608f5901c

Wypędzeni po dotarciu do Pruszkowa FOT. NAC

W muzealnej gablocie uwagę zwraca bogato zdobiona chusta.

Przyniosła ją do nas pani, która powiedziała, że jest to bardzo ważny przedmiot dla jej rodziny. W tej chuście ktoś wywożony z Warszawy trzymał srebra rodzinne. Swoją drogą nie mogę się nadziwić, jak po tych wszystkich kontrolach i rewizjach ta osoba zdołała je zatrzymać przy sobie. Chusta została wyrzucona gdzieś po drodze z pociągu, w środku była kartka z adresem. Czy pan wie, że to zawiniątko trafiło ostatecznie do adresatów? Pani, która przyniosła ją do naszego muzeum, pochodziła właśnie z tej rodziny. Piąty rok okupacji, ludzie są już kompletnie zubożali, a jednak wyrzucony tobołek ze srebrami ktoś dostarcza pod wskazany adres…

Początkowo chyba nic nie wskazywało na to, że w Pruszkowie powstanie wielki obóz przejściowy?

Na wieść o rozpoczęciu powstania Hitler i Himmler postanowili wymordować całą stolicę – wszyscy jej mieszkańcy wzięci do niewoli mieli być rozstrzelani. W takim wypadku nie byłby potrzebny żaden obóz przejściowy. I początkowo rzeczywiście ten rozkaz był realizowany, o czym świadczy rzeź dokonana na Woli, na Ochocie i na Okęciu. Jednak po kilku dniach Erich von dem Bach-Zalewski, generał dowodzący pacyfikacją powstania warszawskiego, stwierdził, że nie będzie realizował tego rozkazu. Oczywiście nie chodziło o kwestie humanitarne czy poruszone sumienie, tylko o sprawy czysto praktyczne, jak choćby konieczność oszczędzania amunicji. Ten dowódca był doświadczony w prowadzeniu eksterminacji na Wschodzie, w związku z czym wiedział, jak masowe rozstrzeliwanie ludności cywilnej demoralizuje żołnierzy. Poza tym walka z powstańcami i równoczesna eksterminacja cywilów zwyczajnie utrudniałyby Niemcom szybkie spacyfikowanie Warszawy. Von dem Bach-Zalewski stwierdził, że trzeba wyrzucić z Warszawy ludność cywilną, która siłą rzeczy stanowiła zaplecze dla walczących AK-owców.

Decyzja o stworzeniu obozu przejściowego w Pruszkowie zapadła prawdopodobnie 5 sierpnia. Następnego dnia przekazano okolicznej ludności, że zostaną tu zwiezieni mieszkańcy Warszawy, ale będą jedli tylko wtedy, jeżeli Polacy zorganizują dla nich pożywienie.

Jakie warunki zastali tu pierwsi wypędzeni?

Niemcy zorganizowali ten obóz w przestrzeni, która kompletnie nie była przygotowana do przyjęcia ludności cywilnej. Na terenie pruszkowskich warsztatów kolejowych nie było już maszyn – Niemcy wywieźli je przed powstaniem – były za to sterty śmieci i wielkie, ogołocone hale z powybijanymi oknami, które nadawały się do różnych celów, ale na pewno nie do przyjęcia ludzi. Nie było tu infrastruktury kuchennej, sanitariatów, żadnych prycz.

Pruszków wybrano ze względu na łatwość przewozu ludzi i wielkie hale?

Tak. Z tego miejsca łatwo było rozwieźć ludzi pociągami po Generalnym Gubernatorstwie, a także wywieźć ich do Rzeszy na roboty lub do obozów koncentracyjnych.

Od 1990 r. na terenie dawnego obozu Dulag 121 stoi pomnik „Tędy przeszła Warszawa". To nie jest przesada – te liczby robią wrażenie.

Szacuje się, że przez obóz przeszło ok. 650 tys. ludzi; w tej liczbie ujęta jest też ludność prawobrzeżnej Warszawy i okolicznych miejscowości, która również została wypędzona przez Niemców.

350 tys. osób wywieziono z tego obozu do różnych miejscowości w Generalnym Gubernatorstwie, 150 tys. zabrano stąd do obozów pracy, ok. 70 tys. trafiło do obozów koncentracyjnych, a ok. 100 tys. udało się wyprowadzić na wolność.

Wyrzucani z Warszawy cywile nie mogli być pewni, co Niemcy zrobią z nimi w obozie przejściowym w Pruszkowie. Czy wywiozą ich do Rzeszy na roboty, do obozu koncentracyjnego na śmierć, a może rozstrzelają gdzieś za rogiem? Dlatego trudno się dziwić, że ludzie chcieli stąd jak najszybciej uciec.

To już był koniec wojny, więc Niemcy mieli wielkie problemy ze skompletowaniem personelu. Wszędzie brakowało im ludzi. Dlatego w Dulagu 121 służyło wielu starszych Niemców. SS i Wehrmacht zabezpieczały teren obozu, by nikt stąd nie uciekał, ale w środku Niemcy musieli się podpierać Polakami. Szybko ruszyło polskie „pospolite ruszenie" – okoliczni mieszkańcy organizowali dla wysiedlanych Warszawian najpotrzebniejsze rzeczy, takie jak naczynia do jedzenia, ubrania, koce, poduszki. Do tego włączyły się AK, Wojskowa Służba Kobiet, parafie i zakony.

Niemcy potrzebowali tłumaczy, lekarzy, pielęgniarek czy personelu kuchennego. Nawiasem mówiąc, w muzeum mamy ciekawe zdjęcie pokazujące to „pospolite ruszenie" w kwestiach kuchennych: widać na nim nobliwe starsze panie, zapewne okoliczne mieszkanki, które siedzą na taboretach i obierają ziemniaki.

Niemcy dawali pracującym tu Polakom przepustki – początkowo bez zdjęć. W pierwszym okresie działalności obozu był to najprostszy sposób na wyprowadzanie stąd ludzi. Okupanci najwyraźniej nie założyli, że taka przepustka może być użyta jednego dnia kilka razy przez różnych ludzi.

Nikt nie mógł być pewny swojego losu po dotarciu do obozu w Pruszkowie, szczególnie na początku jego istnienia, gdy naprawdę nie było wiadomo, co się dzieje z ludnością zaganianą do Dulagu 121. Dopiero po pewnym czasie jasne się stało, że podejrzanych o walkę w powstaniu Niemcy wywożą do obozów koncen-

eprasa.pl 5608f5901c

Rozdawanie chleba w obozie. Z lewej strony: bp Antoni Szlagowski FOT. NAC

tracyjnych, inni młodzi i zdrowi jadą na roboty do Rzeszy, a ci, którzy się do tego nie nadają, jak choćby starsi i kobiety z małymi dziećmi, są rozwożeni po GG. Ale mimo że teoretycznie istniał tu dość sztywny system selekcji, to jednak w praktyce różnie bywało i tak naprawdę każdy był zagrożony wysyłką do obozu koncentracyjnego.

Również ci, którzy pomagali uciec stąd wygnanym mieszkańcom Warszawy i okolicznych miejscowości.

Ci ludzie bardzo ryzykowali – za coś takiego z miejsca można było trafić do obozu koncentracyjnego. Zresztą w końcu Niemcy zorientowali się, co się wyrabia przy bramach, i wprowadzili przepustki ze zdjęciami. Ale inwencja Polaków nie zna granic, więc znalazły się inne sposoby.

Medycyna daje tu bardzo szerokie pole do popisu.

Służby medyczne szczególnie zasłużyły się w tej sprawie. Było tu mnóstwo różnych sposobów na wyprowadzenie Niemców w pole. Pielęgniarka wchodziła do hali, wypatrując osób najbardziej zagrożonych. Następnie szkoliła wytypowanych ludzi w zakresie symulowania choroby. Wystarczyło wypić dwie–trzy łyżki ropy i pojawiały się objawy jak przy tyfusie. Była to przepustka na wolność. Poza tym aparatu rentgenowskiego nie było w tym obozie, a niemal każdy wyglądał tak, jakby miał zaawansowaną gruźlicę.

Ale samo wskazanie „ciężko chorego" nie oznaczało automatycznie dla takiego człowieka wolności?

Nie, ludzi wytypowanych do zwolnienia oceniała następnie komisja lekarska. Kierował nią doktor Adolf König. Podpis niemieckiego lekarza kwalifikował ostatecznie pacjenta. Doktor König wiedział, co tu się wyrabia, i przymykał na to oko, a nawet do pewnego stopnia współpracował z Polakami. Gdy wpadał na salę, to wiadomo było, że im głośniej krzyczy, tym poważniejsza jest sytuacja, więc bardziej trzeba się starać, żeby ukryć nielegalną działalność. Ten lekarz zachorował w końcu na depresję – całe to cierpienie, które tu widział, przerosło go. Wszędzie go szukaliśmy, ale po wojnie jego życiorys się urywa – zupełnie jakby zapadł się pod ziemię.

Polscy lekarze nie mieli decydującego wpływu, ale ich opinie mogły odpowiednio „nakierowywać" niemieckich doktorów. Sporą rolę odgrywały tłumaczki, które nierzadko tłumaczyły słowa pacjenta, jak chciały, by w jak najczarniejszych barwach odmalować jego stan.

Podpis doktora Königa też nie oznaczał jeszcze automatycznie wolności. Lista osób wytypowanych do zwolnienia była przekazywana na koniec do gestapo i dopiero po zatwierdzeniu przez jej funkcjonariuszy ci ludzie byli zwalniani. Co ciekawe, z taką listą „po drodze", czyli między komisją lekarską a gestapo, działy się czasem „przedziwne" rzeczy. Zdarzało się bowiem, że pojawiały się na niej kolejne nazwiska… Oczywiście była to sprawka polskiego personelu, który niosąc listę z komisji lekarskiej do zielonego wagonu, gdzie stacjonowało gestapo, dopisywał kolejnych ludzi. Taka możliwość istniała, ponieważ na szczęście Niemcy nie numerowali nazwisk.

Ale były też metody pozamedyczne…

Oczywiście. Niemcy uwielbiają piwo, więc załoga Dulagu 121 zapewniała sobie dostawy tego trunku. I tak w jedną stronę do obozu docierało na wozie piwo, a w drugą stronę wyjeżdżało stąd w pustych beczkach np. dwóch chłopaków podejrzanych o udział w powstaniu…

Co by ich czekało, gdyby zostali w obozie?

Młodzi ludzie podejrzewani o walkę w powstaniu dostawali kategorię „niebezpieczny", co oznaczało obóz koncentracyjny. Ale do kacetów trafiały też z obozu w Pruszkowie kobiety z dziećmi, więc – jak już wspomniałam – zasady ustanowione przez Niemców nie zawsze były przez nich samych przestrzegane.

Na szczęście Niemcy bywali przekupywani i nie brakowało funkcjonariuszy,

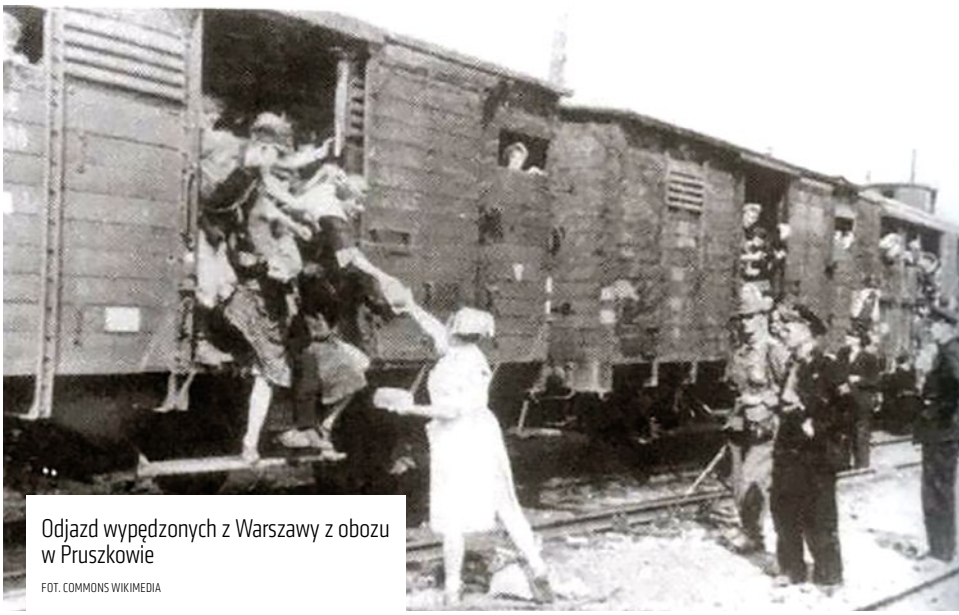

Odjazd wypędzonych z Warszawy z obozu w Pruszkowie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 5608f5901c

Upamiętnienie w Pruszkowie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KRZYSZTOF DUDZIK-GÓRNICKI

którzy chcieli w ten sposób dorobić. Innym sposobem było przebieranie ludzi; siostry zakonne wchodziły na teren obozu z dodatkowym habitem i w ten sposób w niedługim czasie wychodziła stąd jeszcze jedna „zakonnica". Podobnie było z księżmi, którzy przychodzili z dodatkową sutanną.

W tym miejscu dochodziło do pomocy na naprawdę masową skalę. W tę akcję włączyła się też AK, która dysponowała jeszcze zapasami żywności. Zdarzały się dni, gdy pracowało tu tysiąc osób! Ale i tak potrzeby zawsze były większe, i to na każdym etapie, nawet zanim wypędzeni postawili stopę w obozie. Niektórzy nie byli przecież w stanie wysiąść z wagonu o własnych siłach, a wiadomo było, że do takich ludzi strażnicy czasem strzelali.

Już w pruszkowskim obozie Niemcy rozstrzeliwali przywiezionych cywilów?

Tak. Masowych rozstrzeliwań na terenie samego Dulagu 121 nie odnotowano, ale zdarzały się takie pojedyncze przypadki. Służył tutaj pewien niemiecki urzędnik z Arbeitsamtu, który chodził po obozie pijany i strzelał losowo do ludzi. W pierwszych dniach od 400 do 600 mężczyzn podejrzanych o udział w powstaniu wywieziono z obozu i rozstrzelano po sąsiedzku na tzw. gliniankach. Znam relację pewnej starszej kobiety, która była wtedy dzieckiem. Opowiadała, jak z jednej z hal wyprowadzono dorosłych; ona się gdzieś ukryła i widziała, jak Niemiec wszedł i strzelał do dzieci. Jej siostra miała wtedy zginąć.

Zawsze znajdą się ludzie, którzy widząc desperację, chcą na tym zarobić. Czy podobne historie zdarzały się również w Dulagu 121?

Tak, działały tu tzw. złote siostrzyczki, które za kubek wody potrafiły zażądać obrączkę. Kazimiera Drescher, pracująca tu tłumaczka, zwalczała to zjawisko. A potem jedna z takich „siostrzyczek" w akcie zemsty doniosła Niemcom, że Drescher działa w polskim podziemiu, przez co trafiła ona do Auschwitz. Szczęśliwie udało jej się jednak przeżyć wojnę.

Kiedy panował tu największy ścisk?

Ludzie trafiali tu falami. Wraz z upadkiem kolejnych dzielnic do obozu w Pruszkowie przyjeżdżały wielkie transporty. Gdy skapitulowało Stare Miasto, jednego dnia przywieziono tu 70 tys. ludzi! W największej hali zamykano na noc nawet 11 tys. ludzi…

Również okoliczne miejscowości musiały wtedy pękać w szwach.

W niektórych mieszkaniach zatrzymywało się nawet po kilkadziesiąt osób. Przykładowo: sąsiedni Brwinów liczył przed wojną ok. 2 tys. mieszkańców, a po wojnie mieszkało tam 10 razy więcej ludzi… Jako ciekawostkę można podać, że na wigilii 1944 r. u Jarosława Iwaszkiewicza, który mieszkał niedaleko w Stawisku, gościło 60 osób.

W Muzeum Dulag 121 można zobaczyć list Iwaszkiewicza, w którym apelował on o ratowanie z pruszkowskiego obozu przedstawicieli elity intelektualnej.

Iwaszkiewicz sporządził całą listę osób – niestety, nie zachowała się ona do naszych czasów – które chciał stąd wyciągnąć. Wiemy, że jego starania w znacznej mierze były skuteczne.

Co się działo z chorymi z pruszkowskiego obozu?

Wielką pomoc okazano takim ludziom w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach, gdzie utworzono dla nich specjalny oddział. Tak samo było w szpitalu w Pruszkowie. Poza tym w całej okolicy powstało mnóstwo „szpitalików". W samym Milanówku działało 14 takich małych lecznic. To były często bardzo trudne przypadki i w warunkach okupacyjnych nie sposób było uratować życia tych ludzi. Przypomina nam o tym cmentarz przy szpitalu w Tworkach; postawiono tam 500 grobów. Z kolei w Milanówku istnieje 900 takich grobów.

Kto się zajmował ludźmi wywiezionymi z Dulagu 121 i rozrzuconymi przez Niemców po GG?

Rada Główna Opiekuńcza była zobowiązana przez Niemców do zajęcia się tymi ludźmi i spisania ich. Jednak nie wszyscy chcieli się wpisywać na takie listy – wielu wypędzonych nie chciało, żeby okupant wiedział, gdzie można ich znaleźć. Ludzie, którzy przyjmowali wypędzonych Warszawian, zachowywali się różnie. Możemy szacować, że większość dobrze traktowała osoby w potrzebie, ale mamy też relacje o przeznaczaniu dla nich komórek gospodarczych…

Kim byli ostatni więźniowie Dulagu 121?

Duża grupa polskich młodych mężczyzn, pochwyconych w łapankach, była wykorzystywana przez Niemców do grabienia Warszawy. To była niewolnicza siła robocza zapędzona do podłej pracy. Na koniec, wobec wkraczających oddziałów Armii Czerwonej, Niemcy po prostu uciekli i ci więźniowie, którzy tu pozostali, po prostu wyszli. Tak wyglądał koniec Dulagu 121.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

26 września to Dzień Pamięci Więźniów Obozu Dulag 121 i Niosących Im Pomoc.

Małgorzata Bojanowska
jest dyrektorką Muzeum Dulag 121 w Pruszkowie.

eprasa.pl 5608f5901c

Józef Stalin i Maksym Gorki, 1931 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA,

Dwudziestolecie międzywojenne / Pisarz w cieniu Kremla

Zagadka śmierci Gorkiego

eprasa.pl 5608f5901c

Mikołaj Iwanow

Stalin zamknął swojego ulubionego pisarza w złotej klatce, a na koniec stworzył taką opowieść o jego śmierci, która miała służyć celom Kremla

Imię tego klasyka literatury rosyjskiej zna prawie każdy dorosły Rosjanin. Jego utwory są w programie szkolnym, na podstawie dzieł Maksima Gorkiego nakręcono dziesiątki filmów, jego utwory sceniczne są właściwie obowiązkowym repertuarem rosyjskich teatrów. Tysiące ulic, parków i skwerów nazwano na jego cześć. Trudno byłoby wskazać miasto w Federacji Rosyjskiej, w którym jedna z centralnych ulic nie nosiłaby imienia Gorkiego. Jaką rolę odegrał w historii bolszewizmu i dlaczego okoliczności jego śmierci są tak tajemnicze?

Maksim Gorki (naprawdę nazywał się Aleksiej Maksimowicz Pieszkow) urodził się 16 marca 1868 r. w Niżnym Nowogrodzie, mieście, które w latach 1932–1990 nazywało się po prostu Gorki. Był klasykiem literatury rosyjskiej, poetą, powieściopisarzem, dramaturgiem, dziennikarzem, publicystą i działaczem publicznym.

Gorki zadebiutował literacko pod koniec XIX w. Początkowo zasłynął jako autor dzieł napisanych w duchu rewolucyjnym. Światową sławę zdobył jeszcze za życia, ale już wtedy jego twórczość wywoływała liczne kontrowersyjne i sprzeczne oceny. W okresie stalinizmu namaszczono go na ojca duchowego „realizmu socjalistycznego". Po upadku komunizmu i rozpadzie Związku Sowieckiego ocena jego twórczości została mocno skorygowana, głównie ze względu na jego drogę polityczną oraz traktowanie go przez Kreml jako swoiste „bożyszcze" literatury sowieckiej. Uznano, że jego dzieła były „nierówne" i że można podzielić jego twórczość na okresy wzlotów i upadków.

„Nowi ludzie"

Tematem przewodnim wczesnej twórczości Gorkiego jest utrzymane w duchu neoromantyzmu marzenie o „nowych ludziach". Nieustraszeni i wolni, mający najwyższe zdolności intelektualne i fizyczne, osiągający cele wykraczające poza granice możliwości, w tym nieśmiertelność – oto bohaterowie jego pierwszych opowiadań. Gorki w ten sposób dążył do połączenia romantyzmu z realizmem. Na początku XX w. pisarz odszedł jednak od tego schematu i przeszedł do gloryfikowania innego spojrzenia na transformację ludzkości, wiążąc walkę klasy robotniczej z poszukiwaniem Boga. Jego prace z lat 1900–1910 charakteryzują się wyrażanym protestem społecznym i szczegółowymi opisami obrzydliwości rosyjskiego stylu życia, a także wiarą w prostego człowieka.

Gorki był osobiście związany z socjaldemokratami, lawirował między bolszewikami Lenina a mienszewikami Plechanowa. Był jednym z założycieli socjaldemokratycznej grupy „Naprzód" i jednym z ideologów „bogotwórstwa", które bazowało na marksizmie. W 1909 r. pomógł uczestnikom tego ruchu założyć na wyspie Capri szkołę dla robotników, którą Lenin, ostro wypowiadający się o ideologii Gorkiego, nazwał „literackim centrum »bogotwórstwa«". Mimo wyraźnej różnicy poglądów Gorki przed rewolucją bolszewicką utrzymywał przyjazne stosunki z Leninem. Promował „ogólnodemokratyczne" stanowisko, będąc związanym zarówno z socjaldemokratami, jak i z opozycjonistami z innych partii o rodowodzie socjalistycznym; zwracał uwagę na promocję kultury, popierał ruchy mniejszości narodowych w Imperium Rosyjskim. Podczas pierwszej wojny światowej, żyjąc w Rosji, Gorki prezentował stanowisko antywojenne.

W 1905 r. Sawa Morozow, jeden z najbogatszych Rosjan, sympatyzujący z socjaldemokracją, popełnił samobójstwo. Będąc wielkim wielbicielem twórczości Gorkiego i jego partnerki życiowej, wielkiej aktorki rosyjskiej Marii Andrejewej, zapisał im w testamencie ok. 200 tys. rubli, sumę ogromną jak na tamte czasy. W ten sposób Gorki stał się największym sponsorem frakcji bolszewickiej, co zbliżyło go do Lenina.

Zażyłe stosunki Gorkiego z przywódcą bolszewików nie przeszkodziły mu jednak dość krytycznie odnosić się do rewolucji październikowej. Redagowana przez Gorkiego gazeta „Nowe życie" stała się jednym z głównych organów opozycji demokratycznej. Na jej łamach Gorki wstawiał się u bolszewików za aresztowanymi i skazanymi na śmierć, publicznie potępiał czerwony terror i przywódców bolszewickich oraz angażował się w walkę z głodem podczas wojny domowej. Po zamknięciu gazety wyemigrował.

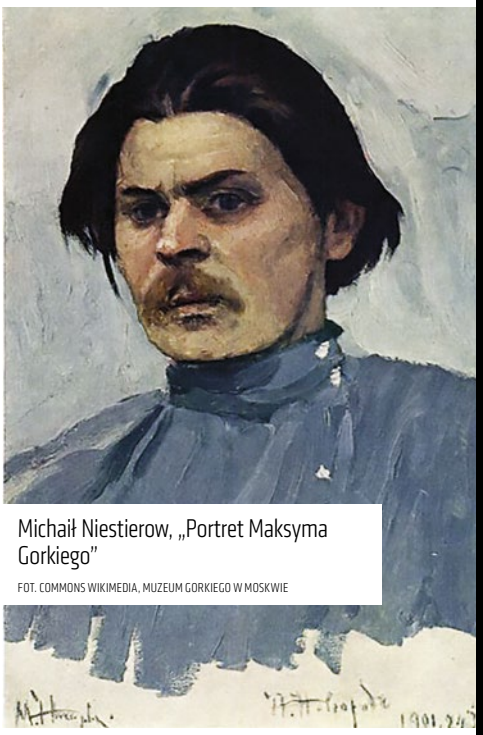

Michaił Niestierow, „Portret Maksyma Gorkiego"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM GORKIEGO W MOSKWIE

W latach 20. mieszkał za granicą: w Berlinie, Marienbadzie, Sorrento, ale głównie na włoskiej wyspie Capri, gdzie leczył chore płuc. Na wygnaniu spędził łącznie ponad 18 lat, w tym 15 lat we Włoszech, choć znał żadnego języka obcego.

W 1928 r. sowiecki aparat propagandowy rozpoczął ogólnokrajową kampanię mającą na celu ściągnięcie Gorkiego do ZSRS. Sowieccy pisarze, inżynierowie, chłopi, robotnicy, a nawet młodzi pionierzy „bombardowali" Gorkiego listami, pytając ukochanego pisarza, dlaczego

eprasa.pl 5608f5901c

Ilja Repin, „Portret Marii Andriejewej"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIAŁORUSKIE NARODOWE MUZEUM SZTUKI

woli mieszkać w faszystowskich Włoszech niż w Związku Sowieckim, wśród tak bardzo kochającego go narodu sowieckiego. Gorkiego ogłoszono twórcą literatury sowieckiej i ojcem realizmu socjalistycznego. Oba te stwierdzenia były jednak kłamstwami propagandowymi. Przez całe swoje życie w ZSRS Gorki nie stworzył ani jednego dzieła na temat komunistycznej rzeczywistości.

Pisarz w 1932 r. wrócił do Moskwy. Wszyscy członkowie Biura Politycznego, na czele ze Stalinem, przyszli na wystawną uroczystość z tej okazji. Stalin uniósł kieliszek, by wypić za zdrowie klasyka. Zwracając się do Gorkiego, przywódca ZSRS powiedział:

„Mamy dla ciebie niespodziankę, Aleksieju Maksimowiczu. Moi towarzysze i ja zastanawialiśmy się nad tym i postanowiliśmy przemianować Niżny Nowogród na Gorki".

„To trochę niezręczne" – powiedział Gorki zawstydzony. – Czy to nie jest nieskromne? Przecież jeszcze żyję".

„Jeśli to naprawdę niezręczne, to naprawimy ten absurd" – zażartował Stalin. Zawstydzony pisarz nie odpowiedział, Stalin natomiast roześmiał się i stwierdził: „W Związku Sowieckim jest tylko jeden Gorki, który zasługuje na taki zaszczyt".

Królewskie dary

Początkowo wszystko szło wspaniale. Stalin uruchomił odpowiednie zasoby, aby zadowolić człowieka, którego tak potrzebował. Do jego pełnej dyspozycji oddano trzy wille – jedną w centrum Moskwy, drugą – w Gorkim i trzecią – na Krymie. Zaopatrzenie pisarza we wszystko, czego potrzebował, powierzono specjalnemu wydziałowi NKWD, który odpowiadał również za utrzymanie Stalina i członków Biura Politycznego. Najmniejsze zachcianki Gorkiego były natychmiast odgadywane i spełniane. Na czas podróży na Krym i za granicę przydzielano mu specjalnie wyposażony wagon. Wokół jego willi zostały posadzone kwiaty, które lubił. Papierosy sprowadzano dla niego z Egiptu, a każda książka, która go zainteresowała, była mu dostarczana z dowolnego miejsca na świecie.

Stosunki Gorkiego z władzą bolszewicką układały się jednak różnie. Był bardzo blisko Stalina i promował jego politykę, w tym kolektywizację i system obozów pracy. Jednocześnie wspierał niektórych więźniów politycznych, potępianych pisarzy i niektórych liderów opozycji, przede wszystkim Nikołaja Bucharina i Lwa Kamieniewa, z którymi utrzymywał przyjazne stosunki aż do ich aresztowania. Są świadectwa, że Gorki pełnił funkcję „bufora" między państwem a inteligencją sowiecką, dążąc do pojednania Stalina z opozycją. Gorki utrzymywał przyjazne stosunki z Isaakiem Bablem i Michaiłem Kolcowem, którzy zostali rozstrzelani w okresie „wielkiego terroru".

Jego relacje ze Stalinem pozostają niejasne nawet dla współczesnych badaczy. Prawdopodobnie Gorki stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę z prawdziwej natury Stalina i jego polityki, ale był tak uwikłany w system, że prawdziwy opór był po prostu niemożliwy.

Wyuzdana seksualność tego pisarza znalazła odzwierciedlenie w jego twórczości. Ludzie, którzy go znali, podkreślali, że Gorki miał bardzo charakterystyczne cechy: nie odczuwał bólu fizycznego, był niezwykle sprawny intelektualnie i potrafił w skupieniu pracować przez bardzo długi czas, a także nie był w stanie zaspokoić swojego ogromnego popędu seksualnego. Świadczą o tym jego liczne małżeństwa, zauroczenia i związki – przez jego sypialnię przewinęły się tłumy kochanek.

Mimo że Stalin obsypywał go królewskimi darami, Gorki powoli dystansował się od krwawych zbrodni Gruzina, odmawiając wygłaszania publicznych wystąpień, mających uwiarygadniać politykę bolszewików. Pisarz zaczął zamykać się w sobie i tak oto relacje między Gorkim a Stalinem stawały się coraz bardziej napięte.

Późnym latem 1934 r. Gorki poprosił o paszport, zamierzając spędzić nadchodzącą zimę, tak jak poprzednie, we Włoszech. Jego prośba została jednak odrzucona. Lekarze, kierując się zaleceniami Stalina, uznali, że dla zdrowia Gorkiego lepiej będzie, jeśli spędzi ten czas na Krymie, a nie we Włoszech. Gorki zdał sobie sprawę, że nie ucieknie ze złotej klatki, którą przyszykował dla niego Stalin.

Latem 1935 r., powołując się na kiepski stan zdrowia, ponownie zwrócił się o pozwolenie na wyjazd do Włoch. Stalin znów odmówił, argumentując, że klimat na Krymie nie jest gorszy niż we Włoszech.

Wymowne milczenie

Swoje ostatnie miesiące Gorki przeżył pod ścisłym nadzorem i opieką NKWD. Niedługo przed śmiercią Gorkiego Stalin próbował przeciągnąć go na swoją stronę i uczynić z niego sojusznika podczas pokazowych procesów moskiewskich, na których sądzono licznych dawnych znajomych i przyjaciół pisarza. Pogłoski

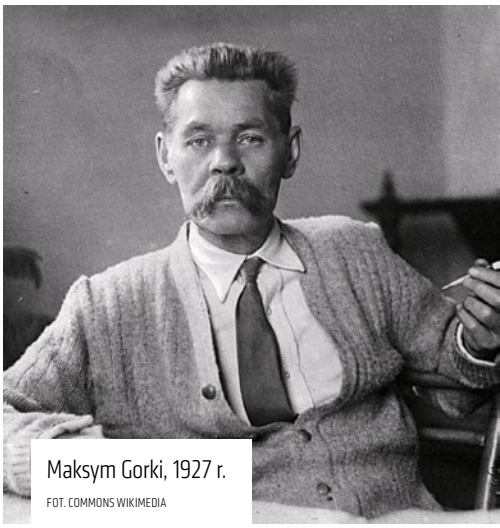

Maksym Gorki, 1927 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 5608f5901c

Piotr Kriuczkow, Maksym Gorki i Gienrich Jagoda

FOT. DOMENA PUBLICZNA

o nieprzekupności Gorkiego nie przeszkadzały Stalinowi. Był przekonany, że każdego da się kupić, tylko niektórzy po prostu żądają za to wyższej kwoty niż inni. Jednak w tym przypadku władca Kremla się pomylił – Gorki miał mu do zaoferowania jedynie swoje milczenie.

Prawdziwy stosunek Gorkiego do stalinizmu wódz ZSRS poznał dopiero po śmierci pisarza. W ostatnich latach swojego życia Gorki prowadził dziennik, w którym notował swoje komentarze odnośnie do sowieckiej rzeczywistości. Gleb Glinka, młody poeta i prozaik, niegdyś członek stowarzyszenia literackiego „Pereval", któremu w czasie drugiej wojny światowej udało się wyemigrować i osiąść w Nowym Jorku, w ten sposób opisał okoliczności znalezienia tego dokumentu: „Podczas prac w prywatnej bibliotece Gorkiego z dolnej półki, zawalonej książkami i starymi gazetami, wyciągnięto kolejną teczkę zawierającą stare szkice, a wśród nich gruby zeszyt w ceratowej okładce. Jeden z pracowników, przekonany, że to przypadkowy rękopis początkującego autora, wysłany Gorkiemu do recenzji, niedbale otworzył zeszyt. Nagle jego twarz zamarła, zbladł, pot perlił się na czole. Potem szybkim ruchem położył zeszyt na stole. Chciał coś powiedzieć, ale tylko poruszył ustami i machnął ręką. Kilka rąk natychmiast sięgnęło po zeszyt. Ktoś otworzył go na początku, w środku i na końcu. Inni zajrzeli mu przez ramię. Wszyscy milczeli. Pokój wypełniała mgła strachu. U niektórych, oprócz strachu, pojawiło się wzruszenie czystej zawodowej ciekawości. Ale wtedy ciszę przerwało rozpaczliwe pytanie: »Co to jest, towarzysze?«. Jeden z obecnych próbował niepostrzeżenie wślizgnąć się do toalety, by później móc twierdzić, że wyszedł, niczego nie widząc. Ale w tym momencie rozległ się surowy, zimny rozkaz:

»Bez paniki. Ani jeden pracownik nie może się ruszyć. Natychmiast wzywam przedstawiciela NKWD! Zrozumiano, towarzysze?«".

Archiwum Gorkiego zostało opieczętowane i trafiło później na biurko szefa NKWD Gienricha Jagody.

„W mojej pamięci – pisał Gleb Glinka w swoich wspomnieniach wydanych w Nowym Jorku – zachowały się przeczytane niektóre pierwsze strony pamiętnika Gorkiego. Pierwsze strony opisywały, jak jakiś leniwy mechanik obliczył, że gdyby zwykłą, wstrętną pchłę powiększyć kilka tysięcy razy, powstałaby najstraszniejsza bestia na ziemi, której nikt nie byłby w stanie ujarzmić. Przy dzisiejszej zaawansowanej technologii taką pchłę można zobaczyć w kinie. Ale potworne grymasy historii czasami tworzą takie powiększenia w realnym świecie. Stalin jest taką pchłą, powiększoną do niewiarygodnych rozmiarów przez bolszewicką propagandę i hipnozę strachu.

Wtedy mój wzrok padł na opis pikniku gdzieś w górach. Teren leśny jest odgrodzony na wiele kilometrów przez oddziały specjalne NKWD. Słoneczny dzień. Cudowna przyroda. Stalin odpoczywa tu ze swoimi sługusami. Ogień na środku polany i beczka kachetyjskiego wina w pobliżu.

»No to teraz zrobimy szaszłyk« – mówi Stalin.

Podają mu związanego baranka z szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami. A »wódz ludu«, delikatnie mierzwiąc puszyste runo, osobiście podcina gardło małemu zwierzątku. Potem wyciera ostry jak brzytwa nóż i z coraz większym apetytem obserwuje przygotowywanie szaszłyka".

To wszystko, co Gleb Glinka zdołał przeczytać w dzienniku Gorkiego, zaglądając komuś przez ramię.

Fałszywa legenda

W 1938 r. odbył się trzeci proces moskiewski, podczas którego sądzono tzw. blok prawicowo-trockistowski. Oficjalnie stwierdzono wówczas, że Gorki został... zamordowany. Odpowiedzialność za zabójstwo wziął na siebie były już szef NKWD Gienrich Jagoda, który rzekomo stał na czele szerokiego spisku zawiązanego w celu zgładzenia pisarza. Wśród innych zarzutów postawionych podczas procesu Jagodzie i Piotrowi Kriuczkowowi, asystentowi pisarza, znalazło się również otrucie syna Gorkiego. Według zeznań Jagody Maksim Gorki został zamordowany na rozkaz Trockiego, a zabójstwo syna Gorkiego, Maksima Pieszkowa, było jego osobistą inicjatywą. Kriuczkow złożył podobne zeznania.

Zarówno Jagoda, jak i Kriuczkow zostali straceni na mocy wyroku sądowego. Wśród oskarżonych znalazło się też trzech lekarzy (Kazakow, Lewin i Pletniow), którym postawiono zarzut zamordowania Gorkiego. Pletniow przyznał się do winy, jednak sądząc po jego późniejszych listach do Berii, zeznanie było wymuszone torturami. Podczas procesu Pletniow oświadczył, że działając pod przymusem ze strony Jagody, podawał Gorkiemu truciznę, udając, że to leki. Lekarz został skazany na 25 lat więzienia, jednak stracono go trzy lata później bez procesu.

Jednocześnie pojawiła się informacja, że sam Stalin mógł być zamieszany w śmierć Gorkiego, i że to on wydał polecenie Jagodzie, by powoli truć pisarza. Powodem miały być coraz bardziej pogarszające się relacje pisarza i wodza bolszewików.

Dla Stalina, wielkiego fałszerza historii, przedstawienie słynnego Gorkiego jako ofiary zamachowców z tzw. bloku prawicowo-trockistowskiego było ważne nie tylko po to, by stworzyć atmosferę powszechnego strachu, obrzydzić społeczeństwu opozycję, lecz także po to, by wzmocnić własny prestiż. Dlatego wszyscy oskarżeni w trzeci procesie moskiewskim mówili, że Gorki nie tylko był bliskim przyjacielem Stalina, lecz także gorąco popierał jego politykę. W ten sposób powstała fałszywa, od początku do końca, legenda o nierozerwalnej przyjaźni między „wielkim rewolucjonistą" a „wielkim humanistą".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

1954–2013 / Rewolucjonista z Caracas

Od krezusa do kryzysu

FOT. VALTER CAMPANATO/ABR/WIKIMEDIA COMMONS

Piotr Włoczyk

Hugo Chávez trafił na sztandary lewicowców na całym świecie, jednak nagie fakty obalają jego legendę. Mrzonki o „socjalizmie XXI w." można było próbować realizować tylko w kraju tak zasobnym w ropę naftową jak Wenezuela

Jego wyznawcy nie kryją dziś wściekłości. Ogłoszona właśnie wielka umowa naftowa między Wenezuelą a USA oznacza m.in. podeptanie konstytucji, którą osobiście zaprojektował Hugo Chávez. Według jej zapisów państwo wenezuelskie jest wyłącznym dysponentem złóż węglowodorów (Wenezuela posiada największe na świecie udokumentowane pokłady ropy naftowej). Jednak Delcy Rodríguez, obecna przywódczyni reżimu chavistowskiego, ogłaszając umowę z USA, komplementowała Donalda Trumpa i zachwalała ten układ. Dziesiątki miliardów baryłek ropy naftowej, które mają na jej mocy trafić – de facto – pod kontrolę USA, to cios w samo serce chavistowskiej ideologii.

„Nie wyślemy ani jednej kropli ropy do imperium Stanów Zjednoczonych!" – krzyczał przed laty Chávez przy okazji wyrzucania z Wenezueli amerykańskich koncernów naftowych. „Ropa należy teraz do ludu wenezuelskiego i ropa będzie służyła sprawiedliwości, równości i rozwojowi naszego ludu!" – obiecywał swoim wyborcom. Dlatego trudno się dziwić, że w Caracas dochodziło w ostatnich tygodniach do demonstracji najbardziej wiernych zwolenników Cháveza, którzy skandowali m.in.: „Nie jesteśmy ani kolonią, ani ogródkiem".

„Święty Chávez"

Korzeni politycznego sukcesu Cháveza można szukać w wydarzeniach, które rozegrały się w Wenezueli w lutym 1989 r. Gdy w Polsce PRL przepoczwarzała się w III RP, również Wenezuela bankrutowała. W ramach umowy z Międzynarodowym Funduszem Walutowym prezydent Carlos Andrés Pérez przefor-

eprasa.pl 5608f5901c

Hugo Chávez przemawia przed kamerami telewizyjnymi podczas zamachu stanu w 1992 r.

FOT. PRENSA PRESIDENCIAL - GOVERNMENT OF VENEZUELA

sował pakiet ustaw wprowadzających drastyczne cięcia wydatków. „Pomoc Międzynarodowego Funduszu Walutowego nie jest jakąś tam opcją. To jest jedyna opcja, która pozostaje państwu, któremu skończyły się rezerwy walutowe" – tłumaczył te działania Pérez. Najbiedniejsza część społeczeństwa wenezuelskiego zareagowała jednak na tę „kurację odchudzającą" bardzo gwałtownie.

„Mieszkańcy ranchos, dzielnic nędzy ze wzgórz otaczających stolicę, zeszli do miasta i przez kilka dni rabowali sklepy, wielkie centra komercyjne, napadali na ludzi i bogate rezydencje w lepszych dzielnicach. Telewizyjne zdjęcia z pogrążonego w chaosie Caracas były iskrą zapalną buntu na prowincji. Zapłonęły wszystkie większe miasta w kraju" – pisze Artur Domosławski w swojej książce „Rewolucja nie ma końca". Według oficjalnych danych zginęły wtedy 372 osoby, ale szacuje się, że w rzeczywistości ofiar było sześć razy więcej.

„Jak doszło do masakry? Sądnego dnia wcześnie rano robotnicy i pracownicy sektora usług z miasta Guarenas, »sypialni« Caracas, dowiedzieli się na przystankach autobusowych, że ceny biletów wzrosły dwukrotnie. W proteście zaczęli wywracać pojazdy, ktoś podpalił autobus i z iskry rozgorzał rewolucyjny płomień, który ogarnął stolicę, a potem cały kraj" – tłumaczy Domosławski.

Rozwarstwione wenezuelskie społeczeństwo, zaczęło trzeszczeć w szwach. Często powtarza się, że Wenezuela była przed Chávezem jednym z najbogatszych państw regionu. To tylko częściowo prawda. Dzięki sprzedaży ropy naftowej doskonale wiodło się elitom, ale ogół wenezuelskiego społeczeństwa żył biednie. Wraz z cięciami zaordynowanymi przez MFW sytuacja najsłabiej zarabiających stała się dramatycznie zła. To był dobry czas dla lewicy i jej haseł. Nie tylko zresztą na parlamentarnej scenie politycznej. W 1992 r. okazało się, że w wojskach powietrznodesantowych służy rozpolitykowany podpułkownik, który zbiera wokół siebie innych lewicowo myślących oficerów i planuje przejąć kontrolę nad krajem.

4 lutego 1992 r. Chávez zamachnął się wraz ze swoimi ludźmi na władze państwowe. Próba przewrotu okazała się wprawdzie nieudana, ale podpułkownik spadochroniarz, obiecujący biedocie zasypanie nierówności społecznych, stał się bohaterem dla milionów Wenezuelczyków. Między innymi dla Elisabeth, mieszkanki Caracas, która tamtej nocy przyjęła w swoim mieszkaniu grupę żołnierzy i ugościła ich kawą. Potem okazało się, że wśród nich był właśnie Chávez. Opowieść o Elisabeth jest częścią wielkiego reportażu pt. „Ñameryka", autorstwa argentyńskiego pisarza Martína Caparrósa.

„Elisabeth ma kolorową koszulkę, mocno sprawne i trochę podarte jeansy oraz kilka zębów. Otacza ją »Kaplica Świętego Hugona Cháveza od 23 [23 de enero – nazwa prochavistowskiej dzielnicy w Caracas – przyp. red.]", która jest pomalowana na niebiesko betonowym kioskiem, z blaszanym dachem z imieniem świętego na przedzie; w środku portrety komendanta i wiele obrazków Matki Boskiej, Chrystusa, różnych aniołków" – pisze Caparrós. „Elisabeth została sierżantem milicji »za uznanie i w podzięce za to, że była ze swoim komendantem tego 4 lutego«. Kiedy wychodzi gdzieś ze swoimi bojownikami, pierwsza próbuje każdego przyjmowanego przez nich napoju i posiłku, tak jak robił to komendant: podstawowym obowiązkiem przełożonego, wyjaśnia mi, jest chronić swoich żołnierzy; dzięki temu będą go kochać i szanować bardziej niż kogokolwiek innego".

Ratunek dla Castro

Jednak zanim Chávez przejął władzę i zaczął organizować w biednych dzielnicach własne milicje, musiał wpierw wyjść z… więzienia. Po nieudanym zamachu stanu trafił tam na dwa lata, ale kolejny prezydent postanowił wyjść naprzeciw oczekiwaniom milionów obywateli i ułaskawił podpułkownika. Chávez miał cztery lata, by rozwinąć swoją machinę wyborczą i oczarować Wenezuelczyków. Nie można mu odmówić wielkiego talentu politycznego i charyzmy.

W 1998 r. zgarnął w wyborach 56 proc. głosów i mógł w końcu wprowadzić w kraju swoją wymarzoną „rewolucję boliwariańską" (ideologia nawiązująca do Simóna Bolívara, postulująca pełną niezależność od obcych potęg oraz wprowadzenie „socjalizmu XXI w.").

Co ciekawe, Chávez złożył wtedy własną wersję ślubowania, trzymając rękę na – jak to określał – „umierającej konstytucji" (w ciągu roku udało mu się przeforsować nową ustawę zasadniczą).

Wenezuela zaczęła kierować miliardy z państwowej kasy w stronę swoich biednych obywateli. Mieszkańcom osiedli nędzy zaczęło się wyraźnie lepiej żyć – dostawali dotowane jedzenie, pojawiły się tysiące lekarzy z Kuby, którzy leczyli za darmo, władze inicjowały coraz to nowe programy socjalne – ale państwo zaczął zżerać rak korupcji na niewyobrażalną skalę.

„Ten naprawdę wybitny demagog stworzył niezwykle skorumpowany system z ogromnymi dotacjami dla biednych ludzi. Ciężko dokładnie ocenić ekonomicznie skutki takiej polityki ekonomicznej, ale bardzo widocznym symptomem załamania jest to, że wraz z popularnością wśród biedniejszych Wenezuelczyków przyszła gigantyczna inflacja – mówił przed laty w rozmowie ze mną peruwiański ekonomista Pedro Pablo Kuczynski, były premier i prezydent Peru, który przyglądał się z bliska budowie „socjalizmu XXI w.".

Kuczynski zwracał uwagę, że jeszcze na początku rządów Cháveza prawica mogła mieć nadzieję, że jego polityka nie będzie aż tak rewolucyjna. Te rachuby zmieniły się wraz z nieudanym zamachem stanu, do którego doszło w 2002 r. Po tym, gdy Chávez wyrzucił kierownictwo PDVSA wenezuelskiego giganta naftowego (zrobił to na żywo w swoim programie telewizyjnym „Aló Presidente") i przejął całkowitą kontrolę nad tą „dojną krową", prawica zwarła szyki i doprowadziła do wojskowego przewrotu.

eprasa.pl 5608f5901c

Kolejka przed państwowym sklepem Súper Mercal

FOT. PIOTR WŁOCZYK

Był on jednak przygotowany nieudolnie i Chávez już po dwóch dniach wrócił na fotel prezydenta. To wydarzenie sprawiło, że coraz wyraźniej zaczął pchać kraj na lewo, biorąc równocześnie na celownik USA (uważał, że to Ameryka zorganizowała przewrót). Od tego czasu czerwona Wenezuela, dotująca inne „antyimperialistyczne" rządy, stała się dla Waszyngtonu największym problemem geopolitycznym na półkuli zachodniej.

„Jego ewolucja była powolna. W pierwszym okresie jego rządów roiło się jeszcze w Wenezueli od bankierów inwestycyjnych. Można go było wtedy nazwać socjalistą w lekkiej postaci. Wszystko się zmieniło w okolicach 2004/2005 r. – mówił w rozmowie ze mną Kuczynski. – Wtedy stał się bardziej radykalny i zaczęły się wywłaszczenia właścicieli zakładów przemysłowych i nacjonalizacja prywatnych majątków ziemskich. Chávez radykał, jakiego obecnie znamy, powstawał więc stopniowo".

Rządy Chávez były błogosławieństwem dla reżimu braci Castro. Po ustaniu w latach 90. wsparcia z Moskwy Kuba znalazła się w dramatycznej sytuacji. Wraz z „socjalizmem XXI w." na wyspie pojawiły się ogromne ilości taniej wenezuelskiej ropy. Bracia Castro mogli odetchnąć z ulgą.

„Ropa służyła do redystrybucji tego bogactwa w formie dotacji do żywności dla biednych obywateli. Problemem jest to, że bardzo niewielka część pieniędzy z tej fortuny została przekierowana na inwestycje. Poza tym część dochodów ze sprzedaży ropy poszła na działania zewnętrzne, w formie dotacji dla Kuby i innych sojuszników Chávez, więc te pieniądze też były w zasadzie przejedzone. Wenezuela leży na jednym z największych na świecie »zbiorników« ropy, więc przy takich środkach nawet najbardziej absurdalną politykę gospodarczą można prowadzić przez dłuższy czas" – mówił Kuczynski.

Marnotrawstwo

Historia rozkradania wpływów z ropy naftowej przez skorumpowany reżim to właściwie kanwa książki „Chávez. Prawdziwa historia kontrowersyjnego przywódcy Wenezueli", której autorem jest Rory Carroll, wieloletni korespondent brytyjskich mediów pracujący nad Orinoko.

„Nie było żadną tajemnicą, że upolitycznienie firmy PDVSA i nałożenie na nią niezliczonych zadań – finansowała akcje socjalne i nimi zarządzała, funkcjonowała jako równoległe państwo – osłabiły jej możliwości wydobywania ropy i poszukiwania nowych złóż. Szacuje się, że do 2010 roku wydała 23 miliardy dolarów na programy socjalne. Analitycy twierdzili, że firma przeżywa kryzys i że produkuje znacznie mniej niż deklarowane przez nią 3 miliony baryłek dziennie" – pisze w swojej książce Carroll. I cytuje w niej także dowcip podawany przez wenezuelskich nafciarzy: „drugim pod względem opłacalności biznesem na świecie po dobrze zarządzanym koncernie naftowym jest źle zarządzany koncern naftowy", co tłumaczy, dlaczego „socjalizm XXI wieku" był w stanie bankrutować aż tak długo.

„Socjalizm XXI wieku" rozdawał żywność biednym obywatelom, zapewniał darmową opiekę zdrowotną i edukację, ale państwo coraz bardziej niedomagało, korupcja niszczyła gospodarkę, niedoinwestowana infrastruktura naftowa powoli się rozpadała, inflacja utrudniała prowadzenie biznesu, ale problemy zaczęły się pojawiać również w sferze politycznej, w której wolność była coraz bardziej ograniczana. Już za Cháveza pojawili się pierwsi więźniowie polityczni, choć do 2013 r. Wenezuelę trudno było jeszcze zaklasyfikować jako klasyczną dyktaturę.

Pomnik Hugona Cháveza

FOT. RJCASTILLO/WIKIPEDIA

„Prawdziwy dyktator zawsze ryzykuje, że pogrąży się w świecie fantazji, gdy jego myślenie życzeniowe odbija się echem wśród pochlebców. Kiedy do tego świata wdziera się rzeczywistość – tłum u bram pałacu, powstanie – jest już zwykle za późno. Chávez nie był dyktatorem" – pisze Rory Carroll. „Pozostał hybrydą, wybranym w wyborach autokratą, i to go ocaliło. Wybory przykuwały go do rzeczywistości i wyrywały z przepaści. W wirze kampanii wyborczej ten otumaniony filozof odnajdował cel, na którym się skupiał, i zmieniał się w przebiegłego analityka śledzącego raporty i sondaże".

Jego następca, porwany w styczniu tego roku przez Amerykanów Nicolás Maduro, zamienił Wenezuelę w upadłe państwo, w którym podstawowe instytucje nie działają, prąd staje się luksusem, a zwykły obywatel boi się iść do szpitala, gdzie brakuje nawet mydła i bieżącej wody. Zmarły na raka w 2013 r. Chávez może się wydawać na tym tle całkiem sprawnym przywódcą, ale Rory Carroll podkreśla, że nie sposób brać go na sztandary.

„[…] Trwałym dziedzictwem, które pozostawił po sobie Chávez, okazało się marnotrawstwo. Był nad wyraz utalentowanym politykiem obdarzonym współczuciem dla biednych i dysponował władzą Krezusa, lecz mimo to jego poczynania skończyły się fiaskiem – pisze Carroll w swojej książce. – Ropa krępowała gospodarkę, a namiętności zaowocowały nienawiścią. […] Wenezuela pogrążyła się w anomii. Nie było głodu, nie było gułagów, ale tragedia polegała na zmarnowanym potencjale. Nic nie działało, lecz były pieniądze. Ci, którzy nie mogli tego znieść, wyjeżdżali".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA GRZEGORZ KUCHARCZYK: „MONARCHIA POLSKA"

Nie byłoby królestwa w Polsce, gdyby nie chrzest Mieszka I oraz ustanowienie w 1000 roku hierarchicznego ładu polskiego Kościoła – pisze prof. Grzegorz Kucharczyk, autor wielu poczytnych książek historycznych. Zjednoczenie ziem polskich pod berłem królewskim przez Bolesława Chrobrego w roku 1025 było dowodem wielkości państwa oraz jego suwerenności. Od początków nasi władcy, tak samo ich poddani, zorientowani byli na współpracę z papieskim Rzymem, a rola Kościoła jako gwaranta nie tylko szerzenia i pogłębiania nauki ewangelicznej, ale także jedności narodowej nigdy nie była podważana. Aż do czasów komunistycznych i do dnia dzisiejszego, kiedy władza oświadcza wprost, że będzie katolików „opiłowywać". Przy okazji redukuje się do minimum uczciwą edukację historyczną w szkołach – są to wszystko działania antypolskie.

Ta książka jest natomiast znakomitym narzędziem do umacniania patriotyzmu oraz uzupełniania wiedzy o państwie polskim, które przez ponad 800 lat było monarchią. Autor, świetnie władający językiem literackim, dokonuje syntezy panowania naszych królów od Chrobrego aż po Królestwo Kongresowe. A nawet po wiek XX, bowiem prof. Kucharczyk na koniec słusznie stwierdza: „Mieliśmy szczęście żyć w czasach, gdy naszą wspólnotę umacniali dwaj niekoronowani królowie Polski – bł. kardynał Stefan Wyszyński, Prymas Polski, oraz św. Jan Paweł II".

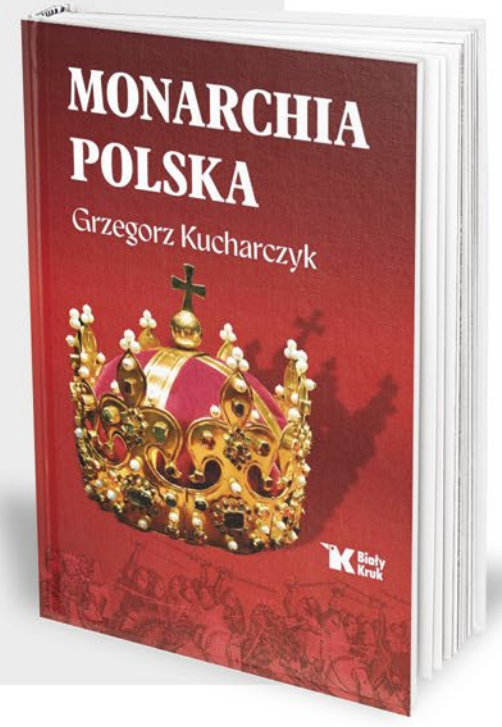

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

178 zł

oszczędność 80 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5608f5901c

Śmierć Haralda V / Ostatni świadek wygnańczej epopei

Haakon VII i jego syn, Olaf, w Molde, kryją się pod drzewem podczas niemieckiego nalotu. Kwiecień 1940 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PER BRATLAND, AFTENPOSTEN.NO

Królewskie trio kontra Hitler

Piotr Semka

Chwalebna postawa norweskiej rodziny królewskiej w czasie drugiej wojny światowej to ważny element tożsamości i narodowej dumy mieszkańców tego nordyckiego kraju

W sędziwym wieku 89 lat odszedł właśnie Harald V, ostatni z trzech męskich przedstawicieli królewskiego rodu, którzy zaznali wprawdzie w czasie ostatniej wojny goryczy wygnania, ale uratowali honor Norwegów. Harald V był pierwszym od 567 lat władcą państwa nad fiordami urodzonym na norweskiej ziemi. To fakt, który może zaskoczyć polskiego czytelnika, ale dobrze oddaje on niełatwe doświadczenia dziejowe Norwegów. Narodu, który przetrwał ponad pięć wieków pod obcą kontrolą. Pokazuje to również skomplikowane relacje Norwegów z ich najbliższymi sąsiadami – z Danią i ze Szwecją. To właśnie duńscy monarchowie od końca XIV w. zarządzali Norwegią i dopiero w 1815 r. oddali swoje władztwo nad krainą fiordów sąsiedniej Szwecji.

Dlatego gdy w 1905 r. Norwegia zerwała unię personalną z królestwem Szwecji, tamtejsze elity podczas wyboru własnego króla sięgnęły po księcia z Danii. Również to państwo było niegdysiejszym zaborcą, ale mimo wszystko kojarzyło się lepiej niż Szwecja, z którą Norwegia o mały włos stoczyła w trakcie „rozwodu" konflikt zbrojny.

Kluczowa podróż

Niemal w każdej książce na temat historii Norwegii można znaleźć to symboliczne zdjęcie. 25 listopada 1905 r. w porcie w Christianii (tak nazywało się wtedy Oslo) pojawia się duński okręt. Z pokładu schodzi i wita się z delegacją norweskiego rządu nowy władca Haakon VII (urodzony jako Christian Frederik). Towarzyszy mu synek – przyszły król Olaf V. Malec jest owinięty w gruby kocyk, bo w Norwegii koniec listopada to już zima. Olaf urodził się raptem dwa lata wcześniej, 2 lipca 1903 r. w brytyjskiej rezydencji królewskiej w Sandringham.

Żona Haakona VII, królowa Maud, pochodziła z królewskiego rodu Sachsen-Coburg-Gotha. To, że Norwegowie wybrali właśnie Christiana, wiązano

eprasa.pl 5608f5901c

wówczas właśnie z jego małżonką Maud. Jej rodowe koligacje z potężnym rodem władającym wówczas Wielką Brytanią były dla rządu w Christianii gwarancją mocnej pozycji Norwegii w europejskim układzie sił.

Z maleńkiego Olafa wyrósł piękny młodzieniec, następca tronu. Pragmatyczni Norwegowie po wykonaniu dynastycznego zwrotu ku Danii postanowili naprawić relacje z południowo-wschodnim sąsiadem. Dlatego żoną wchodzącego w dorosłość Olafa została księżniczka Märta Bernadotte ze Szwecji. Młoda para zaręczyła się potajemnie podczas igrzysk olimpijskich w Amsterdamie w 1928 r., a uroczysty ślub miał miejsce w luterańskiej katedrze w Oslo 21 marca 1929 r. Wreszcie w 1937 r., po narodzinach dwóch córek – Ragnhildy i Astrid – urodził się ich pierwszy syn – książę Harald.

Dwa lata później książęca para wybrała się na trzymiesięczną podróż do USA. Była to odpowiedź na prośby norweskiej diaspory w Ameryce, która od momentu uzyskania niepodległości przez ich ojczyznę nie doczekała się wizyty ani jednego członka panującej dynastii. W czasie swojego amerykańskiego „tournée" Olaf i Märta spotkali się z prezydentem USA Franklinem Delano Rooseveltem, który bardzo polubił pełne wdzięku małżeństwo. Podróż młodej pary statkiem MS „Oslofjord" ze stolicy Norwegii do Nowego Jorku, a potem powrót transatlantykiem MS „Stavangerfjord", wywołała w Ameryce ogromne zainteresowanie i przyniosła parze z dalekiego, nordyckiego kraju ogromną sympatię. Ta życzliwość miała się wkrótce okazać bardzo przydatna.

Haakon VII, jego żona Maud i ich syn Olaf, następca tronu, ok. 1910 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NASJONALBIBLIOTEKET

Jak grom z jasnego nieba

Niemiecki atak na Norwegię 9 kwietnia 1940 r. zaskoczył królewską rodzinę. Dzięki bohaterskiej postawie załogi fortu Oscarsborg udało się powstrzymać próbę morskiego desantu na Oslo i opóźnić tym samym zajęcie stolicy Norwegii. Władze państwowe, na czele z rodziną królewską, zdążyły dzięki temu opuścić Oslo specjalnym pociągiem. Król Haakon VII, następca tronu Olaf i jego żona Märta udali się do niewielkiej miejscowości Elverum, leżącej ok. 60 km od granicy szwedzkiej. Tutaj po naradzie rodzinnej zapadła decyzja o rozdzieleniu się. Król wraz z następcą tronu Olafem postanowili jechać dalej na północ, aby przewodzić walce z Niemcami. Z kolei Märta wraz z trójką dzieci miała wyjechać do Szwecji.

Gdy jej kolumna dotarła do szwedzkiego punktu granicznego, dłuższą chwilę trwało wpuszczenie kawalkady limuzyn do Królestwa Szwecji. Strażnik przez dłuższy czas zwyczajnie nie chciał bowiem uwierzyć, że ma przed sobą żonę następcy tronu wraz z dziećmi. Rząd szwedzki zgodził się przyjąć wygnańców, ale nie ukrywał, że wolałby, aby natychmiast wyjechali oni do jakiegoś innego kraju. Szwedzcy politycy bardzo obawiali się wtedy będącej u szczytu potęgi III Rzeszy. Niemcy mogli się przecież poważyć na próbę porwania Märty i jej dzieci, naruszając neutralność Szwecji. Niedługo również Haakon VII, następca tronu Olaf i większość rządu musieli opuścić kraj. Po tym, jak Niemcy zajęli prawie całą Norwegię, Royal Navy ewakuowała ich do Wielkiej Brytanii.

7 czerwca 1940 r. wojska norweskie skapitulowały przed Niemcami. W tej sytuacji zbawieniem dla Märty była interwencja prezydenta Roosevelta, który zainteresował się jej losem. Żona następcy tronu, zakonspirowana pod fałszywym nazwiskiem „Ms Jones", została umieszczona 15 sierpnia 1940 r. na statku „American Legion", który transportował do Ameryki obywateli USA ewakuowanych z Norwegii i innych państw europejskich.

Parowiec wyruszył z fińskiego portu Petsamo. „American Legion" szczęśliwie dotarł 28 sierpnia 1940 r. do portu w Nowym Jorku. Ustalono, że Olaf wraz ze swoim ojcem będą kierować norweskim oporem z Londynu, a Märta z dziećmi będzie gościem prezydenta USA. Trzeba pamiętać, w tamtym czasie Londyn był intensywnie bombardowany, więc Ameryka wydawała się bezpiecznym schronieniem dla rodziny następcy tronu.

Olaf działał w Londynie zarówno przy emigracyjnym rządzie, jak i przy oddziałach norweskich, które powstawały na Wyspach Brytyjskich. We wrześniu 1940 r. niemieckie bombardowania stały się tak dotkliwe, że Haakon VII wraz z synem przenieśli się do wiejskiej posiadłości Bowden House w hrabstwie Berkshire.

Na obcej ziemi

Pierwsze chwile norweskiej księżnej w Ameryce tak opisuje królewski biograf Tor Bomann-Larsen: „Wczesnym rankiem 28 sierpnia 1940 roku do hallu nowojorskiego hotelu Waldorf-Astoria wkracza niewielka grupa. Są to księżna,

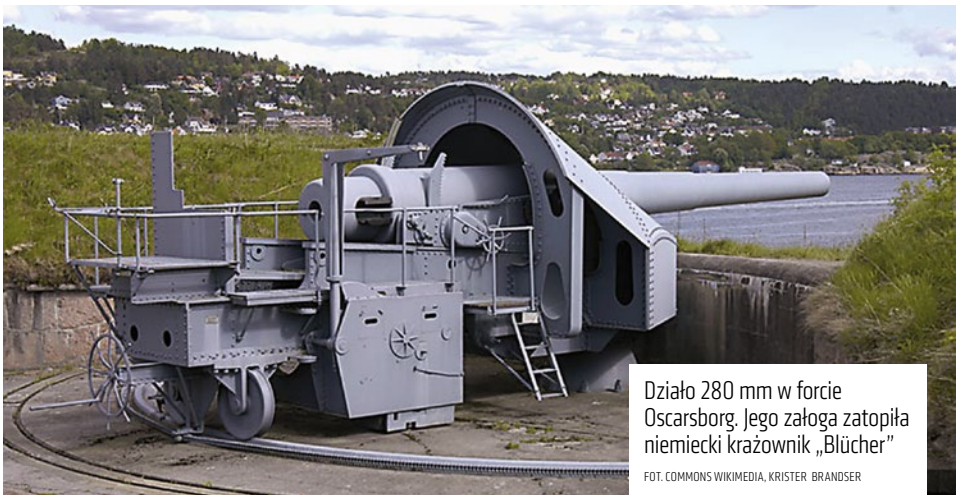

Działo 280 mm w forcie Oscarsborg. Jego załoga zatopiła niemiecki krążownik „Blücher"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KRISTER BRANDSER

eprasa.pl 5608f5901c

księżniczki Ragnhilda i Astrid, mały książę Harald (3-latek) oraz damy dworu i reszta asysty. W skład królewskiej świty wchodzi łącznie 11 osób, które przybyły amerykańskim statkiem z Petsamo jako uchodźcy z okupowanej Norwegii. Po umieszczeniu dzieci w apartamencie w wieży na 31. piętrze Märta kontaktuje się telefonicznie z księciem Olafem w Londynie. To ich pierwsza rozmowa od rozłąki 9 kwietnia 1940 roku. Następnie rozpoczyna się konferencja prasowa Märty z międzynarodowym korpusem dziennikarskim, a wieczorem uroczysta kolacja w wielkiej sali balowej hotelu".

Märta w wywiadach prasowych i radiowych potwierdza wolę walki o wolność swojego kraju. Przypomnijmy, że USA były jeszcze wtedy neutralne i świadectwo młodej, lubianej tu księżnej koronnej miało spore znaczenie dla tej części społeczeństwa i elit, które uważały, że Ameryka musi się włączyć w zatrzymanie ekspansji III Rzeszy.

Märta i jej dzieci początkowo zamieszkały w wiejskiej rezydencji Roosevelta pod Nowym Jorkiem. Następnie dla królewskiej rodziny wybrano posiadłość Pooks Hill pod Waszyngtonem, którą później zakupił rząd norweski.

Jeszcze raz zacytujmy Bomanna-Larsena: „Następczyni tronu rozwinęła niezwykle bliską i osobistą relację z prezydentem Rooseveltem. Zasadniczo cała rodzina królewska, a także inni członkowie świty z Norwegii zostali włączeni do wewnętrznego kręgu przyjaciół prezydenta. […] Każdego lata, ale także przy innych okazjach cała królewska świta podróżuje do domu Roosevelta w Hyde Parku, gdzie spędzają wiele tygodni. Panuje tu swobodny i nieformalny styl, wyraźnie widać, że obie strony lubią swoje towarzystwo".

Mimo bardzo komfortowych warunków księżna przez cały czas żyje jednak w napięciu, ponieważ niepokoi się o los męża służącego Norwegii w bombardowanym Londynie, oraz zasadniczo martwi się coraz bardziej alarmującymi informacjami o terrorze niemieckim. Märta, gdzie tylko może, udziela wywiadów, w których informuje Amerykanów o tragicznym losie swoich rodaków.

Rodzina królewska obejmuje też swoisty patronat nad bazą szkoleniową norweskich lotników w kanadyjskim dystrykcie Muskoka w okolicach Toronto. Ten mały skrawek ziemi zyskał potoczną nazwę „Małej Norwegii". Częstym gościem bywa tutaj młody książę Harald, którego wizyty wykorzystały służby prasowe norweskiego rządu emigracyjnego do prowadzenia akcji werbunkowej. Było to kluczowe zagadnienie, ponieważ oprócz uciekinierów z Norwegii, którzy przedostają się brawurowo na Wyspy Brytyjskie kutrami lub też drogą lądową przez Szwecję, jedynym zapleczem werbunkowym dla rządu na wygnaniu byli norwescy Amerykanie.

Ale o sprawie Norwegii nie zapominał też sam Roosevelt. 16 września 1942 r. amerykański prezydent przybył na uroczystość w waszyngtońskiej stoczni marynarki wojennej. Ameryka przekazała norweskiej flocie jednostkę, nazwaną „King Haakon VII", przeznaczoną do zwalczania okrętów podwodnych. Roosevelt wygłosił wtedy swoją słynna mowę pt. „Spójrzcie na Norwegię".

„Jeśli ktoś jeszcze dziwi się, dlaczego prowadzimy tę wojnę, niech popatrzy na Norwegię.

Jeśli jest jeszcze ktoś, kto ma złudzenia, że mogliśmy tej wojny uniknąć, niech spojrzy na Norwegię.

Jeżeli ktoś ma jeszcze wątpliwości, czy demokracja zwycięży, znów mówię mu: popatrz na Norwegię".

Słowa „Spójrzcie na Norwegię" stały się tak znane, że w Hollywood powstał w 1943 r. film „Na progu ciemności". Bardzo popularny wówczas gwiazdor Errol Flynn wcielił się w rolę fikcyjnego lidera ruchu oporu nazwiskiem Gunnar Brogge. W finałowej scenie norwescy rybacy walczą z okupantem, a przemówienie Roosevelta wygłaszane przez lektora filmowego kończy ten film.

Książę Harald podczas wizyty w norweskim dywizjonie RAF w Kanadzie. Powyżej: emblemat dywizjonu FOT. SJOBERG/IMAGEBROKER/FORUM

Nieliczni, ale bitni

Uczynienie ze zniewolonej Norwegii symbolu walki z hitlerowską potęgą miało dla zachodnich mocarstw bardzo duże znaczenie. Walka Norwegów demistyfikowała hitlerowską propagandę przedstawiającą wojnę jako konflikt między rasą nordycką a resztą świata. Norwegowie byli wzorowymi nordykami, a jednocześnie ich król i reszta rodziny królewskiej rzucili wyzwanie Hitlerowi.

Starania rodziny królewskiej o wzbudzenie sympatii dla Norwegii miały tym większe znaczenie, że to okupowane państwo musiało twardo walczyć o pozyskiwanie sprzętu wojskowego oraz nowego rekruta. Norweski rząd emigracyjny miał tu pewne atuty, ale i słabości. Przykładowo władze amerykańskie niechętnie zgadzały się na pobór amerykańskich obywateli o norweskich korzeniach bezpośrednio do norweskich sił na emigracji. Amerykanie woleli, aby ich obywatele norweskiego pochodzenia zasilali specjalnie sformowany w 1942 r. 99. batalion piechoty, który przygotowywano na wypadek ewentualnej inwazji armii amerykańskiej na okupowaną Norwegię. Szczególnie cenni byli emigranci w pierwszym pokoleniu, bo znając lokalne warunki, byliby bardzo przydatni przy ewentualnym lądowaniu na norweskiej ziemi.

eprasa.pl 5608f5901c

Norweskie siły lądowe stacjonujące w Wielkiej Brytanii liczyły zaledwie 4 tys. żołnierzy. Znacznie większy wkład w wysiłek sprzymierzonych wnosiła ogromna norweska flota handlowa, która po zajęciu kraju przez Niemców w większości posłuchała wezwań króla Haakona VII i udała się do najbliższych portów brytyjskich. Liczbę marynarzy floty handlowej, którzy służyli po stronie aliantów, szacuje się na ok. 30 tys., z czego ok. 3,7 tys. zginęło w trakcie wojny.

Oprócz tego byli jeszcze norwescy lotnicy, którzy walczyli aż do końca wojny w pięciu dywizjonach (od 330 do 334) działających w ramach RAF.

Symbol oporu

Trudno przecenić znaczenie postaci króla Haakona VII dla woli walki Norwegów. Władca, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że obowiązkiem Norwegów jest opór, całkowicie pozbawiał autorytetu Vidkuna Quislinga, przywódcy norweskich kolaborantów III Rzeszy. Ogromne znaczenie dla wzmacniania morale narodu miały przemówienia króla, których słuchano potajemnie w całym kraju.

Norweska pamiętnikarka Greta Dahl tak opisywała 24 grudnia 1940 r.:

„Dziwny wieczór wigilijny! Po południu musiałam raz zejść do piwnicy na węgiel, żeby się wypłakać. Tak smutno jest patrzeć na te ponure niemieckie mordy. […] |Teraz śpiewają i okropnie hałasują na ulicach – a to wieczór wigilijny. Kiedy włączyłam radio o piątej po południu, krzyczał tylko jeden głos. „Halo Narwik. Wzywamy Narwik! Pozdrawiamy naszych »Kameraden« w Narwiku!". O wpół do szóstej złapaliśmy Londyn i złapaliśmy [głos] króla Haakona. To było norweskie pozdrowienie, które zapadło nam w serca. Nasz błogosławiony król. To święta pod znakiem tęsknoty!".

Leciwy król Haakon VII był symbolem oporu, ale to jego syn Olaf był faktycznym organizatorem wielu akcji dywersyjnych, do których dochodziło w okupowanym kraju. 30 czerwca 1944 r. książę Olaf został mianowany szefem resortu obrony rządu na uchodźstwie i wszedł w skład specjalnego komitetu, który miał przygotować wyzwolenie kraju. Jednak nadzieje na szybkie wyrzucenie Niemców okazały się płonne; planiści aliantów uznali bowiem, że wybrzeże Norwegii jest zbyt trudne do przeprowadzenia dużej operacji desantowej.

Olaf musiał też odgrywać rolę dyplomaty, taktownie łagodząc konflikty ambicjonalne między różnymi odłamami emigracyjnego rządu i krajowego ruchu oporu.

Następca tronu był pierwszym członkiem rodziny królewskiej, który powrócił do Oslo. Doszło do tego 13 maja 1945 r., gdy Olaf przybił do brzegu na pokładzie brytyjskiego okrętu HMS „Devonshire". Przy wiwatach tłumów przejechał z portu do pałacu. Następnie Olaf nadzorował rozbrajanie niemieckich jednostek, które poddały się 8 maja.

Księżna Märta z dziećmi wróciła z Ameryki przez Wielką Brytanię. Wraz z królem Haakonem VII przypłynęła 7 czerwca 1945 r. do stolicy Norwegii na pokładzie brytyjskiego krążownika HMS „Norfolk". Data nie była przypadkowa: dokładnie pięć lat wcześniej król udał się na emigrację.

Niestety, następczyni tronu nie było dane przyjąć tytułu królowej. Już w czasie wojny cierpiała na wiele chorób, które z biegiem lat znacznie ją osłabiły. Zmarła 5 kwietnia 1954 r. wskutek niewydolności wątroby. Miała 53 lata. Trzy lata później Olaf przejął obowiązki władcy Norwegii wobec coraz cięższej choroby Haakona VII (sędziwy monarcha z czasów wojny umarł jeszcze w tym samym roku).

Do dziś działa fundusz pamięci księżnej Märty, który przyznaje dotacje na cele społeczne i humanitarne. Pamięć o księżnej jest kultywowana również w Waszyngtonie; na terenie ambasady norweskiej wzniesiono jej pomnik.

Król obywatel

Olaf V rządził Norwegią do swojej śmierci w styczniu 1991 r. W pamięci Norwegów zapisał się jako władca niezwykle skromny. Był dobrym żeglarzem i reprezentował swój kraj m.in. na igrzyskach olimpijskich w Amsterdamie w 1928 r., gdzie zdobył złoty medal w zawodach jachtów sześciometrowych. Po stolicy Olaf V chodził bez obstawy.

Młodzież Tromsø wita następcę tronu księcia Olafa, sierpień 1945 r.

FOT. COMNMONS WIKIMEDIA, SVENSKA DAGBLADET ZA POŚREDNICTWEM IMS VINTAGE PHOTOS

Gdy zapytał go o to jeden z zagranicznych dziennikarzy, władca odparł: „W tym kraju mam cztery miliony ochroniarzy".

Jego syn Harald V także reprezentował Norwegię w żeglarstwie, i to na trzech olimpiadach, ale nie udało mu się zdobyć żadnego trofeum.

Harald V zasłynął z kolei zaślubieniem w 1968 r. dziewczyny z „ludu" – Sonji Haraldsen, krawcowej i projektantki mody, która może się pochwalić ukończeniem (już jako mężatka) w 1971 r. studiów na Wydziale Historii Sztuki Uniwersytetu w Oslo.

16 grudnia 1973 r., gdy z racji kryzysu paliwowego mocno ograniczono możliwość poruszania się autami, Olaf V na swój cotygodniowy bieg narciarski w okolicach Oslo wybrał się kolejką podmiejską. Gdy król chciał zapłacić za bilet, konduktor wyjaśnił mu, że należność uregulował już jeden z pasażerów…

Wojenne zasługi Haakona VII oraz Olafa V zbudowały na tyle silny prestiż monarchii, że powojenne próby dyskusji na temat zaprowadzenia w kraju fiordów republiki, nigdy nie zakończyły się sukcesem. Ostatni wniosek w tej sprawie został odrzucony przez parlament norweski w marcu 1976 r. Co charakterystyczne, republikańską inicjatywę poparło zaledwie 19 deputowanych, na łączną liczbę 155 członków Stortingu.

Po niedawnej śmierci Haralda V na tron wstąpił Haakon VIII. Jego imię to oczywiście nawiązanie do najbardziej bohaterskiego władcy nowożytnej Norwegii. Z tego powodu wielu Norwegów wróży nowemu władcy długie i chwalebne panowanie. Umarł król, niech żyje król!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Wywiad / Z Krzysztofem Drozdowskim, historykiem, autorem książki „Zdrajcy, tchórze i kolaboranci. Portrety upadku”

rozmawia Piotr Włoczyk

Mrzonka sojuszu

II RP i III Rzeszy

Volksdeutsche po ceremonii wręczenia im Złotej Odznaki NSDAP za zasługi we wrześniu 1939 r. FOT. NAC

PIOTR WŁOCZYK: Co tak naprawdę chcieli osiągnąć Niemcy, wprowadzając na inkorporowanych przez Rzeszę terenach II RP Deutsche Volksliste (DVL)?

KRZYSZTOF DROZDOWSKI: Przede wszystkim trzeba odejść od potocznego wyobrażenia, że volkslista była po prostu deklaracją: „Chcę zostać Niemcem”. Na ziemiach wcielonych do Rzeszy była ona jednym z narzędzi ogromnego programu przebudowy narodowościowej tych terenów. Niemcy nie traktowali Pomorza, Wielkopolski czy Górnego Śląska jako ziem okupowanych na czas wojny. One miały się stać częścią Rzeszy, a w dalszej perspektywie ziemiami niemieckimi również pod względem ludnościowym.

Trzeba więc było mieszkańców sklasyfikować. Ustalić, kto jest Niemcem, kto może zostać zgermanizowany, kto posiada – według nazistowskich kryteriów – „niemiecką krew”, a kto jest elementem niepożądanym, przeznaczonym do usunięcia, wysiedlenia albo sprowadzenia do roli taniej siły roboczej. DVL była więc zarazem instrumentem germanizacji, selekcji rasowej, kontroli społecznej i pozyskiwania ludzi dla państwa niemieckiego, zwłaszcza dla Wehrmachtu.

Jednak to nie był jeden, spójny system.

Tak, praktyka wyglądała zupełnie inaczej w różnych częściach okupowanej Polski. W Kraju Warty polityka gauleitera Arthura Greisera była znacznie bardziej restrykcyjna, natomiast na Pomorzu gauleiter Albert Forster dążył do masowego wpisywania ludności na volkslistę. Na Pomorzu i Górnym Śląsku stosowano bardzo silny przymus. Dlatego volkslisty nie można analizować wyłącznie jako problemu indywidualnej lojalności. Była ona elementem niemieckiej polityki zmierzającej do rozbicia polskiej wspólnoty narodowej od środka.

Pisze pan w książce, że „w praktyce właśnie grupy III i IV miały największe znaczenie polityczne". Dlaczego?

Ponieważ grupy I i II nie stanowiły dla Niemców większego problemu. Mówiąc w pewnym uproszczeniu: byli to ludzie, których okupant już uważał za Niemców. Pierwsza grupa obejmowała osoby przed wojną aktywnie działające na rzecz niemczyzny, a druga tych, którzy zachowali niemiecką tożsamość, choć nie wykazywali takiej aktywności.

Natomiast grupy III i IV były obszarem walki o człowieka. I właśnie dlatego miały tak wielkie znaczenie polityczne. Niemcy chcieli z ludzi o niejednoznacznej tożsamości, mieszkańców pogranicza, osób częściowo spolonizowanych albo takich, którym przypisywano niemieckie pochodzenie, stworzyć Niemców.

Grupa IV obejmowała tych, których nazistowska administracja uważała za ludzi niemieckiego pochodzenia, ale spolonizowanych i związanych z polskością. W nazistowskiej nomenklaturze byli to swego rodzaju „renegaci”, których należało odzyskać. Na Pomorzu sytuację dodatkowo komplikowało masowe wpisywanie do III grupy ludzi, którzy przed wojną uważali się po prostu za Polaków. Stąd później dramatyczne sytuacje, kiedy człowiek mający III grupę DVL służył przymusowo w Wehrmachcie, dezerterował przy pierwszej sposobności, trafiał do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a po 1945 r. sam fakt posiadania volkslisty mógł stać się podstawą podejrzeń wobec niego.

Czy Polacy rozumieją dziś, o co chodziło w systemie DVL? Czy nie patrzymy na to zbyt prosto: „Podpisał volkslistę, czyli zdradził”?

Myślę, że wciąż bardzo często patrzymy na ten problem zbyt prosto. Funkcjo-

eprasa.pl 5608f5901c

Arthur Greiser

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

nuje taki skrót myślowy: volksdeutsch równa się zdrajca. Tymczasem przy badaniu konkretnej osoby pierwszym pytaniem nie powinno być to, czy podpisał volkslistę, tylko gdzie mieszkał, do której grupy został wpisany, w jakich okolicznościach, czy zrobił to dobrowolnie i przede wszystkim – co później robił.

Na Pomorzu czy Górnym Śląsku presja była ogromna. Ludzie obawiali się utraty pracy, domu, gospodarstwa, wysiedlenia, wywiezienia na roboty czy represji wobec rodziny. Jeden z badaczy określił przyjmowanie III grupy na Pomorzu jako „przymus sytuacyjny".

Proszę sobie wyobrazić człowieka, który ma żonę i troje dzieci. Urzędnik mówi mu w praktyce: albo podporządkujesz się procedurze, albo możesz stracić pracę, mieszkanie i możliwość utrzymania rodziny. Siedzimy dzisiaj w bezpiecznym pokoju i możemy bardzo łatwo powiedzieć: „Ja nigdy bym tego nie zrobił". Tylko że to jest komfort ludzi, którzy nie stoją przed takim wyborem. Nie oznacza to oczywiście, że volkslista nikogo nie obciąża. Oznacza jedynie, że sam dokument nie może być wyrokiem. Dla mnie jest to zresztą jeden z najważniejszych motywów całej książki. Jeżeli wszystkich wrzucimy do jednego worka, to przestaniemy odróżniać człowieka zastraszonego od człowieka, który świadomie przeszedł na stronę okupanta.

W jakich przypadkach można było mówić o jawnej zdradzie Polaka podpisującego DVL?

Dla mnie granica przebiega przede wszystkim przez świadomość, dobrowolność i czyny. Jeżeli ktoś z własnej woli deklarował niemieckość, ponieważ dawała mu ona przywileje, a następnie wykorzystywał swoją pozycję przeciwko dawnym sąsiadom, donosił na Polaków, przejmował ich majątek, służył okupacyjnemu aparatowi represji, współpracował z gestapo czy uczestniczył w prześladowaniach, to tutaj nie mam większego problemu z użyciem słowa „zdrada".

Co innego człowiek, który pod presją przyjął III grupę, żeby chronić rodzinę, a jednocześnie nadal uważał się za Polaka. To dwie zupełnie różne historie. Oczywiście istnieją przypadki graniczne. Ktoś mógł początkowo podpisać dokument ze strachu, a później zacząć korzystać z przywilejów i coraz bardziej angażować się po stronie niemieckiej. Wojna potrafiła przesuwać tę granicę stopniowo. I właśnie takie życiorysy są dla historyka najciekawsze, bo pokazują mechanizm moralnego upadku znacznie lepiej niż przypadki od początku oczywiste.

Czy Niemcy na którymkolwiek etapie myśleli o „przeciągnięciu" Polaków na swoją stronę?

Poszczególnych Polaków – oczywiście. Określone środowiska – również. Natomiast Polaków jako naród i Polskę jako równorzędnego partnera – zasadniczo nie. Niemcy próbowali wykorzystywać antysowieckie nastawienie części społeczeństwa, antagonizmy narodowościowe, separatyzmy regionalne, osobiste ambicje czy zwykły oportunizm. Goralenvolk jest świetnym przykładem takiego działania. Wraz z pogarszaniem się sytuacji militarnej Rzeszy gotowość do wykorzystywania Polaków przeciwko Związkowi Sowieckiemu oczywiście rosła. Nie oznaczało to jednak zasadniczej zmiany stosunku do Polski.

W niemieckim systemie okupacyjnym nie powstał odpowiednik rządu Vichy. Niemcy nie chcieli polskiego Pétaina, ponieważ nie chcieli polskiego państwa, które miałby reprezentować. Badania nad kolaboracją w Generalnym Gubernatorstwie wskazują właśnie, że polityczna współpraca z Polakami pozostawała ograniczona, ponieważ niemieckie cele zakładały likwidację elit i podporządkowanie społeczeństwa, a nie budowę partnerskiego reżimu polskiego.

KRZYSZTOF DROZDOWSKI „ZDRAJCY, TCHÓRZE I KOLABORANCI. PORTRETY UPADKU"
REPLIKA

Co nam mówi w tym kontekście przykład Goralenvolku?

Jest to wręcz podręcznikowy przykład niemieckiej polityki rozbijania narodu poprzez tworzenie sztucznych podziałów. Niemcy próbowali przekonać górali, że właściwie nie są oni Polakami, lecz odrębnym „narodem góralskim", posiadającym jakoby germańskie korzenie. Następny krok był oczywisty: jeżeli górale nie są Polakami, to można ich oderwać od polskości, stworzyć miejscową elitę zależną od Niemców, wykorzystać administracyjnie, propagandowo, a w dalszej perspektywie poddać germanizacji. Niemcy chcieli udowodnić, że naród polski można rozmontowywać kawałek po kawałku.

Ich projekt nie udał się przede wszystkim dlatego, że nie uzyskał masowego poparcia. Owszem, pojawiła się niewielka grupa ludzi gotowych współpracować z Niemcami, wśród nich Wacław Krzeptowski, ale nie reprezentowali oni Podhala jako całości. Próby wydawania specjalnych kenkart z literą „G" przyniosły słabe rezultaty, mimo nacisków i szantażu. Również próby militarnego wykorzystania górali zakończyły się kompromitacją.

Wspomniany przez pana Philippe Pétain bywa przedstawiany jako wzór realizmu politycznego – w obliczu niemożliwego wyboru poszedł na współpracę, by ratować z Francji, co tylko się da. Czy taka opowieść o Pétainie ma jakikolwiek sens?

Tu trzeba rozdzielić dwie sprawy. Mogę zrozumieć dramat francuskich polityków w czerwcu 1940 r. Państwo

eprasa.pl 5608f5901c

Uroczystość objęcia władzy przez Arthura Greisera, Poznań, listopad 1939 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

poniosło katastrofalną klęskę militarną, armia została rozbita, miliony ludzi znajdowały się na drogach, Niemcy zajmowali kolejne terytoria. Decyzję o zawieszeniu broni można analizować w kategoriach tragicznego wyboru politycznego. Ale czym innym jest podpisanie rozejmu, a czym innym to, co później zrobiło Vichy. Reżim Pétaina nie ograniczył się przecież do biernego administrowania fragmentem kraju w celu „ocalenia tego, co można". Zaczął prowadzić własną autorytarną rewolucję polityczną i wprowadzać własne ustawodawstwo antyżydowskie. Francuska administracja i policja uczestniczyły w internowaniu, zatrzymywaniu i deportowaniu Żydów. Co więcej, historycy wskazują, że kalkulacja polegająca na współpracy z Niemcami w zamian za zachowanie większej autonomii ostatecznie zawiodła. Dlatego nie przekonuje mnie argument: „Pétain poświęcił własną reputację, żeby ratować Francję". Taka narracja jest zbyt wygodna.

W książce zajmuje się pan też wyborami moralnymi, przed którymi stanęli w czasie okupacji polscy artyści. Czy to środowisko zdało wojenny „test" lojalności wobec narodu?

Jeżeli miałbym odpowiedzieć jednym zdaniem: jako środowisko w ogromnej większości tak, choć oczywiście nie wszyscy. I właśnie to „nie wszyscy" jest historycznie niezwykle interesujące.

Związek Artystów Scen Polskich po rozpoczęciu okupacji działał konspiracyjnie i wezwał aktorów do bojkotu jawnych teatrów funkcjonujących pod niemiecką kontrolą. Większość środowiska podporządkowała się temu stanowisku. Artyści pracowali w kawiarniach, jako kelnerzy czy szatniarze, występowali półlegalnie albo uczestniczyli w działalności konspiracyjnej. Tajna Rada Teatralna organizowała nawet podziemne nauczanie i przygotowywała projekty przyszłego teatru po odzyskaniu niepodległości.

Ale były również przypadki bardzo trudne albo wręcz jednoznaczne. Jednym z nich jest przypadek Igo Syma, który przekroczył wszelkie możliwe granice. Współpracował z niemieckim aparatem propagandowym i policyjnym, penetrował środowisko artystyczne, werbował aktorów do antypolskiego filmu propagandowego „Heimkehr". Polskie Państwo Podziemne wydało na niego wyrok śmierci, wykonany w marcu 1941 r. Z kolei przypadek Adolfa Dymszy jest już znacznie bardziej skomplikowany. Występował w jawnych teatrach i złamał bojkot, za co został po wojnie ukarany, ale jednocześnie przemycał ze sceny antyniemieckie aluzje.

Z jakimi dylematami musieli się wtedy mierzyć polscy artyści?

Przede wszystkim z bardzo przyziemnym dylematem: jak przeżyć. Aktor nie posiadał gospodarstwa, które mogło go wyżywić. Jego kapitałem był zawód, a teatr przedwojenny właściwie przestał istnieć. Jednocześnie działalność artystyczna odbywająca się oficjalnie musiała pozostawać pod kontrolą okupanta. I teraz proszę sobie wyobrazić wybór: mam rodzinę, nie mam pieniędzy, nie mogę wykonywać zawodu zgodnie z przedwojennymi zasadami. Mogę pracować jako kelner, śpiewać w kawiarni, działać w konspiracji albo przyjąć propozycję występu w teatrze jawnym.

Legitymacja volksdeutscha

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AUSLODZ

Tyle że występ w takim teatrze nigdy nie był całkowicie neutralny. Niemcom zależało na stworzeniu pozorów normalności. Chcieli, żeby Polak poszedł wieczorem na lekką komedię, roześmiał się, wrócił do domu i zaakceptował fakt, że życie pod okupacją może toczyć się dalej. Nawet jeżeli ze sceny nie padało ani jedno zdanie propagandowe, to sam teatr mógł pełnić funkcję polityczną. Dlatego ZASP tak zdecydowanie nawoływał do bojkotu jawnych scen.

Musimy pamiętać o indywidualnym wymiarze tych decyzji. Bardzo łatwo po 80 latach wymagać od każdego bohaterstwa. Znacznie trudniej odpowiedzieć sobie na pytanie, jak zachowalibyśmy się sami, gdyby od naszej decyzji zależało, czy następnego dnia nasze dzieci będą miały co jeść.

Przemawia do pana wizja Władysława Studnickiego, który chciał związać Polskę z III Rzeszą?

Przemawia do mnie jako interesująca koncepcja geopolityczna, którą warto analizować, ale nie jako recepta, którą Polska powinna była zastosować. Studnicki trafnie dostrzegał ogromne niebezpieczeństwo ze strony Związku Sowieckiego. Należał również do ludzi, którzy bardzo wcześnie przewidywali, że Polska może znaleźć się pomiędzy dwoma potężnymi przeciwnikami i że wojna może zakończyć się katastrofą. Problem polega na tym, że z jego trafnej diagnozy zagrożenia sowieckiego nie musi wynikać, iż proponowane przez niego „lekarstwo" wyszłoby nam na dobre.

Studnicki wierzył, że Polska może zbudować trwały układ z Niemcami i razem z nimi stworzyć blok skierowany przeciw Związkowi Sowieckiemu. Moim zdaniem przeceniał możliwość racjonalnego, klasycznego prowadzenia polityki z państwem Hitlera. Niemcy hitlerowskie nie były po prostu kolejnym mocarstwem prowadzącym tradycyjną Realpolitik.

eprasa.pl 5608f5901c

Wacław Krzeptowski wita Hansa Franka, listopad 1939 r. FOT. NAC

Ideologia rasowa, koncepcja Lebensraumu i podporządkowania Europy Środkowo-Wschodniej stawiały pod ogromnym znakiem zapytania możliwość długotrwałego partnerstwa Niemiec i Polski. Studnicki był więc przenikliwy w ocenie jednego zagrożenia, a jednocześnie – moim zdaniem – zbyt optymistyczny w ocenie drugiego.

Nazwałby go pan zdrajcą?

Nie, nie nazwałbym Studnickiego zdrajcą. To określenie jest w jego przypadku zbyt proste i historycznie niesprawiedliwe. Nazwałbym go może tragicznym germanofilem, który stał się więźniem własnej koncepcji geopolitycznej. Po klęsce wrześniowej rzeczywiście nadal próbował przekonać Niemców do utworzenia polskiego państwa i armii, która wspólnie z Rzeszą wystąpiłaby przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Takie pomysły w okupowanej Polsce musiały wywoływać ogromne kontrowersje. Ale jest i druga strona tej historii, o której często zapominamy.

W styczniu 1940 r. Studnicki przygotował memoriał dotyczący niemieckiej polityki okupacyjnej, który w praktyce był aktem oskarżenia wobec państwa niemieckiego. Pojechał z nim do Berlina i został przez gestapo aresztowany. Później wykorzystywał swoje kontakty z Niemcami do interwencji w sprawach polskich więźniów. W 1941 r. został ponownie aresztowany i ponad rok spędził na Pawiaku. To nie jest życiorys klasycznego kolaboranta pokroju Vidkuna Quislinga.

Największy paradoks Studnickiego polega na czymś innym. Człowiek, który przez lata przekonywał, że porozumienie polsko-niemieckie jest możliwe, sam został uwięziony przez Niemców za krytykowanie sposobu, w jaki traktowali Polaków. Trudno o bardziej symboliczne podsumowanie klęski jego koncepcji.

Władysław Studnicki FOT. NAC

Czy przy takim nastawieniu Niemców do Polaków można było w ogóle liczyć na partnerskie traktowanie Warszawy? Mówiąc wprost: czy przedwojenne pomysły zawarcia porozumienia z Niemcami nie były właśnie przejawem kompletnego braku realizmu?

Tu byłbym ostrożny, żeby nie wpaść w pułapkę oceniania całej polityki międzywojennej przez pryzmat tego, co wydarzyło się później. Uważam, że czym innym była normalizacja stosunków z Niemcami, a czym innym strategiczny sojusz z Hitlerem.

Polska leżała pomiędzy Niemcami a Związkiem Sowieckim. Musiała rozmawiać z obydwoma sąsiadami. Próba zmniejszenia napięć z Berlinem, czego efektem była deklaracja o niestosowaniu przemocy z 1934 r., sama w sobie nie była błędem. Sztuka dyplomacji polega przecież także na kupowaniu czasu i niedopuszczaniu do jednoczesnego konfliktu z dwoma potężnymi sąsiadami.

Znacznie bardziej problematyczna jest teza, że Polska mogła w drugiej połowie lat 30. wejść w trwały sojusz z Hitlerem i zostać równorzędnym partnerem Rzeszy.

Właśnie o to pytam.

Nie wierzę w taki scenariusz, co też przedstawiłem w książce pt. „Tajemnice sojuszników Hitlera". Wódz III Rzeszy mógł chwilowo potrzebować Polski. Mógł potrzebować jej jako bariery przeciw Związkowi Sowieckiemu, jako zaplecza gospodarczego czy jako uczestnika przyszłej wojny na Wschodzie. Ale to nie oznacza, że zamierzał zaakceptować silne i rzeczywiście niezależne państwo polskie w długiej perspektywie. I tutaj dostrzegam zasadniczą słabość koncepcji Studnickiego.

Sojusznik potrzebny na jednym etapie wojny nie musi pozostać partnerem po zwycięstwie. Być może Polska, przyjmując część niemieckich żądań, mogłaby przesunąć moment rozpoczęcia konfliktu z Berlinem. Być może uniknęłaby wojny we wrześniu 1939 r. Tego rodzaju warianty kontrfaktyczne można analizować. Ale później pojawia się pytanie znacznie trudniejsze: Co stałoby się z Polską, gdyby Hitler wygrał wojnę ze Związkiem Sowieckim? I właśnie na to pytanie zwolennicy prostego hasła: „Trzeba było iść z Hitlerem" bardzo często nie udzielają przekonującej odpowiedzi. Nazistowski projekt przebudowy Europy Wschodniej nie daje mi podstaw, by sądzić, że w takim świecie Polska pozostałaby suwerennym, równorzędnym sojusznikiem III Rzeszy. Dlatego rozumiejąc logikę Studnickiego, nie podzielam jego wiary w możliwość trwałego partnerstwa z Berlinem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Drozdowski
jest historykiem, znawcą drugiej wojny światowej. Na polskim rynku wydawniczym ukazało się wiele jego książek o tej tematyce, w tym najnowsza – „Zdrajcy, tchórze i kolaboranci. Portrety upadku".

eprasa.pl 5608f5901c

El Greco, „Ekstaza św. Franciszka"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM LÁZARO GALDIANO, GOOGLE ART PROJECT

XIII w. / 800. rocznica śmierci św. Franciszka

Zakochany w Pani Biedzie

Tomasz Stańczyk

Nie chciał być kupcem jak ojciec, marzył o karierze rycerskiej i był zafascynowany trubadurami. Giovanni Bernardone, znany jako św. Franciszek z Asyżu, dokonał w Kościele istnej rewolucji

Miała to być dla Franciszka, syna kupca z Asyżu, niedziela jak każda inna. Jednak 28 lutego 1208 r. w Porcjunkuli, podczas Mszy Świętej, uderzyły go słowa Ewangelii według św. Mateusza o rozesłaniu przez Chrystusa apostołów, by nieśli w świat jego naukę. Franciszek wziął te słowa do siebie. Był to początek rewolucji w Kościele katolickim – w ten sposób powstał zakon zupełnie inny niż dotąd istniejące. Od imienia swojego założyciela znany jest on jako zakon franciszkański. Tamten dzień był zwieńczeniem kilku wydarzeń w życiu Franciszka, które sprawiły, że stał się on bodaj najbardziej znanym świętym w historii Kościoła katolickiego.

Tak właściwie powinien być znany jako św. Jan z Asyżu, gdyż został ochrzczony w roku 1181 lub 1182 jako Giovanni, czyli Jan Bernardone. Nie jest jasne, w jaki sposób stał się Franciszkiem. Czy imię zmienił mu ojciec, a może – co uznał za najbardziej prawdopodobne francuski historyk Jacques Le Goff, autor książki „Święty Franciszek z Asyżu" – stało się tak z powodu upodobania młodego Giovanniego do języka francuskiego i fascynacji poezją francuskich trubadurów. Giovanni marzył, by być poetą, rycerzem, a nie kupcem. Niemniej musiał pomagać ojcu w prowadzeniu interesów. Jednocześnie „aż do lat dwudziestu trawił czas na lekkomyślnym życiu" – podaje „Złota legenda" Jakuba de Voragine. Historyk Tadeusz Manteuffel precyzował: „Był Franciszek typem złotego młodzieńca, spędzającego beztrosko czas na hulankach i zabawie w gronie podobnych sobie towarzyszy w charakterze ich przywódcy (T. Manteuffel, „Narodziny herezji").

Głos z krucyfiksu

Nic więc nie zapowiadało radykalnej zmiany w jego życiu. W 1202 r. Franciszek wziął udział w wojnie z Perugią, dostał się do niewoli i spędził w niej rok. „Złota legenda" opowiada, że gdy towarzysze jego niedoli się smucili, on był wesoły. „Gdy go współwięźniowie za to ganili, rzekł do nich: Widzicie, że dlatego raduję się, iż stanę się świętym

eprasa.pl 5608f5901c

i cały świat modlić się będzie do mnie!". Dziwny miał pomysł autor tej hagiografii, przestawiając Franciszka jako człowieka pysznego, a przeczy temu całe jego życie.

Poważna niemoc Franciszka wpłynęła niewątpliwie na jego dalsze decyzje życiowe: „Wtedy Pan dosięgnął go biczem choroby i w jednej chwili przemienił go w innego człowieka". Ale nie była to jedna chwila, jak twierdził de Voragine. Franciszek nadal widział się jako rycerz. „Lubował się we wszelkich ćwiczeniach rycerskich – pisał Gilbert Keith Chesterton – i był oczywiście doskonałym jeźdźcem i wojakiem, doświadczonym w turnieju i w obozie. Niewątpliwie w każdym czasie byłby wolał jakiś chrześcijański rodzaj rycerstwa, ale oczywiście pragnął także sławy, choć dla niego zawsze sława znaczyła to samo, co honor" (G.K. Chesterton, „Święty Franciszek z Asyżu").

Po wyzdrowieniu Franciszek wybrał się do Apulii, by wstąpić tam do armii papieskiej, ale dotarł jedynie do Spoleto, gdzie zachorował. I właśnie tam, w kościele, usłyszał głos pytający go, czy pójdzie za Panem czy za sługą. Wrócił do Asyżu w 1205 r., a gdy modlił się w niedalekim, zaniedbanym Kościele San Damiano, usłyszał głos Chrystusa mówiącego do niego z krucyfiksu: „Franciszku, napraw mój dom, który, jak widzisz, jest cały w ruinie". Franciszek wziął te słowa dosłownie, nie rozumiejąc, że ten dom to Kościół katolicki.

Według jednej z wersji Franciszek zabrał tkaniny ze sklepu ojca – czyli po prostu ukradł je, jak pisał Chesterton – by sprzedać ten towar, a pieniądze oddać następne księdzu z Kościoła San Damiano. Według innej wersji kupił te tkaniny, a jeszcze inna mówiła, że „sprzedał wszystko, co posiadał" („Złota legenda"). Tak czy inaczej ksiądz nie chciał wziąć darowizny, gdyż bał się gniewu ojca Franciszka. I faktycznie doszło u niego do wybuchu gniewu, ale skupił się on na Franciszku; ojciec kazał go aresztować, niekoniecznie za zabór mienia (jeśli faktycznie do niego doszło), być może chodziło o otrzeźwienie lekkomyślnie postępującego syna.

Sprawa trafiła przed sąd biskupa Asyżu, ten zaś nakazał Franciszkowi, by zwrócił ojcu pieniądze, na co oskarżony zareagował oświadczeniem, że nie tylko to zrobi, lecz także odda wszystko, co

Giotto, „Cud krucyfiksu"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BAZYLIKA ŚW. FRANCISZKA W ASYŻU

może być uważane za własność ojca, łącznie z ubraniem, po czym je zrzucił. Stwierdził, że odtąd ma tylko jednego ojca – w niebie. Jego życie zmieniło się na zawsze. Wyzbywszy się dóbr materialnych, stał się biedaczyną z Asyżu. Skoro brakowało pieniędzy na odbudowę Kościoła San Damiano, sam wziął się do jego naprawy.

Gdy zetknął się z trędowatymi w leprozorium w Gubbio, ich widok – jak przyznawał – wydawał mu się przykry, jednak usługiwał im. Później stwierdził: „Gdy odchodziłem od nich, to, co wydawało mi się gorzkie, zamieniło się w słodycz duszy i ciała". I od tego przeżycia rozpoczął swój testament: „Mnie, bratu Franciszkowi, pan dał tak rozpocząć drogę pokuty […] i potem nie czekając długo, porzuciłem świat" („Pisma św. Franciszka z Asyżu"). Chodziło tu o porzucenie dóbr tego świata, skazanie się na dobrowolne ubóstwo, a nie o izolację w pustelni lub w zakonie kontemplacyjnym.

Przeciwnie – Franciszek wyszedł do

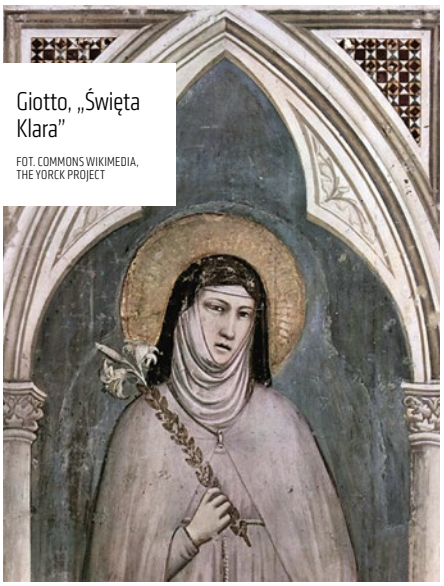

Giotto, „Święta Klara"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE YORCK PROJECT

świata z misją ewangelizowania. Zrozumiał ją podczas tamtej Mszy św. w Porcjunkuli, gdy usłyszał słowa Chrystusa, który również apostołom nakazywał: „Nie miejcie złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach swoich. Ani torby podróżnej, ani dwu sukien, ani sandałów, ani laski" (Mt 10, 9–10). Franciszek ściśle się do tego zastosował. „Został więc wędrownym kaznodzieją – pisał Manteuffel – który boso, okryty łachmanami przemierzał drogi Umbrii. W czasie tych wędrówek nawoływał rodaków do czynienia pokuty i uprawiania dobrowolnego ubóstwa".

Nie był bynajmniej prekursorem tzw. pauperyzmu. Przed nim na tę drogę wszedł m.in. Waldo z Lyonu, bogaty kupiec, który pod wpływem legendy o św. Aleksym sprzedał w 1170 r. swój majątek – zabezpieczywszy przedtem materialnie żonę i dzieci – rozdał pieniądze ubogim, zgromadził wokół siebie ludzi idących w jego ślady i zaczął działalność kaznodziejską. Ta jednak w oczach Kościoła była zarezerwowana dla duchownych i o ile papież Aleksander III nie miał nic przeciw praktykowaniu dobrowolnego ubóstwa, o tyle jednak zakazał waldensom („Ubogim z Lyonu") działalności kaznodziejskiej. A ponieważ nie podporządkowali się oni woli papieża, ściągnęli na siebie klątwę. Franciszek uniknął tego losu, gdyż zawsze deklarował posłuszeństwo wobec hierarchii kościelnej.

Poverella z Asyżu

Przyszły święty zebrał wokół siebie naśladowców i z 12 uczniami (tylu było apostołów) udał się w 1210 r. do Rzymu, by uzyskać akceptację Innocentego III dla swojej działalności. Według jednej z wersji papież zgodził się na przyjęcie poverella (biedaczyny) z Asyżu tylko dzięki wstawiennictwu kard. Jana Colonny i biskupa Asyżu. Nadal miał jednak wątpliwości, czy zaakceptować poczynania Franciszka. Rozwiał je sen, w którym zobaczył bazylikę na Lateranie (siedzibę papieża) niebezpiecznie przechyloną i człowieka, który podparł jej mury, ratując świątynię przed zawaleniem. Innocenty uznał, że tym człowiekiem jest właśnie Franciszek.

Raczej należy dać wiarę Danielowi-Ropsowi, który przestawiał sprawę

eprasa.pl 5608f5901c

zupełnie inaczej. Według niego Innocenty III – nawiasem mówiąc, wybitny papież – od dawna marzył o nowej formie kaznodziejstwa, bliższej ludowi. Papież „miał oko do ludzi", więc w lot zrozumiał, że Franciszek jest tym człowiekiem, który zrealizuje jego marzenie. Miał wykrzyknąć: „Zaprawdę, ten pobożny i święty człowiek przywróci Kościołowi Bożemu jego podstawy", po czym ucałował przybysza z Asyżu (Daniel-Rops, „Kościół w czasie katedr i krucjat").

Aby jednak uniknąć precedensu, którym byłaby zgoda na prowadzenie działalności kaznodziejskiej przez osobę świecką, papież wyświęcił Franciszka na diakona, zastrzegając przy tym, by ograniczył się do zagadnień moralnych i nie dotykał spraw doktrynalnych. Franciszek zamierzał tworzące się zgromadzenie zakonne nazwać Ubogimi z Asyżu, jednak – jak pisał Manteuffel – władze kościelne nie zgodziły się na to, mając w pamięci kłopoty z Ubogimi z Lyonu. Zakon wziął więc swoją nazwę od słów „Niech będą najniżsi" z przedstawionej przez Franciszka reguły. Tak powstali Bracia Mniejsi (Ordo Fratrum Minorum – OFM), powszechnie znani jako franciszkanie.

Pierwotna reguła stwierdzała, że życie braci „polega na tym, aby żyć w posłuszeństwie, w czystości i bez własności", naśladując słowa Chrystusa: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj wszystko, co masz, i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie; przyjdź i chodź ze mną" (Mt 19, 21–22). Reguła stanowiła, że bracia mają mieć jedną tunikę z kapturem – i jeśli zachodzi taka potrzeba, to drugą bez kaptura – łataną lichym płótnem, sznur do przepasania się i spodnie.

Współbracia Franciszka mieli się utrzymywać z pracy i usług; ich wynagrodzeniem miało być wszystko, co było im potrzebne, z wyjątkiem pieniędzy. I tylko w razie konieczności mogli prosić o jałmużnę.

Początkowo Franciszek wyobrażał sobie, że on i jego współbracia będą wędrownymi kaznodziejami, bez stałej siedziby (choć faktem jest, że spotykali się regularnie w kaplicy w Porcjunkuli). Jednak realia i potrzeby Kościoła sprawiły, że stało się inaczej. W czasach Franciszka dokonywał się wielki rozwój miast i to tam trzeba było ewangelizować ludność. Na tym właśnie polegała rewolucja Franciszka, który stworzył zakon zajmujący się kaznodziejstwem (zresztą tak samo jak założeni niewiele później dominikanie – Ordo Praedicatorum, Zakon Kaznodziejski). Dotychczas istniejące zakony lokowały się na terenach odludnych, nie zajmując się ewangelizacją. Franciszkanie natomiast wkroczyli do miast, powstały klasztory, co zresztą spotkało się z pewną niechęcią ze strony założyciela tego zakonu. Gdy Bolończycy ufundowali okazały dom dla współpracowników Franciszka, był on zgorszony, ponieważ uważał, że zaprzecza to idei radykalnego ubóstwa.

Cimbaue, „Święty Franciszek"

FOT. COMMONS WIKIEDIA, BAZYLIKA W ASYŻU

Le Goff podkreślał, że „zasadniczą funkcją franciszkanów (podobnie jak dominikanów) jest kazanie, które opuszcza kościół, przenosi się na zewnątrz, trafia na place, drogi, do mieszkań – wszędzie, gdzie są ludzie. Kazanie stwarza sobie własną przestrzeń, przemieniając przestrzeń publiczną w przestrzeń słowa zbawienia". I na tym też polegała rewolucja Franciszka. Przy czym myślał on nie tylko o ewangelizowaniu Półwyspu Apenińskiego; wysyłał misje do Francji, Niemiec i Hiszpanii. A sam w 1218 r. wybrał się do Egiptu podczas walk krzyżowców z Saracenami i spotkał się z sułtanem al-Kamilem w nadziei, że go nawróci. Sułtan przyjął go uprzejmie, jednak nie porzucił wiary w Allaha.

Ucieczka Klary

Jedną z zafascynowanych Franciszkiem kobiet była jego 17-letnia kuzynka, Klara (wł. Chiara Offreduccio), pochodząca ze szlacheckiej rodziny z Asyżu. Czując powołanie, uciekła z domu wraz z przyjaciółką; pomógł im w tym Franciszek, zapewniając im habity i ukrywając je w klasztorze. „Otóż co do tego incydentu – pisał Chesterton – chcę powiedzieć, że gdyby to było rzeczywiście porwanie romantyczne i gdyby dziewczyna poszła za mąż, zamiast do klasztoru, z pewnością cały świat nowoczesny byłby z niej zrobił bohaterkę […]. Poza tym możemy co najmniej przypuszczać, że żaden zwolennik tego, co nazywany emancypacją kobiet, nie będzie żałował buntu Świętej Klary. Zrobiła dokładnie to, co się we współczesnym żargonie nazywa »żyć własnym życiem«, takim, jakie sama chciała wieść – w odróżnieniu od życia, do jakiego byłyby ją zmusiły nakazy rodziców i konwenanse". Franciszek ułożył dla Klary i kobiet, które się do niej przyłączyły, wytyczne wspólnego życia, dając w ten sposób początek zakonowi klarysek.

W „Kwiatkach św. Franciszka z Asyżu" znajdziemy opowieść o tym, jak święty zakonnik nie był pewny, czy ma się oddawać modlitwie czy też jednak od czasu do czasu powinien głosić kazania. Przez pokorę nie chciał jednak sam zwrócić się do Boga w tej sprawie. Wysłał więc jednego z braci do Klary, aby to ona, modląc się, uzyskała odpowiedź. A brzmiała ona następująco: Bóg powołał Franciszka „nie tylko gwoli niemu, lecz aby hodował owoce dusz i by wielu przezeń było zbawionych".

Podczas nieobecności Franciszka spowodowanej wyprawą do Egiptu wśród jego współpracowników doszło do konfliktu. Ujawnili się ci, którzy uważali jego regułę życia zakonnego za zbyt surową, i zaczęli się spierać z tymi, którzy chcieli się ściśle trzymać zasad ustanowionych przez Franciszka. Tych pierwszych poparł Hugolin z Segni, kardynał protektor zgromadzenia. „Znajdował poparcie wśród przeciwników nadmiernego rygoryzmu w zgromadzeniu – stwierdzał Manteuffel – którzy dowodzili, że bracia po dobrowolnym wyzbyciu się własności pasożytują na bliźnich, pozbawiając chleba prawdziwie ubogich".

Kardynał dobrze rozumiał znacznie poważniejsze niebezpieczeństwo: „Radykałowie chcieli, by franciszkanizm zdominował chrześcijaństwo, tak jak ono zaćmiło Izrael" – wyjaśniał Chesterton.

eprasa.pl 5608f5901c

Giotto, „Kazanie do ptaków"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Hierarchia kościelna obawiała się poza tym, że wyznawcy dobrowolnego i skrajnego ubóstwa będą postrzegani jako lepsi chrześcijanie, bliżsi Chrystusowi. A to mogło zagrozić ładowi społecznemu.

Franciszek był przeciwny złagodzeniu surowej reguły zakładającej radykalne ubóstwo, ale w imię posłuszeństwa podporządkował się hierarchii kościelnej. W 1223 r. papież zatwierdził złagodzoną regułę. Przewidywała ona także badanie prawowierności kandydatów i – jak zauważał Manteuffel – stwarzała możliwość odizolowana zbyt radykalnych członków zgromadzenia od wpływu na społeczeństwo. W tym samym roku miało miejsce jeszcze jedno ważne wydarzenie: z inspiracji Franciszka powstał bożonarodzeniowy żłóbek, mający nie tylko upamiętnić przyjście na świat Zbawiciela, lecz także pokazać ubóstwo, wśród którego się pojawił.

Stygmaty na górze

W 1213 r. Franciszek wraz z jednym z braci przybył do zamku San Leo, w którym odbywała się uroczystość na część nowo pasowanego rycerza, mając nadzieję, że – jak napisano w „Kwiatkach św. Franciszka z Asyżu" – „z pomocą Boga zbierzemy może piękne owoce duchowe". Spotkał tam szlachcica Orlanda z Chiusi, który powiedział Franciszkowi, że ofiarowuje mu dla zbawienia swojej duszy górę La Verna (Alwerno), sposobną dla tych, którzy w samotności chcą czynić pokutę. To właśnie na tej górze Franciszek dostał ponad 10 lat później, w 1224 r., dar stygmatów. „Czy wiesz – powiedział Chrystus do Franciszka – co uczyniłem? Dałem ci stygmaty, które są znakiem mojej męki, abyś chorążym był moim". Na nogach i rękach Franciszka pojawiły się znaki pozostawione przez gwoździe, którymi Chrystus był przybity do krzyża.

Jak czytamy w „Kwiatkach...": „Podobnie na prawym boku ukazał się od dzidy znak niezagojonej rany, czerwonej i krwawej. Rana ta często potem broczyła krwią ze świętej piersi Franciszka i krwawiła mu płaszcz i spodnie". Był on pierwszym stygmatykiem, a poprzez te cudowne rany upodobnił się do Chrystusa. Podobny był do swojego Pana i do apostołów również w kwestii czynienia cudów, o których wiele piszą jego hagiografie. „Złota legenda" powiada, że Franciszek uzdrowił trędowatego, chorego także na duszy, gdyż był opętany przez złego ducha, przemieniał wodę w wino, a nawet wskrzeszał zmarłych.

Święty Franciszek jest uznawany za patrona zwierząt i całej przyrody ożywionej. Choć to franciszkanie są Braćmi Mniejszymi, to określeniem tym nierzadko nazywa się również zwierzęta. Franciszek mówił o nich jako o swoich braciach i siostrach. Uważał zwierzęta za stworzenia Boże, którym z tego powodu należy się szacunek. „Złota legenda" podaje, że jakkolwiek wszystkie zwierzęta były miłe Franciszkowi, to jednak gdy świergot jaskółek zagłuszał jego kazanie, odezwał się do nich: „Siostry moje, jaskółki, teraz jest czas, abym ja mówił. Dość już gadałyście, teraz zachowajcie ciszę, dopóki ja nie wygłoszę słowa Bożego. Na te słowa jaskółki natychmiast posłusznie się uciszyły".

W „Kwiatkach..." znajdziemy też opowieść o wilku z okolic Gubbio, pożerającym nie tylko zwierzęta, lecz także ludzi. Franciszek, litując się nad mieszkańcami miasteczka, rozkazał wilkowi w imię Chrystusa, by nie czynił nic złego ani jemu, ani innym ludziom. Wilk położył się u stóp zakonnika, który powiedział mu, że tak właściwie zasłużył na stryczek, ale mimo to zawrze pokój między nim a ludźmi, obiecując wilkowi, że będą go żywili. „Wilk ukląkł i łagodnymi ruchy ciała, ogona i uszu okazywał, jak mógł, że będzie przestrzegał układu". Franciszek zażądał przyrzeczenia, że wilk go nie okpi, na co zwierzę podniosło prawą łapę i położyło ją na dłoni Franciszka. A potem wilk żył, wprawdzie niezbyt długo, bo tylko dwa lata, ale szczęśliwie, żywiony przez mieszkańców Gubbio, „chodząc poufale po domach od drzwi do drzwi, nigdy żaden pies za nim nie szczeknął".

Ostatnie lata życia Franciszek spędził w odosobnieniu, nie biorąc już udziału w życiu założonego przez siebie zgromadzenia zakonnego, zresztą w tym czasie coraz bardziej chorował. Zmarł dokładnie osiem wieków temu, 3 października 1226 r., w Porcjunkuli; jego grób znajduje się w bazylice w Asyżu. Po śmierci Franciszka musiały rozlegać się głosy „Santo subito", skoro już dwa lata później papież Grzegorz IX (Hugolin z Segni) kanonizował go. Natomiast w 1255 r. na ołtarze została wyniesiona Klara z Asyżu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bazylika św. Franciszka w Asyżu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CZARNY KOT

eprasa.pl 5608f5901c

Partyzanci organizacji Ochrana

FOT. DOMENA PUBLICZNA/WIKIPEDIA

Druga wojna światowa / Niemcy i Włosi na Bałkanach

Macedońska beczka prochu

Arkadiusz Karbowiak

Państwa Osi starały się wykorzystać Macedończyków do realizacji swoich własnych interesów. W tej brutalnej grze nie było miejsca na żadne sentymenty

Wiosną 1941 r. Grecja poniosła klęskę w wojnie z państwami Osi. Skutkiem przegranej był podział państwa na trzy strefy okupacyjne. W ten sposób wschodnia część greckiej Macedonii Egejskiej została przydzielona Bułgarom, środkowa Niemcom, a zachodnia Królestwu Włoch. W leżących na zachodzie regionach Kastoria i Florina zamieszkiwała dość liczna, 80-tysięczna społeczność macedońska. Jej funkcjonowanie w państwie greckim, szczególnie w okresie rządów dyktatorskich Joanisa Metaksasa, było naznaczone konfliktem z władzami w Atenach, odnoszącymi się nieufnie do słowiańskiej mniejszości i poddającymi ją różnorakim represjom. Ten proces zaostrzył się po wybuchu wojny włosko-greckiej. Pojawienie się w kwietniu 1941 r. w zachodniej Macedonii włoskich okupantów i oparcie się przez nich na greckiej administracji kolaboracyjnego rządu kierowanego przez gen. Jeorjosa Tsolakoglu, nie złagodziły napięcia. Włosi, uważający Macedonię Egejską za integralną część Grecji, rywalizujący z Bułgarami (Sofia wysuwała roszczenia wobec całego obszaru greckiej Macedonii) o wpływy na okupowanych terenach Hellady, nie widzieli powodu, by wspierać autonomiczne macedońskie (zasadniczo probułgarskie) środowiska.

Ten punkt widzenia zaczął jednak z biegiem czasu ulegać zmianie. Wraz z wystąpieniem pod koniec 1941 r. klęski głodu, w zachodniej Macedonii pojawili się bułgarscy wysłannicy rozdzielający żywność i lansujący probułgarską propagandę. Pod koniec 1942 r. w zachodniej Macedonii zaczęły być widoczne oddziały partyzanckie ELAS (zbrojne ramię EAM – Frontu Wyzwolenia Narodowego), których liczebność systematycznie rosła. Ich aktywność stanowiła dla Włochów coraz większy problem. Oprócz skrajnej lewicy rozwijały się intensywnie struktury greckich ugrupowań nacjonalistycznych. Infiltrowały one administrację grecką, a przede wszystkim żandarmerię, której wielkość m.in. z tego właśnie powodu włoscy okupanci zaczęli ograniczać. W podziemiu niekomunistycznym główną rolę odgrywała powstała 10 lipca 1941 r. w Salonikach struktura YBE, czyli Obrońcy Północnej Grecji (w 1942 r. przekształcona w PAO – Panhelleńską Organizację Wyzwolenia).

PAO – abstrahując od uczestnictwa w toczącej się wojnie przeciwko ELAS – za główny cel postawiła sobie przeciwdziałanie bułgaryzacji Macedonii.

eprasa.pl 5608f5901c

Rozwój greckiego ruchu oporu różnorodnej proweniencji uświadomił włoskim władzom, że samodzielnie trudno im będzie zapanować nad pogarszającą się sytuacją w kwestii bezpieczeństwa. Dlatego wydaje się, że decyzja o posłużeniu się w konfrontacji z ELAS i PAO macedońskimi sojusznikami była jak najbardziej racjonalna. Wątpliwości nie mieli też Macedończycy, których wioski były coraz bardziej intensywnie atakowane przez siły greckiego ruchu oporu (głównie przez ELAS).

5 marca 1943 r. powstał w Kastorii Bułgarsko-Macedoński Komitet Rewolucyjny. Jego przewodniczącym został Pando Makrije (półtora roku później zginął w Bitoli w Macedonii Wardarskiej z rąk komunistycznej partyzantki jugosłowiańskiej). Równolegle z działalnością komitetu rozpoczął się proces formowania macedońskich oddziałów antypartyzanckich. Znaczącą rolę w ich powstaniu odegrał por. Anton Kałczew, oficer armii bułgarskiej pochodzący z zachodniej Macedonii. Kałczew prowadził rozmowy w sprawie uzbrojenia Macedończyków z płk. Aldo Venerim, włoskim komendantem wojskowym miasta i dowódcą 13. Pułku Piechoty, wywodzącego się ze stacjonującej na tam obszarze 24. Dywizji Piechoty „Pinerolo". Bezpośrednim, codziennym partnerem Kałczewa w kwestii współpracy w rozwoju macedońskich kontraczet (formacji zwalczających partyzantkę) był oficer wywiadowczy dywizji Pinerolo, por. Giovanni Ravalli.

Przeciw ELAS

Kałczew początkowo służył w Edessie, ale latem 1942 r. przeniesiono go do Floriny, gdzie pełnił funkcję oficera łącznikowego niemieckiego komendanta miasta. Jego postępowanie na terenie włoskiej okupacji musiało być szczególnie „taktowne", bowiem Włosi z niepokojem obserwowali wzrastającą aktywność bułgarskich oficerów łącznikowych i wzbierającą falę inicjowanej przez nich probułgarskiej propagandy. Ponadto brak własnych sił i chęć uniknięcia strat skłoniła ich do udzielenia Macedończykom faktycznego carte blanche w kwestii zwalczania na prowincji partyzantki ELAS. Powstałe antypartyzanckie oddziały macedońskie nazywano Ochraną. Ich członkowie, tzw. komitadżi, nosili zazwyczaj ubrania cywilne z opaskami z napisem „kominti". Tylko w samej Kastorii i Argos Orestiko kontraczety zostały wyposażone w mundury włoskie z napisem „IBK-SIS", oznaczającym „Italo-Bulgarski Komitet – Swoboda Ili Smart". W sumie udało się uzbroić 1,6 tys. Macedończyków służących zarówno w mobilnych (liczących po ok. 50 ludzi), jak i stacjonarnych (20–30 członków) kontraczetach.

Anton Kałczew
FOT. WIKIPEDIA

Chłopi ochotnicy byli w większości weteranami wojny grecko-włoskiej. Niektórzy należeli do WMRO (Wewnętrznej Macedońskiej Organizacji Rewolucyjnej) utworzonej w 1893 r. w Salonikach. Organizacja prowadziła walkę z Imperium Osmańskim, wywołując w 1903 r. powstanie antytureckie. Jednym z zasadniczych dążeń WMRO było przyłączenie Macedonii do Bułgarii. Z tego powodu wielu jej członków służyło w macedońskim korpusie ochotniczym armii bułgarskiej podczas wojen bałkańskich i w trakcie pierwszej wojny światowej. Po jej zakończeniu WMRO prowadziła działalność partyzancko-terrorystyczną zarówno w Macedonii Wardarskiej, jak i w Macedonii Egejskiej.

Pod koniec lat 20. na czele WMRO stanął Iwan Michajłow. Antyserbska wspólnota interesów skłoniła go do współpracy z ustaszami. Przykładem wspólnych działań był udział członka WMRO Weliczko Kerina w przygotowanym przez ustaszy i przeprowadzonym w Marsylii 9 października 1934 r. udanym zamachu na króla Jugosławii Aleksandra I. Dokonany pięć miesięcy wcześniej zamach stanu w Bułgarii i przejęcie władzy przez premiera Kimona Georgiewa, doprowadził do ucieczki Michajłowa do Turcji i wydania na niego zaocznie wyroku śmierci.

Nowe władze, dążąc do poprawy stosunków z Jugosławią, przerwały całkowicie wsparcie dla WMRO. Michajłow wyjechał do Turcji, skąd pod presją rządu w Belgradzie w 1938 r. przeniósł się do Polski. Mieszkał nad Wisłą aż do 1940 r., kiedy przedostał się na Węgry. Ostatecznie lider WMRO po powstaniu w 1941 r. Niepodległego Państwa Chorwackiego osiadł się w Zagrzebiu i mieszkał tam przez prawie cały okres wojny. Nawiasem mówiąc, od lat pozostawał w przyjacielskich relacjach z Ante Pavelićem, przywódcą ruchu ustaszy. Zarówno Michajłow, jak i wszyscy członkowie WMRO zostali 26 maja 1941 r. amnestiowani w Bułgarii. Mógł tam zatem legalnie wrócić, ale nie podjął takiej decyzji, ponieważ nie akceptował podziału Macedonii. Brak stosownej reakcji w tej sprawie oraz błędna – jego zdaniem – polityka prowadzona przez władze w Sofii na nowo przejętych obszarach Macedonii (szczególnie w części wardarskiej), sprawiły, że Michajłow był krytykiem rządu Bogdana Fiłowa. Chociaż faktem jest to, że okupacja ziem macedońskich skłoniła kierownictwo WMRO do wysłania carowi Borysowi III gratulacji w związku z działaniami na rzecz stworzenia Wielkiej Bułgarii.

Michajłow starał się nawiązać kontakt z Benito Mussolinim w celu obrony rodaków przed represjami ze strony komunistycznego i nacjonalistycznego greckiego podziemia, jednak podjęte przez niego próby nie przyniosły efektu. Tymczasem udział wyrażających probułgarskie sympatie Macedończyków w paramilitarnych formacjach kolaboracyjnych prowokował ELAS do inicjowania coraz częstszych akcji przeciwko macedońskim wioskom. Symbolem komunistycznego terroru stała się wieś Lakkomata, którą zniszczono po zaciętej walce z miejscową Ochraną. Zamordowano w niej 40 Macedończyków, w tym księdza. 2 maja 1943 r. lewicowi partyzanci przeprowadzili serię ataków na wsie Trivounon, Nestorion, Petropoulakion, porywając i przymusowo wcielając do partyzantki macedońską młodzież. Nie zawsze jednak takie ataki przynosiły sukcesy. Komitadżi ze wsi

eprasa.pl 5608f5901c

Partyzanci PAO – Panhelleńskiej Organizacji Wyzwolenia

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Litji, Vasilias i Stavropotamos skutecznie odpierali napastników.

Inicjatywa Michajłowa

Kapitulacja Włoch znacząco wpłynęła na układ sił w zachodniej Macedonii. Pełnię władzy okupacyjnej przejęli Niemcy. I to oni stali się organem decyzyjnym, jeśli chodzi o tworzenie paramilitarnych formacji kolaboracyjnych w regionie, chociaż działacze WMRO łudzili się, że tereny byłej włoskiej okupacji przejmą Bułgarzy. 20 września 1943 r. oddziały niemieckie zajęły Kastorię, rozbroiwszy kompanie Ochrany w samym mieście, ale pozostawiając oddziały na prowincji. W październiku 1943 r. Michajłow przybył do Berlina i spotkał się z Heinrichem Himmlerem, chciał bowiem uzgodnić z szefem SS utworzenie korpusu ochotniczego WMRO. Głównym zadaniem jednostki miała być obrona macedońskich mieszkańców przed atakami ze strony ELAS, a także greckich antykomunistycznych oddziałów partyzanckich. Korpus miał służyć również jako narzędzie służące do utworzenia zjednoczonej, niepodległej Macedonii, która miała powstać pod patronatem III Rzeszy.

Inicjatywa Michajłowa miała jednak pewną zasadniczą słabość – nie była uzgodniona z władzami Bułgarii. 22 października 1943 r. szef RSHA SS-Obergruppenführer Ernst Kaltenbrunner poinformował Joachima Ribbentropa o możliwości rozpoczęcia selekcji ochotników od 5 listopada 1943 r. Niemcy zamierzali utworzyć trzy bataliony WMRO i podporządkować je SS-Brigadeführerowi Walterowi Schimanie. Skierowany do realizacji sprawy SS-Obersturmbannführer Hayde (w dokumentach nie pojawia się jego imię) przyjechał do Sofii, by spotkać się z płk. Ottonem Wagnerem, kierującym tamtejszą placówką Abwehry. O sprawie, co dziwne, nie został poinformowany jednak ambasador Rzeszy Adolf Beckerle. Tymczasem Michajłow przekazał informację o swojej inicjatywie rządowi bułgarskiemu wraz z żądaniem zwolnienia 1 tys. WMRO-wców służących w armii bułgarskiej, których chciał wykorzystać w zachodniej Macedonii. Hayde zwrócił się w tej sprawie do pełnomocnika MSZ na Bałkanach Hermanna Neubachera, który uznał ów pomysł za warty akceptacji, jedynie pod warunkiem że WMRO nie podejmie żadnych działań o charakterze politycznym, co było jednak mało prawdopodobne. Dlatego biorąc pod uwagę to, że władze bułgarskie nie miały na ten temat wiedzy (rząd w Sofii próbował się zorientować, na ile ta inicjatywa ma wsparcie niemieckich władz), Ribbentrop nakazał zerwać kontakty z Michajłowem, ponieważ był przekonany, że utrzymywanie ich może narazić na szwank relacje z ważnym bałkańskim sojusznikiem.

Jednak coraz trudniejsza sytuacja na froncie wschodnim i konieczność zwiększenia kontyngentów przeznaczonych do walki z rosnącym w siłę ruchem partyzanckim nie pozwoliły całkowicie zrezygnować z koncepcji wykorzystania macedońskich batalionów ochotniczych. Ich tworzeniem zajmował się Hayde, mając u swojego boku jako doradcę Dymitra Cilewa, bliskiego współpracownika Michajłowa. Z przeszkolonych ochotników utworzono trzy bataliony: Kastoria, Edessa i Florina. Członkowie batalionów byli angażowani do przeprowadzania operacji antypartyzanckich o kryptonimach Wolf i Elefant. Według niektórych źródeł komitadżi brali udział w masakrze wsi Klissura, dokonanej 5 kwietnia 1944 r. przez pododdziały z 4. SS-Polizei-Panzergrenadier-Division, gdzie zamordowano 215 osób, głównie starców, kobiet i dzieci. Kampfgruppe Lange wywodząca się z dywizji była stałym partnerem macedońskich antypartyzantów w operacjach skierowanych przeciw ELAS. Miały one brutalny charakter, podobnie jak akcje ELAS-owców, którzy bez litości zabijali członków rodzin komitadżi.

Metropolita Joachim i partyzanci ELAS – Greckiej Ludowej Armii Wyzwoleńczej

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

31 maja 1944 r. we wsi Platani w trzygodzinnej walce z ELAS zginęło aż 50 członków WMRO, przy stratach ELAS wynoszących pięciu zabitych i 30 rannych. Według jednego z bułgarskich raportów 5 czerwca 1944 r. partyzanci z ELAS zamordowali 28 komitadżi dowodzonych przez Kostę Koczaunowa w okolicach wsi Korifi. W połowie września

eprasa.pl 5608f5901c

Płaskorzeźba przedstawiająca masakrę w miejscowości Klisura

FOT. MAXESDITIKISMAKEDONIAS.GR

bataliony ochotnicze WRMO zostały rozwiązane. Niektórzy ich członkowie wrócili do swoich rodzinnych wsi, inni wycofali się z Niemcami do Skopje, a potem do Austrii, a jeszcze inni przeszli do… komunistycznej partyzantki. Kiedy sytuacja na Bałkanach zaczęła się gwałtownie zmieniać z powodu zbliżania się jednostek Armii Czerwonej, Niemcy po ogłoszeniu przez Bułgarię neutralności, co w praktyce oznaczało wycofanie się Sofii z Osi, wyraziły zainteresowanie inicjatywą Aleksandra Staniszczewa. Ten bułgarski minister spraw wewnętrznych, znany z proniemieckich sympatii, wyszedł z propozycją utworzenia niepodległej Macedonii.

Nowy twór państwowy miał mieć parasol ochronny Wehrmachtu i obejmować terytoria Macedonii Wardarskiej (w Bułgarii był planowany, nieudany jak się miało okazać, przewrót mający na celu wyniesienie do władzy Aleksandra Cankowa, co miało spowodować dalsze trwanie tego państwa w strukturach Osi). Wydaje się, że władze III Rzeszy chciały zapewnić sobie w ten sposób możliwość bezpiecznego wycofania z zachodniej Macedonii wojsk Grupy Armii E.

„Orzeł z Kastorii”

Michajłow pojawił się w Skopje 5 września 1944 r. i odbył rozmowy ze swoimi współpracownikami. Po ich przeprowadzeniu ostatecznie uznał jednak, że z uwagi na znaczące wpływy partyzantki komunistycznej oraz coraz wyraźniej zbliżającą się klęskę III Rzeszy i brak społecznego poparcia, na ogłoszenie niepodległości jest zdecydowanie za późno.

9 września 1944 r., w obliczu inwazji sowieckiej doszło w Bułgarii do przewrotu; władzę przejął zdominowany przez komunistów Front Ojczyźniany. Wycofanie sił Wehrmachtu z greckiej zachodniej Macedonii oraz z jugosłowiańskiej Macedonii Wardarskiej pozbawiło opieki działaczy WMRO zaangażowanych we współpracę z Niemcami. Wierni swoim antykomunistycznym przekonaniom nie wyrazili zgody na akces do czerwonej partyzantki. Wielu z nich zamordowano lub postawiono przed sądami. Taki los spotkał wspierającego powstanie i działalność batalionów WMRO por. Antona Kałczewa. W grudniu 1944 r. aresztowali go w Bitoli komunistyczni partyzanci jugosłowiańscy, po czym 24 grudnia przekazali we Florinie greckim władzom. Te zdecydowały się wytoczyć mu proces, oskarżając go o zbrodnie wojenne. 10 lutego 1946 r. Kałczew stanął przed sądem wraz z por. Giovannim Ravellim, jedynym włoskim oficerem, którego udało się Grekom postawić przed sądem.

Iwan Michajłow

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

19 czerwca 1946 r. obaj podsądni usłyszeli wyroki dożywotniego pozbawienia wolności. Kałczew zaczął odbywać swoją karę na wyspie Korfu. Jednak wybuch wojny domowej i propagandowe zapotrzebowanie na wymierzanie tzw. sprawiedliwości spowodowały, że greckie władze wytoczyły mu w 1948 r. drugi proces. Miał on, w przeciwieństwie do pierwszego, bardziej propagandowy charakter. Kałczew został skazany na karę śmierci, którą wykonano 27 sierpnia 1948 r. w Salonikach w średniowiecznej twierdzy przekształconej w więzienie.

W Bułgarii kultywowana jest pamięć o „Orle z Kastorii”. 27 sierpnia 2010 r. w Kościele św. Michała w Bałcziku została odsłonięta tablica pamiątkowa ku jego czci. Nieco więcej szczęścia miał por. Ravelli. Odbywał on w więzieniach w Kozani i Salonikach karę dożywocia aż do 1959 r., kiedy król Paweł pod presją Włoch zdecydował się go ułaskawić. Decyzja ta spotkała się z protestami Greków mieszkających w Kastorii. Ravelli po powrocie do kraju został prefektem policji w Palermo, znanym z walki z sycylijską mafią (dożył sędziwego wieku, zmarł bowiem w 1998 r.). Upadku komunizmu dożył też Iwan Michajłow, który przez Chorwację, Węgry, Niemcy i Hiszpanię dotarł do Włoch, gdzie osiedlił się na stałe; finansowo wspierała go Macedońska Organizacja Patriotyczna. Michajłow zmarł w Rzymie w 1990 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Добрин Мичев, ***„БЪЛГАРСКОТО НАЦИОНАЛНО ДЕЛО В ЮГОЗАПАДНА МАКЕДОНИЯ (1941–1944);*** *Σφέτας Σ.*, ***„Η ΙΔΡΥΣΗ ΚΑΙ Η ΔΡΑΣΗ ΤΗΣ ΟΧΡΑΝΑΣ (1943–44) ΣΤΗ”;*** *Кочанков Н.*, ***„От надежда към покруса: Западна Македония в българската външна политика (1941–1944)”;*** *ΜΠΕΛΕΓΑΚΗ Ο.*, ***„Πτυχές της δράσης της Οχράνας στη Δυτική Μακεδονία με βάση νεότερες βουλγαρικές πηγές (1941–1943)”.***

eprasa.pl 5608f5901c

Radosław Wojtas

Gdy HMHS „Britannic" zaczął iść na dno, Violet Jessop wiedziała, że nie opuści pokładu bez szczoteczki do zębów. Wynikało to z jej ogromnego doświadczenia w katastrofach liniowców. Wcześniej przeżyła zatonięcie RMS „Titanic" i zderzenie RMS „Olympic" z krążownikiem

Zatonięcie „Titanica". Grafika Willy'ego Stöwera FOT. COMMONS WIKIMEDIA

XX w. / Na morzach i oceanach

Pechowe statki i szczęściara Violet

Dziewiczy rejs „Titanica" z 1912 r. doczekał się wielu ekranizacji, z oscarowym megahitem Jamesa Camerona na czele. Z kolei wojenny dramat szpitalnego okrętu „Britannic" z 1916 r. przedstawiono w thrillerze z 2000 r., w którym wątki szpiegowskie przeplatają się z dramatyczną ucieczką z tonącego pokładu. Zderzenie potężnego „Olympica" – który uzupełnia trio słynnych liniowców parowych White Star Line – z krążownikiem HMS „Hawke" w 1911 r. wciąż czeka na swojego reżysera. Jednak Hollywood najwyraźniej uznało, że katastrofa morska, w której nikt nie ginie, a potężny, uszkodzony liniowiec po prostu wraca do portu na remont, jest zbyt mało dramatyczna na kinowy ekran.

W każdym z trzech filmów mogłaby się pojawić postać Violet Jessop. Gdyby jej życiorys doczekał się ekranizacji, byłby murowanym hitem. Jeśli pochyliłyby się nad nim tęgie matematyczne głowy, które wyliczyłyby prawdopodobieństwo takiego potoczenia się jej losów, otrzymany wynik byłby zbliżony do zera. Jaka jest bowiem szansa na przeżycie dwóch katastrof, w tym najsłynniejszej morskiej tragedii XX w., oraz poważnego zderzenia dwóch okrętów, które również mogło się zakończyć zatonięciem?

Dziewczynka z pampy

Violet Constance Jessop przyszła na świat 2 października 1887 r. nieopodal portowego miasta Bahía Blanca w Argentynie. Była najstarszym dzieckiem Katherine Kelly i Williama Jessopa, irlandzkich imigrantów. William pragnął zająć się hodowlą owiec na równinach pampy. Ich małe gospodarstwo było prymitywne. Katherine przybyła z Europy z eleganckimi sukniami, lecz bez podstawowych sprzętów kuchennych czy mebli.

Trudności finansowe i kapryśny rynek wełny zmusiły Williama Jessopa do porzucenia marzeń o ranczu. Rodzina przeniosła się do ceglanego domu w Bahía Blanca, gdzie William znalazł zatrudnienie w zarządzie portu. To tam Violet po raz pierwszy zetknęła się z morzem i marynarzami, których opowieści budziły w niej dreszcz emocji.

Gdy Violet była nastolatką, rodzina przeprowadziła się do tętniącego życiem Buenos Aires. Rodzice z trudem wiązali koniec z końcem. Wkrótce rodzina przeniosła się w okolice malowniczych

eprasa.pl 5608f5901c

Andów, do Mendozy, w poszukiwaniu lepszego klimatu dla zdrowia dzieci.

W 1903 r. William Jessop zachorował na raka i zmarł w wieku zaledwie 41 lat, a Katherine została sama z sześciorgiem dzieci. Zrozpaczona matka, nie widząc przyszłości w Argentynie, podjęła decyzję o powrocie do Europy. W maju 1903 r. 16-letnia Violet wraz z rodzeństwem weszła na pokład statku towarowo-pasażerskiego „Burgundy" i odpłynęła do Europy.

Violet Jessop

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HEFEPINE23

Zbyt piękna

Rodzina osiedliła się na przedmieściach Londynu, lecz jej sytuacja materialna była dramatyczna. Aby utrzymać dzieci, Katherine Jessop podjęła pracę jako stewardesa na statkach Royal Mail Line. Spędzała długie miesiące na morzu, dlatego też Violet trafiła pod opiekę surowych, lecz troskliwych zakonnic w klasztornej szkole. Czas spędzony w klasztorze był dla niej okresem względnego spokoju i duchowego rozwoju. Sielanka nie trwała długo. W 1908 r. Katherine Jessop ciężko zachorowała i musiała zrezygnować z pracy na morzu. Jako najstarsza z rodzeństwa, 21-letnia Violet przejęła rolę głównego żywiciela rodziny. Czterej młodsi bracia zostali umieszczeni w sierocińcu, by odciążyć budżet, a Violet postanowiła pójść w ślady matki i złożyła aplikację na stanowisko stewardesy w liniach oceanicznych.

Natrafiła jednak na niespodziewaną przeszkodę. Violet była niezwykle atrakcyjną dziewczyną – miała posągowy wzrost, głębokie, przenikliwe szarobłękitne oczy, gęste kasztanowe włosy i mówiła z ujmującym, melodyjnym irlandzkim akcentem. Dla konserwatywnych dyrektorów linii żeglugowych ta uroda była jednak poważnym problemem. Podczas pierwszych rozmów rekrutacyjnych wprost dawali jej do zrozumienia, że jej młodość i uderzający wdzięk mogą działać dekoncentrująco i kusząco na bogatych pasażerów pierwszej klasy oraz męską część załogi. Obawiano się, że jej obecność na pokładzie będzie prowokować skandale obyczajowe. Uznano ją za zagrożenie. Na najważniejszą rozmowę kwalifikacyjną Violet ubrała więc stary, niemodny, luźny kostium w burych barwach, który miał maskować jej sylwetkę. Włosy ściągnęła w kok, zrezygnowała z makijażu i starała się zachowywać w sposób chłodny, dystansujący i skrajnie profesjonalny. Udało jej się ukryć urodę i zdobyć pierwszy kontrakt. W 1908 r. Violet pierwszy raz weszła na pokład parowca „Orinoco" jako stewardesa.

Mordercze luksusy

Pasażerowie pierwszej klasy podziwiali lśniące mosiądze, kryształowe żyrandole i jedli wykwintne potrawy, ale życie załogi pod pokładem było przeciwieństwem tego przepychu. Dzień pracy Violet zaczynał się przed świtem, a kończył często późno w nocy, nierzadko po 17 godzinach nieustannej służby. Do jej obowiązków należało ścielenie łóżek, czyszczenie kabin, polerowanie armatury, serwowanie posiłków, a przede wszystkim – znoszenie wszelkich, nawet najbardziej absurdalnych kaprysów bogatej klienteli. Wszystko to za skromne wynagrodzenie, które zmuszało stewardesy do całkowitej zależności od napiwków.

W 1910 r. Violet złożyła aplikację do prestiżowych linii White Star Line. Podczas służby na transatlantyku „Majestic" szybko zyskała opinię profesjonalnej, taktownej i serdecznej stewardesy, co otworzyło jej drzwi do służby na najnowszej i najwspanialszej jednostce White Star Line – RMS „Olympic".

Szczyt kariery

„Olympic" był pierwszym z trójki gigantycznych luksusowych liniowców, mających zapewnić White Star Line dominację na Północnym Atlantyku. Statek był cudem techniki – mierzył niemal 270 m długości, jego wyporność wynosiła ponad 45 tys. ton, a luksusowe wnętrza zapierały dech w piersiach. Violet Jessop, jako jedna z najbardziej doświadczonych i cenionych stewardes, otrzymała prestiżowy przydział do obsługi pasażerów pierwszej klasy.

„Olympic" stał się dla niej pływającym drugim domem, a zarazem to właśnie na tej jednostce kobieta miała otrzymać poważne ostrzeżenie od losu. 20 września 1911 r. statek wypłynął z portu w Southampton. Gdy liniowiec mijał cieśninę Solent, doszło do niebezpiecznego zdarzenia. Płynący równolegle brytyjski krążownik wojenny HMS „Hawke" uległ zjawisku „zasysania" generowanego przez gigantyczny kadłub „Olympica", przez co stracił sterowność i gwałtownie skręcił w stronę transatlantyku.

Dziób krążownika, zaprojektowany do taranowania wrogich okrętów, z ogromną siłą uderzył w prawą burtę „Olympica" na wysokości

„Olympic". Obraz Freda Pansinga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 5608f5901c

rufy. Huk był przerażający. Pod wpływem siły zderzenia w burcie liniowca powstała potężna wyrwa. Mimo poważnych uszkodzeń, dzięki systemowi grodzi wodoszczelnych, „Olympic" utrzymał się na wodzie i zdołał powrócić do portu. W kolizji tej nikt nie zginął ani nie odniósł poważnych obrażeń.

Rejs na „Titanicu"

W kwietniu 1912 r. uwaga świata przeniosła się na drugiego z wielkich bliźniaków – RMS „Titanic". Statek, reklamowany jako niezatapialny, miał wyruszyć w dziewiczy rejs z Southampton do Nowego Jorku. Violet początkowo nie chciała się przenosić na nową jednostkę. Czuła się dobrze na „Olympicu", a perspektywa aklimatyzowania się na nowym statku budziła w niej niechęć. Uległa jednak namowom przyjaciół i przełożonych, którzy tłumaczyli, że obecność tak doświadczonej stewardesy na pokładzie flagowego statku jest kluczowa dla zapewnienia najwyższego standardu obsługi bogatej elity.

10 kwietnia 1912 r. Violet weszła na pokład „Titanica". Szybko zauważyła, że statek jest jeszcze wspanialszy, bardziej dopracowany i przestronniejszy niż jego starszy brat. Wśród pasażerów pierwszej klasy znajdowały się najgłośniejsze nazwiska epoki edwardiańskiej, w tym najbogatszy człowiek świata, John Jacob Astor IV z 18-letnią żoną Madeleine. Violet, przyglądając się dyskretnie tej parze, nie kryła lekkiego rozczarowania. W pamiętnikach zanotowała: „Zamiast promiennej, olśniewającej kobiety, jaką malowała moja wyobraźnia, ujrzałam cichą, bladą, smutną i wręcz bezbarwną młodą damę, która z widocznym znużeniem opierała się na ramieniu swojego męża".

W nocy z 14 na 15 kwietnia Violet leżała na koi. Przed snem postanowiła przeczytać modlitwę ochronną, przetłumaczoną z języka hebrajskiego, którą wiele lat wcześniej podarowała jej stara irlandzka zakonnica w Kent i poprosiła, by odmawiała ją codziennie jako tarczę przeciwko ogniowi i wodzie. Violet przyznała później, że tamtej nocy po raz pierwszy naprawdę wczytała się w jej słowa.

Nagle, o godz. 23.40, ciszę rozdarł dziwny dźwięk, który sprawił, że potężny kadłub „Titanica" lekko zadrżał. Chwilę później silniki statku zwolniły, aż w końcu całkowicie ucichły. Zapadła głęboka, złowroga, nienaturalna cisza. Gdy było jasne, co się stało, Violet przystąpiła do działania. Pomagała zdezorientowanym kobietom w ubieraniu się. Zapamiętała nieskończoną ilość drobnych, ozdobnych guzików przy wykwintnych sukniach dam, które drżącymi rękami próbowała zapiąć w pośpiechu. Następnie wyprowadziła pasażerki na pokład. Wraz z innymi stewardesami spokojnym, opanowanym zachowaniem dawała przykład pasażerom pierwszej klasy – zwłaszcza zagranicznym rodzinom, które nie rozumiały instrukcji wydawanych w języku angielskim. Patrzyła z bólem serca, jak mężowie żegnają się z żonami, zmuszając je do wejścia do szalup.

Gdy na pokładzie zaczęła narastać świadomość nieuchronności katastrofy, szósty oficer James Moody nakazał stewardesom wejść do szalupy ratunkowej nr 16. Gdy łódź była przygotowywana do spuszczenia na wodę, oficer nagle pochylił się, trzymając w rękach zawinięte w koc niemowlę. „Zaopiekuj się nim, dobrze?" – krzyknął i wrzucił dziecko w ramiona Violet. Dziewczyna mocno przytuliła maleństwo do piersi, starając się osłonić je przed lodowatym arktycznym wiatrem.

Violet Jessop widziała, jak rozświetlony tysiącami elektrycznych świateł „Titanic" przechyla się w stronę dziobu. Usłyszała potężny huk pękającej stali i eksplozji kotłów, gdy kolos przełamał się na pół. A potem zapadła ciemność, z której wydobywał się krzyk 1,5 tys. umierających w lodowatej wodzie ludzi. Po kilku minutach nastąpiła grobowa cisza.

Po ośmiu godzinach spędzonych w mrozie na oceanie, rozbitków z szalupy nr 16 uratował przybyły na pomoc statek RMS „Carpathia". Violet, skrajnie wyczerpana i przemarznięta, wciąż kurczowo trzymała dziecko w ramionach. Gdy siedziała na pokładzie „Carpathii", podbiegła do niej jakaś kobieta. Bez słowa, bez choćby jednego spojrzenia czy szeptu „dziękuję" wyrwała niemowlę z ramion Violet i uciekła z płaczem w głąb korytarza. Violet była zbyt oszołomiona, by zareagować. Tożsamość dziecka i kobiety do dziś pozostaje tajemnicą.

Mimo tego traumatycznego przeżycia Violet Jessop wiedziała jedno – jeśli chce kontynuować swoje życie na morzu i utrzymać rodzinę, musi natychmiast wrócić na pokład. W przeciwnym razie strach sparaliżowałby ją na zawsze. Już

Ocaleni z „Britannica" na pokładzie HMS „Scourge"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IMPERIAL WAR MUSEUMS

eprasa.pl 5608f5901c

w czerwcu 1912 r., dwa miesiące po katastrofie, Violet podpisała kolejny kontrakt i wyruszyła w rejs na pokładzie parowca „Malwa", który pływał na Daleki Wschód i do Australii.

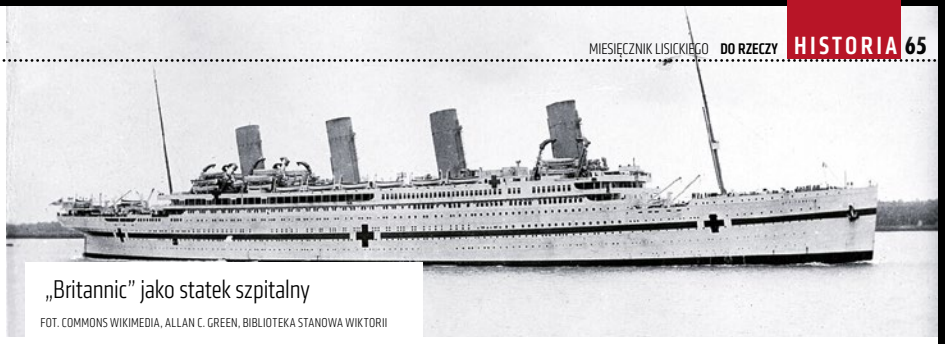

„Britannic" jako statek szpitalny

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALLAN C. GREEN, BIBLIOTEKA STANOWA WIKTORII

Skok po życie

Gdy w sierpniu 1914 r. wybuchła wielka wojna, wspaniałe liniowce pasażerskie zostały przekształcone w transportowce wojska lub okręty szpitalne. Trzeci, najmłodszy z wielkich trojaczków linii White Star Line – „Britannic" – był ukończony już z myślą o roli pływającego szpitala o wyporności 48 tys. ton. Wyposażony w najnowocześniejsze systemy bezpieczeństwa, w tym żurawiki szalupowe mogące opuszczać łodzie nawet przy silnym przechyle, miał być dowodem na to, że wyciągnięto lekcję z tragedii „Titanica".

Violet Jessop zgłosiła się na ochotnika do służby medycznej. Po odbyciu szkolenia w ramach Brytyjskiego Czerwonego Krzyża otrzymała przydział jako pielęgniarka na pokładzie HMHS „Britannic", który na morzach Śródziemnym i Egejskim ewakuował rannych żołnierzy z frontu kampanii dardanelskiej.

Tragiczny poranek 21 listopada 1916 r. przyniósł kres tej misji. Wybuch niemieckiej miny morskiej koło wyspy Kea spowodował poważne uszkodzenia kadłuba. „Britannic" zaczął tonąć w tempie, które zaskoczyło nawet jego projektantów. Violet wykazała się zimną krwią. Zanim opuściła swoją kajutę, spakowała najcenniejsze pamiątki: pierścionek od dawnego ukochanego, zegarek od bliskiego przyjaciela oraz modlitewnik. Ale najważniejszym przedmiotem, który zabrała była... jej szczoteczka do zębów.

Gdy cztery lata wcześniej, uratowana z katastrofy „Titanica", spędziła kilka dni na pokładzie RMS „Carpathia", jej największą udręką był brak możliwości umycia zębów z posmaku dymu, węgla i słonej wody. Jej przyjaciel Patrick zażartował, już na lądzie: „Nigdy nie bierz udziału w kolejnej katastrofie bez uprzedniego upewnienia się, że masz ze sobą szczoteczkę do zębów". Violet zapamiętała tę lekcję na całe życie. Wepchnęła szczoteczkę głęboko do kieszeni fartucha, po czym podwinęła jego dół i starannie wetknęła za pasek uniformu – w ten sposób utworzyła prowizoryczną sakwę, która miała zabezpieczyć jej skarby przed żywiołem wody.

Szalupa ratunkowa, do której wsiadła Violet, została spuszczona na wodę, gdy „Britannic" wciąż płynął, próbując bezskutecznie dotrzeć do płytkich wód wyspy Kea. Ewakuacja w takim momencie była śmiertelną pułapką. Gigantyczne śruby napędowe zaczęły zasysać spuszczone na wodę szalupy, Violet patrzyła, jak potężne metalowe płaty mielą ich drewno i rozszarpują ciała ludzi. Gdy jej łódź znalazła się w śmiertelnym wirze, nie było czasu na wahanie. Violet skoczyła prosto w spienioną otchłań Morza Egejskiego.

Nurt wciągnął ją pod wodę, a potem rzucił na stępkę tonącego olbrzyma. Violet uderzyła głową o twardą stal z taką siłą, że niemal straciła przytomność. Zdołała jednak wypłynąć na powierzchnię, gdzie została wciągnięta na pokład innej szalupy. Po latach wspominała, że przeżycie zawdzięcza… swoim niezwykle gęstym, grubym włosom, które zamortyzowały uderzenie. Choć przez kolejne tygodnie zmagała się z potwornymi, pulsującymi bólami głowy, nikt nie przeprowadził u niej dokładnych badań lekarskich. Dopiero po latach, podczas wizyty u lekarza, prześwietlenie wykazało, że Violet doznała wtedy poważnego pęknięcia czaszki.

Powrót na morze

Wielu ludzi po przeżyciu dwóch takich katastrof nigdy nie zbliżyłoby się do brzegu oceanu. Jednak Violet Jessop była kobietą o twardym charakterze. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej, po krótkim okresie pracy na lądzie w hiszpańskim banku, Violet zdecydowała się na powrót pod banderę White Star Line.

W latach 20. XX w. ponownie służyła na wyremontowanym „Olympicu", a następnie przeszła do linii Red Star Line. Pod ich banderą odbyła dwa rejsy dookoła świata.

W wieku 36 lat Violet zdecydowała się na krok, który później określała jako „krótkie i fatalne" małżeństwo. Wyszła za mąż za Johna Jamesa Lewisa, kolegę z załogi, którego poznała podczas służby na „Olympicu". Ich małżeństwo przetrwało zaledwie rok.

W 1950 r., w wieku 63 lat, po 42 latach spędzonych na morzu, Violet Jessop postanowiła „rzucić kotwicę" i przejść na emeryturę. Zaoszczędzone pieniądze pozwoliły jej na zakup XVI-wiecznego domku, położonego w wiosce w hrabstwie Suffolk.

Violet poświęciła się pielęgnacji ogrodu, założyła również sad jabłoniowy oraz warzywnik, a na tyłach posiadłości postawiła kurniki. Hodowla kurcząt i sprzedaż świeżych jaj okolicznym mieszkańcom pozwalały jej na podreperowanie skromnej emerytury.

Pewnej nocy zadzwonił telefon. Gdy starsza już Violet podniosła słuchawkę, usłyszała cichy, kobiecy głos: „Czy to pani uratowała dziecko tamtej nocy, kiedy zatonął »Titanic«?". Zaskoczona Violet odpowiedziała: „Tak, to byłam ja". Wtedy głos w słuchawce wyszeptał: „Cóż, ja byłam tym dzieckiem", po czym rozmówczyni nagle się rozłączyła.

Gdy Violet opowiedziała tę historię przyjacielowi i pierwszemu biografowi, Johnowi Maxtone-Grahamowi, ten uznał to za okrutny żart jakiegoś dowcipnisia. Violet stanowczo jednak zaprzeczała, tłumacząc, że nigdy – ani słowem – nie wspominała o uratowanym niemowlęciu, a jej pamiętniki leżały wówczas schowane głęboko w szufladzie i nie były nikomu znane. Zagadka ta nigdy nie została wyjaśniona.

Violet Constance Jessop zmarła we śnie 5 maja 1971 r. w wieku 83 lat. Została pochowana obok ukochanej siostry Eileen.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

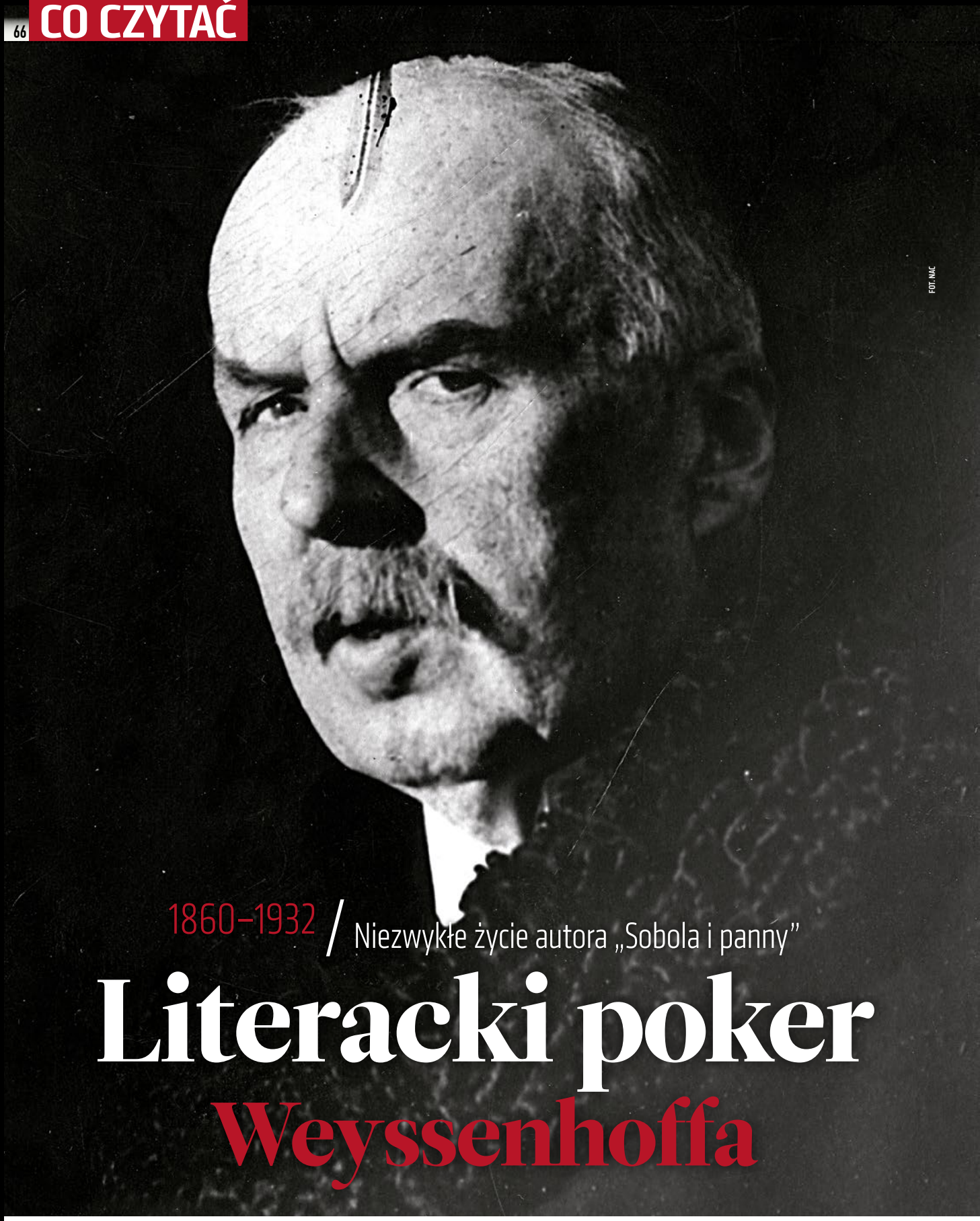

FOT. NAC

1860–1932 / Niezwykłe życie autora „Sobola i panny”

Literacki poker Weyssenhoffa

eprasa.pl 5608f5901c

Krzysztof Masłoń

Uwodził piękne kobiety, balował i polował, brylował na salonach, hazardował się, a w końcu, gdy przehulał wszystko, wziął się do pisania. Z rezultatem więcej niż dobrym

Wydana właśnie opowieść Ewy Danowskiej „Józef Weyssenhoff (1860–1932). Niezwykłe życie pisarza" wydobywa z niepamięci postać sławnego niegdyś autora „Sobola i panny". Swój ród pisarz wywodził z XVI w., z Nadrenii, skąd przybyli jego antenaci, i osiedlili się na Inflantach. Z czasem ci Weissowie, bo tak się wtedy nazywali, polonizowali się. Gustaw Manteuffel, znawca przedmiotu, utrzymywał, że rodzina nie miała prawa do posługiwania się tytułem barona, gdyż do województwa inflanckiego przybyła już po 1571 r., czyli po wcieleniu go do Rzeczypospolitej, a zatem familia z rycerstwem niemieckim nie miała nic wspólnego. Weyssenhoff wiedział jednak swoje, a z czasem tytuł barona zaczął umieszczać na wizytówkach. Jako baron podpisał też niemiecki przekład swojego „Syna marnotrawnego". Tak czy inaczej, dzięki gromadzeniu przez 40 lat rodzinnych papierów, najdawniejszego przodka doszukał się w osobie żyjącego w XV w. Abrahama Weissa, którego wnuk Zachariasz był namiestnikiem królewskim w Rydze.

Ojciec przyszłego pisarza, Michał Jerzy Franciszek Weyssenhoff, zmarł na chorobę żółciową w 1866 r. i został pochowany pod ufundowanym przez jego przodka kościołem w Jużyntach na Żmudzi. Sytuacja materialna rodziny była katastrofalna, ale wdowa, Wanda z Łubieńskich, odmawiała oddania dłużnikom Tarnowa, wsi położonej na Nowogródczyźnie. Pragnęła bowiem, by dobra te mogły – po ojcu – odziedziczyć dzieci. A Józef miał dwójkę młodszego rodzeństwa.

Pierwszy rok wdowieństwa matka z dziećmi spędziła w majątku Łubieńskich w powiecie radzyńskim, a następnie przeniosła się do Warszawy. Jak wspominała Zofia Starowieyska-Morstinowa, ciocia Wanda była: „Żywa, inteligentna, dowcipna, pełna ognia i żarliwości, łatwo się w dyskusji unosiła; była bardzo pobożna i bezkompromisowo patriotyczna, ale nade wszystko niezwykle, wprost bezinteresownie hojna". Opiekowała się poleskimi unitami, prześladowanymi wówczas przez władze carskie. A gdy zamawiała fiakra, nakazywała woźnicy się przeżegnać. Gdy okazywał się Rosjaninem lub Żydem, rezygnowała z usługi. Zmarła w 1915 r., w wieku 78 lat.

Małżeństwo z racji żydowskiego pochodzenia panny młodej zostało uznane w ziemiańskich sferach za skandal

Józef Weyssenhoff po zdanej maturze wybrał się na dalszą naukę do Dorpatu, gdzie dał się porwać życiu korporacyjnemu. Studia ukończył w 1883 r., do egzaminów dyplomowych jednak nie przystąpił. Na mocy testamentu ciotki, siostry matki, Heleny Woyniłłowiczowej, stał się bowiem panem na Samoklęskach, 1,5 tys. hektarów pszennej ziemi, sadów i lasów w powiecie lubartowskim, kilkanaście kilometrów od Lublina. Majątek mógł pomnożyć dzięki ożenkowi z córką kolejowego magnata, Aleksandrą Blochówną. Małżeństwo z racji żydowskiego pochodzenia panny młodej zostało uznane w ziemiańskich sferach za skandal, a zakończyło się też skandalicznie, kiedy Weyssenhoff stracił Samoklęski, tę perłę ziemi lubartowskiej, przegrywając w pokera w 1894 r. w petersburskim Yacht Clubie 400 tys. rubli z wielkim księciem Borysem Włodzimierzowiczem, stryjecznym bratem cara. Podobno miał cztery króle, podczas gdy książę – karetę asów.

W krzywym zwierciadle

Stefan Krzywoszewski, pisarz i dramaturg tak charakteryzował przyszłego pisarza: „Józefa Weyssenhoffa znałem z czasów, kiedy przyjeżdżał ze swych Samoklęsk do Warszawy. Należał do złotej młodzieży, która grupowała się w Klubie Myśliwskim, wyróżniał się męską urodą i kulturą umysłową, promieniał ochotą do życia. Zabawiał się już wtedy gładkimi przekładami drobniejszych utworów Heinego, lecz nierównie więcej czasu poświęcał pięknym paniom, lubił podróże, polowania na grubego zwierza i hazard".

Miał jednak i inne zainteresowania, wydawał i redagował „Bibliotekę Warszawską", w której zamieścił swoje pierwsze utwory. Niewątpliwie skorzystał z rad, których udzielił mu wtedy Dionizy Henkiel, ten sam redaktor naczelny „Biblioteki…", który namówił Henryka Sienkiewicza do pisania felietonów. A Józefa Weyssenhoffa pisarzem pełną gębą uczyniła w 1898 r. powieść „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego". Pojawienie się jej było wydarzeniem „nie tyko dlatego, że była to bardzo dobra książka. Wywołała poruszenie w tzw. towarzystwie, stawiając mu przed oczy zwierciadło, w którym mogło się rozpoznać jako grupa, ale też zidentyfikować poszczególne postacie. W opisie świata arystokracji Weyssenhoff nie popełniał gaf i niezręczności, bo sam należał do świata salonów. To samo można powiedzieć o jego późniejszych powieściach, w których z kolei wykazał się znajomością łowiectwa, jego praw, zwyczajów i języka. W tej materii zatem nie podlegał krytyce, bo rzeczywistości nie fałszował" – pisze Ewa Danowska.

Powieść za życia autora miała osiem wydań, tyle co „Ludzie bezdomni" Stefana Żeromskiego, którego twórczości

eprasa.pl 5608f5901c

zresztą Weyssenhoff nie lubił i nazywał ją „zawsze ponurą". Tłumaczono też „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" na francuski, niemiecki, rosyjski i czeski. Co nie znaczy, że to – używając określenia Juliana Krzyżanowskiego – oparte na dobrych wzorach Taine'a i France'a „malowidło salonów arystokracji i plutokracji warszawskiej" budziło wyłącznie zachwyt. Po latach tenże Krzyżanowski napisze: „Wizerunek pasożyta – aferzysty żerującego w owych salonach, zbudowany z rysów typowych, ujęty zaś w formie pamiętnika, naiwnie sławiącego postać tytułową, wypadł znakomicie, nadmiar jednak wytwornej ironii i opóźnione zdemaskowanie łotrzyka salonowego sprawiły, iż dzieje Podfilipskiego, przy dużych walorach artystycznych, nie osiągnęły poziomu wielkiej powieści satyrycznej. Zabrakło w niej tych choćby nieodzownych akcentów krytycznych, które w lat kilkanaście później wystąpiły u Żuka Skarszewskiego w powieści [„Rumak Światowida" – przyp. K.M.] o tym samym środowisku społecznym, którego piewcą zrobił się Weyssenhoff".

Myślistwo i miłość

Praca literacka stała się deską ratunku dla zubożałego z dnia dzień pana na włościach, ale – z natury rzeczy – nie zapewniała stałych dochodów i to takich, jakich oczekiwał Weyssenhoff, a oczekiwania miał zawsze wygórowane. Znamienną historię przywołał np. Włodzimierz Bartoszewicz, który wspomniał mające miejsce w 1911 r. spotkanie z pisarzem swojego ojca, endeckiego polityka i publicysty, redagującego w tamtym czasie „Dziennik Kijowski": „Pojechał mój ojciec na kilka dni do Warszawy. Chciał zdobyć dla »Dziennika Kijowskiego« jakąś nowelę i wybrał się do Józefa Weyssenhoffa. Po przywitaniu i zamienieniu paru zdań ze znakomitym pisarzem ojciec od razu przystąpił do rzeczy:

– Chciałbym, aby Pan napisał coś dla »Dziennika«.

– To wykluczone – zawołał Weyssenhoff – pracuję teraz nad »Sobolem i panną«. Zabiera mi to wiele czasu i o niczym innym nie mogę myśleć.

– Chodzi mi o krótką nowelę.

– To wykluczone – powtórzył Weyssenhoff – absolutnie nie mogę się tego podjąć.

– Ale ja płacę z góry – odpowiedział, uśmiechając się ojciec.

Weyssenhoff spojrzał nań ze zdziwieniem.

– A to co innego! Jutro będę u Pana i powiem Panu, jaki będzie tytuł.

Nazajutrz przyszedł istotnie, a wkrótce w »Dzienniku« ukazała się jedna z lepszych jego nowel »Znaj pana«".

Przed wspomnianym tu „Sobolem i panną" wydał Józef Weyssenhoff, w 1911 r., „Hetmanów", uważanych za jego najbardziej kontrowersyjną powieść, a to ze względu na zawarte w niej wątki antysemickie. On sam twierdził, że rzecz powstała z oburzenia i tłumaczył: „Wstręt do Żydów miałem we krwi od lat najmłodszych. Ale w pewnej epoce nauczyłem się ten wstręt hamować, a nawet walczyć z nim; uległem prądowi asymilacyjnemu, równie obłudnemu ze strony Żydów, jak naiwnemu ze strony Polaków. Choć z tego zaślepienia wyleczyłem się rychło […], dla konsekwencji milczałem długo o Żydach w pierwszych swoich książkach". Później się już pod tym względem nie hamował, choćby w powieści „Cudno i ziemia cudneńska", a „Hetmanów" uważał za swoje najciekawsze dzieło.

„»Hetmani« – czytamy w książce Ewy Danowskiej – stanowili akt oskarżenia ruchu socjalistycznego. Jednocześnie powieść była wyrazem przekonań autora, jakoby wszystkie poczynania radykalne oraz rewolucyjne na polskich ziemiach były inspirowane, finansowane i kierowane przez Niemcy za pośrednictwem międzynarodowego żydostwa".

Zgoła inną książką był „Soból i panny", po raz pierwszy wydrukowany w 1911 r. w „Gazecie Warszawskiej". Ta miłosna historia rozgrywająca się w scenerii kowieńskiej puszczy, ze świetnymi opisami przyrody, zachwyciła wszystkich, a powieść wymieniano jednym tchem nie tylko z „Legendą Tatr", lecz także z… „Panem Tadeuszem". Przesada to niewątpliwa, choć utwór jest rzeczywiście miejscami porywający, w co jednak trudno uwierzyć widzom nie do końca udanej ekranizacji tej powieści z 1984 r. A Ewa Danowska przypomina też o znacznie wcześniejszej adaptacji filmowej dzieła Weyssenhoffa, a mianowicie napisanej w 1916 r. „Puszczy". Niestety, film Ryszarda Biskego z 1932 r., z muzyką

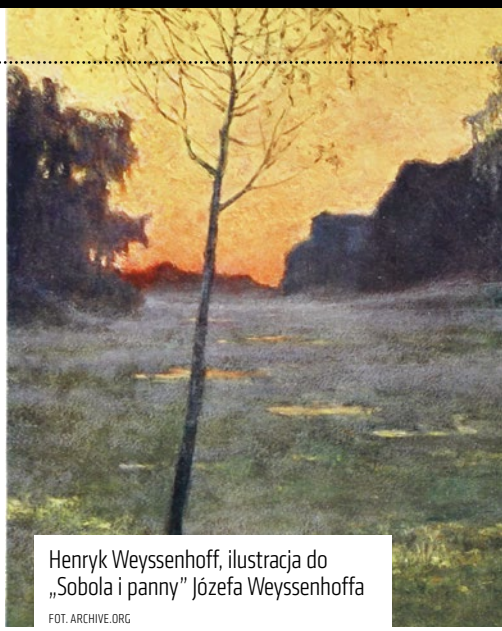

Henryk Weyssenhoff, ilustracja do „Sobola i panny" Józefa Weyssenhoffa

FOT. ARCHIVE.ORG

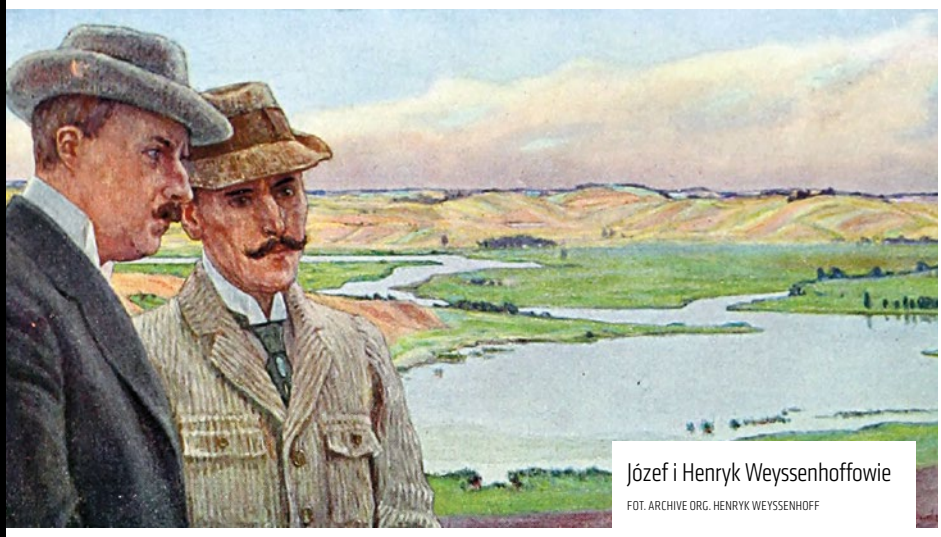

Józef i Henryk Weyssenhoffowie

FOT. ARCHIVE ORG. HENRYK WEYSSENHOFF

eprasa.pl 5608f5901c

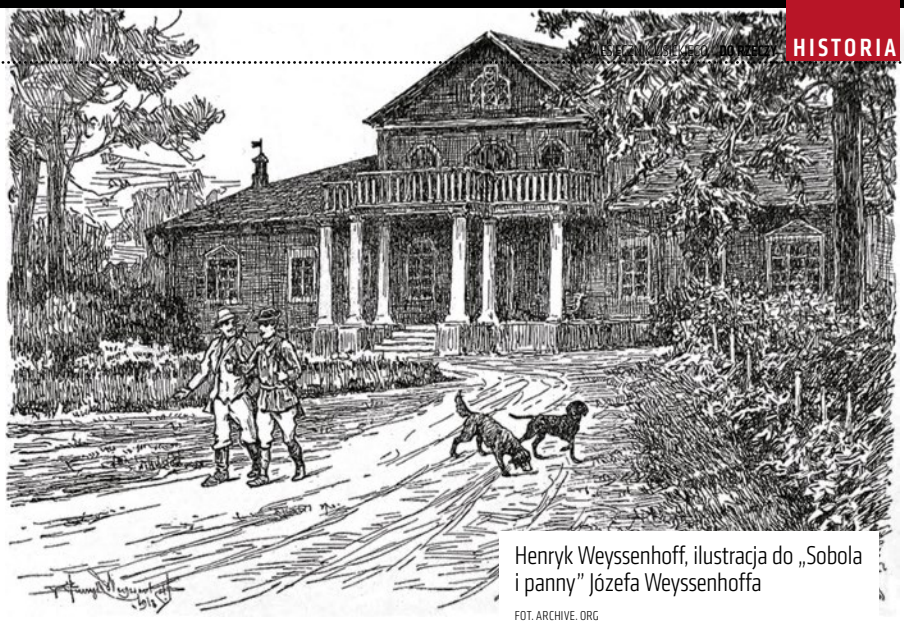

Henryk Weyssenhoff, ilustracja do „Sobola i panny" Józefa Weyssenhoffa

FOT. ARCHIVE.ORG

Weyssenhoff angażował się politycznie, był programowo antysocjalistycznym polskim nacjonalistą, ale formalnie do endecji nigdy nie wstąpił

Henryka Warsa oraz Iną Benitą, Niną Grudzińską i Andrzejem Karewiczem w rolach głównych nie przetrwał do naszych dni, a szkoda, bo był to zapewne istny „Polesia czar".

W najbardziej dziś godnej polecenia powieści Józefa Weyssenhoffa odnajdujemy – jak powiada Ewa Danowska – „symbiozę zamieszkałych na tych terenach ludzi z pięknym krajobrazem, puszczę pełną zwierzyny i ptactwa oraz mistrzowsko opisane sceny polowań. Myślistwo i miłość to dwa wątki ułożone przemiennie w tej znakomitej powieści, nie ma tu walki człowieka z przyrodą, a polowanie jest formą najbliższego z nią obcowania. Splatają się sceny miłosnych schadzek z epizodami polowań. Polowanie rozpoczyna powieść i ją kończy; widzimy też doskonale namalowane przez pisarza krajobrazy – lasy, jeziora, pagórki i pola, a dziećmi tej ziemi, wtopionymi w pejzaż, są Warszulka oraz jej stryj i opiekun »ochotnik«, czyli kłusownik Łaukinis.

W powieści daje się wyraźnie zauważyć niechęć Weyssenhoffa do miast, przejawiająca się też w innych, późniejszych jego książkach (np. w »Gromadzie«). Wysławiał wiejskie chaty i dworki nietknięte zepsuciem miasta. Co ciekawe, antyurbanizm to jedno z najpopularniejszych haseł twórców Młodej Polski, w której nurt tego pisarza się nie zalicza".

Gdie nasze nie propadało

Józef Weyssenhoff angażował się politycznie, był programowo antysocjalistycznym polskim nacjonalistą, ale formalnie do Narodowej Demokracji nigdy nie wstąpił. Wybitny działacz endecki Stanisław Kozicki, w II Rzeczypospolitej poseł i senator, wspominał:

„Bardzo blisko żył z nami Józef Weyssenhoff. Zainteresował się on naszą robotą polityczną w r. 1905, gdy pisał »Dni polityczne«, lecz sam do polityki czynnej nie miał żadnego pociągu. Był to wytworny pan, miał nienaganne formy towarzyskie, a zarazem umiejętność zabawienia się w gronie dobrych znajomych. Znał świetnie historię Polski, miał wyrobiony smak literacki i znajomość naszego piśmiennictwa. Obcował wiele z pisarzami starożytności. Słuchaliśmy nieraz z podziwem, jak prześcigali się z Dmowskim w recytowaniu Horacego lub Wergiliusza […]. Pamiętam, jak sprzeczaliśmy się z Weyssenhoffem o wartość Wyspiańskiego, do twórczości poetyckiej którego Weyssenhoff odnosił się bardzo krytycznie, a którego ja bardzo wysoko ceniłem".

Po sprawie brzeskiej Weyssenhoff – który nie zważał na swoje poglądy polityczne – podpisał protest pisarzy biorących w obronę aresztowanych na rozkaz Piłsudskiego przywódców Centrolewu. Sprawa ta miała bowiem, jego zdaniem, wymiar ponadpartyjny. A choć nie do wszelkich związków, stowarzyszeń i organizacji czuł tę samą niechęć, nigdy nie wstąpił do Związku Zawodowego Literatów Polskich. Nadto cenił bowiem swoją pisarską niezależność.

U schyłku życia, w 1932 r., otrzymał Józef Weyssenhoff Literacką Nagrodę Miasta Warszawy. Spadła ona na pisarza jak zbawienie, bowiem od kilku miesięcy – jak pisał Adam Grzymała-Siedlecki – niemal wegetował w niedostatku. „Weyssenhoff – czytamy w książce Ewy Danowskiej – zainkasował gotówkę i swoim zwyczajem urządził wystawną kolację dla grona przyjaciół, literatów i artystów. Zaproszeni spodziewali się skromnego kotleta wieprzowego z piwem, jednak uhonorowany pisarz podjął gości koniakiem, kawiorem, ostrygami, bażantem, melbą i szampanem. Grzymała-Siedlecki przytoczył reakcję zaskoczonych gości:

– Człowieku, co ty wyprawiasz – monitujemy go wprost zirytowani.

– Gdie nasze nie propadało – odpowiada nam po rosyjsku, najprawdopodobniej dlatego, że w rosyjskim Yacht Klubie »propadły« Samoklęski".

Pisarz wiedział, co mówi. A życie miał naprawdę niezwykłe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Festa w święto Zwiastowania Pańskiego w Tarxien, 2025 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TRACELINER

Książka miesiąca / Pośrodku Morza Śródziemnego

Wyspa nieustannie oblegana

Michał Potocki uważa, że najciekawiej jest na pograniczach, tam gdzie spotykają się różne cywilizacje, religie i języki. Takim miejscem jest właśnie Malta. Autor rozmawiał z maltańskimi politykami, naukowcami, księżmi, najbardziej popularnym pisarzem maltańskim Trevorem Żahrą i córką Doma Mintoffa, w latach 1949–1984 lidera Partii Pracy i wieloletniego premiera. Książka ma więc charakter reporterski.

Przez Maltę przewinęli się Fenicjanie, Grecy, Arabowie, Normanowie i joannici. W 1585 r. zakonnicy-rycerze odparli turecki atak. „Choć miejscowi nie mieli wpływu na linię polityczną joannitów, utożsamiają się z ich historią – pisze Potocki. – Skuteczna obrona z 1585 roku, jak każde zwycięstwo z przeważającymi siłami wroga, w dodatku takiego, którego można przestawić jako przeciwieństwo własnych wartości, położyła fundament pod odrodzenie narodowe i do dziś jest powodem do dumy".

Maltańczycy są dumni także z tego, że na wyspę przybył – jako rozbitek – apostoł Paweł z Tarsu, i uważają się za pierwszy chrześcijański kraj. To wydarzenie upamiętnia coroczna festa w parafii św. Pawła Rozbitka w Vallettcie. Festom organizowanym przez parafie autor poświęca jeden z rozdziałów (wiedzę praktyczną na ten temat zdobył, odwiedzając takie uroczystości organizowane w Munxar i Mqabbie). A że nieodłącznym elementem fest są fajerwerki, wybrał się do ich fabryki.

Dziś 9 na 10 Maltańczyków wierzy w Boga, w znakomitej większości są to katolicy, jednak na msze przychodzi mniej niż 40 proc. wiernych. Zdaniem Trevora Żahry „większości religia już nie obchodzi, lecz mimo to jej potrzebujemy. Kultura europejska jest tak mocno sprzężona z chrześcijaństwem, że nie da się oddzielić jednej od drugiej. Jak można zrozumieć Dantego bez znajomości tradycji chrześcijańskich? Pójść do Kaplicy Sykstyńskiej i nie wiedzieć, na co się patrzy? Powinniśmy uczyć dzieci chrześcijańskiej kultury, by mogły ją w pełni docenić. Bez tej wiedzy nasza kultura upadnie".

Malta ma rygorystyczne przepisy zakazujące aborcji, z wyłączeniem przypadku, gdy jest zagrożone życie matki. A jednocześnie zalegalizowano tam związki jednopłciowe z prawem do adopcji dzieci (to wyspiarskie państwo ma pierwsze miejsce w rankingu równouprawnienia osób LGBT w UE).

Malta stała się jednym z celów nielegalnych migrantów, ale współpraca z Libią pozwoliła ograniczyć ich napływ. Autor zwraca uwagę na znaczną, jednak kontrolowaną, migrację zarobkową, z ograniczonymi czasowo kontraktami i zakazem sprowadzania rodzin. W 2025 r. tacy migranci stanowili 30 proc. ludności. Są to w kolejności: Włosi, Brytyjczycy, Hindusi i Filipińczycy.

Wśród turystów na trzecim miejscu – po Brytyjczykach i Włochach – uplasowali się Polacy. Turyści dają Malcie do 30 proc. PKB, a co piąty Maltańczyk jest związany z branżą turystyczną. „Gdy opublikowano dane za pierwszy kwartał 2025 r. w prasie znów rozpętała się regularnie powracająca dyskusja o tym, gdzie jest sufit, po którego przebiciu wyspy eksplodują od namiaru gości" – pisze Potocki i przywołuje opinię Tony'ego Zahry, prezesa Stowarzyszenia Hoteli i Restauracji Malty, który mówi: aby uzyskać 80 proc. obłożenia miejsc hotelowych – tak było przed pandemią – potrzeba 4 mln 700 tys. turystów. Ale czy Malta jest w stanie przetrwać ich przyjazd? – pyta Zahra. ©℗

Tomasz Stańczyk

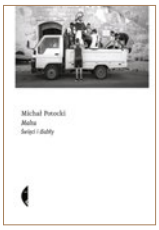

MICHAŁ POTOCKI
„MALTA. ŚWIĘCI I DIABŁY"
WYDAWNICTWO CZARNE

eprasa.pl 5608f5901c

Dzielne, cnotliwe i bezbożne

W 1187 r., po przegranej przez wojska krzyżowców bitwie pod Hittin, wojska Saladyna oblegały Jerozolimę. Obrońcy świętego miasta byli w beznadziejnej sytuacji, choć wciąż liczyli na cud i łaskę Opatrzności, która uratuje ich przed gniewem wrogiego wodza. Wśród obrońców pochodzących z różnych stron świata była pewna kobieta: pochodząca z Anglii Margaret, która przybyła do Ziemi Świętej na pielgrzymkę, zresztą śladem swoich rodziców (którzy właśnie w tym miejscu ją spłodzili). Choć może to zakrawać na cud, to po drodze Margaret udało się uniknąć licznych, czyhających na nią niebezpieczeństw, ale za to w Jerozolimie trafiła w sam środek wielkiej wojny. Jak później relacjonowała swojemu bratu, zacnemu cysterskiemu mnichowi, walczyła na murach u boku mężczyzn, dając odpór najeźdźcy.

Dla wielu czytelników ta historia może się wydawać nieprawdopodobna, lecz wydarzyła się naprawdę. Aż 50 takich opowieści zgromadziła w swojej książce Anna Brzezińska. Każda jest osadzona w realiach sprzed lat, a szeroko wyjaśniony kontekst zdarzeń pozwala lepiej zrozumieć sedno opowieści.

Ta publikacja to zdecydowanie więcej niż popularne w pewnych kręgach „herstory". Opowieści wyłuskane przez autorkę z kronik czy też sądowych akt to bardzo potrzebne wypełnienie luk w polskiej literaturze dotyczącej dziejów średniowiecza. Autorka udowadnia, że każda żyjąca w średniowieczu kobieta była inna i każda (nie tylko święta czy królowa) ma do opowiedzenia ciekawą historię. Choć żyły w czasach, w których panowały określone zasady, nie można mówić, że wszystkie niewiasty były tylko dodatkami do mężczyzn. Wiele z nich głośno (co notowano w źródłach) wyrażało swoje zdanie, procesowało się z mężami, a nawet innymi kobietami, prowadziło własne biznesy i realizowało swoje zamierzenia. I to wcale niekoniecznie idąc od razu pod prąd społecznym konwenansom.

Trudno się oderwać od kolejnych rozdziałów. Zapewne każdy czytelnik z zaciekawieniem będzie czekał na następną opowieść, w której dowie się, co też nietypowego (czy raczej stojącego w poprzek wszystkim stereotypom o średniowieczu) „zmalowała" kolejna „zwykła" średniowieczna kobieta. ©℗

Anna Szczepańska

ANNA BRZEZIŃSKA
„CIERPLIWE GENOWEFY, BEZWSTYDNE MAGDALENY. PRZEWODNIK PO ŚREDNIOWIECZU ZWYKŁYCH KOBIET"
MARGINESY

Mare Nostrum w ogniu

Ta książka to historyczna podróż po niespokojnym, pełnym trupów i rozbitych okrętów Morzu Śródziemnym, o które w XVI w. boje toczyły największe potęgi Europy. Na olbrzymich przestrzeniach morskich między Gibraltarem a Cyprem światy islamu i chrześcijaństwa zwarły się w walce na śmierć i życie. Apogeum zmagań była słynna bitwa pod Lepanto, jedna z najkrwawszych batalii morskich, w której krzyż zatriumfował nad półksiężycem. Jednak nawet wtedy Imperium Osmańskie nie porzuciło marzeń o dominacji nad Mare Nostrum… ©℗

Piotr Włoczyk

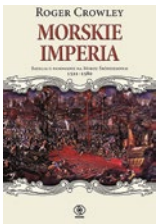

ROGER CROWLEY
„MORSKIE IMPERIA"
REBIS

W sieci intryg

Po „Wielkich zdrajcach…" Sławomira Kopra przyszedł czas na książkę o kontrowersyjnych losach kobiet wpływających negatywnie na dzieje Polski.

Wykorzystując swoją urodę, wykształcenie i liczne koneksje, polskie matrony nie bały się podejmować decyzji niemoralnych czy wręcz zdradzieckich. Licznymi intrygami próbowały wpływać na mężów, a ich motywacje i sposoby działania nie były podyktowane czystą złośliwością. Często kierowały się walką o przetrwanie i pragmatyzmem, chciwością i ślepym fanatyzmem. Niektóre z nich, poślubione zazwyczaj wbrew własnej woli, działały pod wpływem skrajnej zależności emocjonalnej od męża. Czasem oznaczało to, że były gotowe nawet szkodzić własnemu narodowi.

Oskarżano je o udział w dworskich intrygach, szpiegostwo, liczne romanse, a także niepohamowane ambicje. Mimo to często unikały odpowiedzialności za swoje czyny. Ich ostateczną karą były niesława i napiętnowanie czarną legendą.

Autor unika kategorycznego przedstawiania opisywanych postaci, pozostawiając czytelnikowi ich ostateczną ocenę. Uwzględnia przy tym wszystkie odcienie szarości życiorysów polskich zdrajczyń. Skupia się na psychologizacji postaci, ówczesnej obyczajowości, zachowując kontekst epoki, a także na prywatnym życiu bohaterek. Ma też na uwadze ograniczone prawa kobiet w opisywanych epokach, które być może miały wpływ na ich dramatyczne wybory. ©℗

Anna Zalewska

SŁAWOMIR KOPER
„POLSKIE ZDRAJCZYNIE. PIĘKNE, OKRUTNE I ZŁE"
FRONDA

eprasa.pl 5608f5901c

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Jałta–bis

W 2009 r. Hillary Clinton, sekretarz stanu przy prezydencie Baracku Obamie, podczas spotkania w Genewie wręczyła rosyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych Siergiejowi Ławrowowi symboliczny czerwony przycisk z napisem, który, w jej przekonaniu, znaczył po rosyjsku „reset" (w jej przekonaniu, bo podobno przez pomyłkę zamiast „pierezagruzka", czyli właśnie reset, na przycisku napisali Amerykanie „pieregruzka" – przecią-żenie). Ten symboliczny prezent miał wyznaczyć nową erę w stosunkach USA i Rosji. Nie wszystko wtedy ujawniono, ale dziś wiemy z całą pewnością: istotą owego „resetu" miało być przyjęcie przez Rosję statusu mocarstwa regionalnego, sprzymierzonego z USA w ramach bloku antychińskiego. Ameryka zaoferowała w ten sposób Moskowii miejsce wśród państw Zachodu.

Co była gotowa zaoferować jej w zamian za przejście do swojego obozu? To samo, co zaproponowała Stalinowi w Teheranie w 1943 r.: nas. Plan wyglądał mniej więcej tak: USA wycofują się z Europy i zwolnione w ten sposób siły przenoszą na kluczowy dla nich Pacyfik, by wzmocnić swoje szanse w nieuchronnej konfrontacji z Chinami. Pieczę nad Europą biorą na siebie Niemcy. Ale że są one w oczywisty sposób zbyt słabe, by temu zadaniu podołać, będą sprawować hegemonię, według starej koncepcji Bismarcka, opartą na Rosji.

Niemcom ten pomysł bardzo się podobał – rzecz jasna, przecież to ich stary pomysł. W uwspółcześnionej wersji oparcie się na Rosji miało polegać przede wszystkim na korzystaniu z jej tanich surowców energetycznych. Pod pozorem „ratowania planety" wszystkie kraje Unii Europejskiej miały zrezygnować z elektrowni atomowych, węglowych i opalanych ropą, na rzecz energii „zielonej" – głównie wodorowej. Wodór mieli u siebie wytwarzać Rosjanie ze swojego gazu i przesyłać do Niemiec dwoma rurociągami pod Bałtykiem. Znaczące jest to, że takie same rurociągi, puszczone lądem przez – sojusznicze i należące do UE – kraje bałtyckie i Polskę byłyby 10 razy tańsze. Ale Niemcy woleli przepłacić i zbudować droższą i stanowiącą zagrożenie ekologiczne magistralę pod Bałtykiem (tzw. rosyjska część kosztów została pokryta z kredytu w niemieckich bankach, tak więc Moskwa nie wyłożyła na inwestycję ani grosza). „Myk" z wodorem polegał na tym, że miał on być wytwarzany w Rosji. Zasadniczo nie ma to sensu – uzyskuje się mniej energii, a wytwarza więcej CO_2, niż gdyby spalić bezpośrednio ten gaz. Ale produkcja wodoru miała być poza UE i jej normami, a w UE jedyny kurek do niego byłby w Berlinie. A dopóki nie rozwinięto technologii wodorowej, dopóty to kurek do zwykłego gazu. Następca Obamy, Biden, deal oraz nordstreamy pobłogosławił… I wtedy Putin się zbiesił.

Ameryka oprócz marchewki miała też kij – Ukrainę. Dozbrajała ją i szkoliła jej armię, żeby Putin wiedział, że albo, albo… Oczywiście, wielu nie uwierzy, że USA mogłyby Ukrainę sprzedać, gdyby Putin przyjął ofertę odwrócenia przymierzy. O wierze trudno dyskutować. Zresztą – po co? Putin chciał mieć wszystko i kilka miesięcy po „klepnięciu" przez Bidena nordstreamów zaatakował Ukrainę „pełnoskalowo". I jest, jak jest…

To znaczy: Jałta bis nie doszła do skutku. Dziękujmy więc Bogu, że w tym historycznym momencie Moskowią rządził Putin, a nie ktoś, kto przyjąłby amerykańską ofertę. ©℗

/ **Dla wielu źle to zabrzmi, ale powinniśmy dziękować Bogu za Putina. Bo gdyby Rosją rządził ktoś bardziej racjonalny – byłoby już po nas**

eprasa.pl 5608f5901c

/ Felieton

Piotr Semka

Nieoczywistości 1968 r.

Obóz konserwatywny wkładał od lat 90. bardzo dużo wysiłku w demitologizowanie lewicowej rewolty młodzieżowej 1968 r. Nie działo się to przypadkiem. Właśnie na przełomie wieków XX i XXI konserwatyści zaczęli wyraźnie dostrzegać, jak bardzo wyłoniona przez tę rewoltę generacja zmieniła Europę, a zwłaszcza Unię Europejską.

Jeśli połączyć to z wiedzą uzyskaną po upadku ZSRS, na temat tego, jak bardzo sowieckie służby wspierały wszelkie polityczne wstrząsy na Zachodzie, to można dojść do wniosku, że rewolta 1968 r. była za żelazną kurtyną przedstawiana z entuzjazmem.

A jednak cała sprawa była znacznie bardziej skomplikowana.

Komunistyczni korespondenci w Londynie, Paryżu czy we Frankfurcie opisywali ówczesny kryzys jako efekt sprzeczności kapitalizmu. Ale bynajmniej nie zachwycali się takimi wodzami rewolty jak Rudi Dutschke czy Daniel Cohn-Bendit.

Doskonałą ilustracją tego nieufnego stosunku do rewolty '68 jest książka, która wpadła mi niedawno w ręce. To „Paryskie ABC" pióra Augusta Grodzickiego, który w latach 60. przebywał w Paryżu jako korespondent „Życia Warszawy".

Ironiczny ton, którym opisuje on ówczesną falę kontestacji, pokazuje, jak nieufnie komunistyczne media patrzyły na ten ruch.

Grodzicki tak opisuje w końcu lat 60. ulice paryskiej dzielnicy Saint-Germain-des-Prés: „Cały ten świat w nocy wiruje, gada, śmieje się, krzyczy. Samochody warczą. Przez otwierane drzwi piwnic dyszy jazz i wylatują strzępy śpiewu [...]. Na ulicy Saint-Benoît, dosłownie na ulicy, przy długim szeregu stolików restauracyjnych je się kolację w świetle świec w lichtarzach, a złota młodzież płata na jezdni psie figle bardzo hałaśliwe i nie zawsze dowcipne".

Autor tłumaczył dalej PRL-owskim czytelnikom: „Turyści przychodzą tu masowo, by zobaczyć tych młodych ludzi, wysiadujących w knajpach z miną znudzoną i cyniczną, ładne dziewczęta z ekscentrycznymi fryzurami, bogatych paniczyków i nie wiadomo z czego żyjących niebieskich ptaków, cyganerię artystyczną i krążących wokół niej snobów. A poza tym zresztą »normalnych« ludzi przyglądających się temu trochę śmiesznemu i trochę dziwnemu światkowi".

PRL-owski korespondent nie gryzł się w język, opisując „młodzież próżniaczą (a także niemłodzież) o niedoważonym mózgu, pustym sercu, zajętą alkoholem i naskórkowymi miłostkami". Za przykład tego rodzaju życia dziennikarz uznawał Annabel, autorkę powieści „Comme tout le monde". Pod tym pseudonimem ukrywała się piosenkarka i modelka Annabel Buffet. Jak wyjaśnia Grodzicki: „Autorka zanotowała w swojej książce fakty z kroniki towarzyskiej, a raczej łóżkowej [...]. Wszyscy – absolutnie wszyscy – kochają się tu ze wszystkimi – absolutnie wszystkimi. Miłość jest traktowana jako rodzaj przyjemnej gimnastyki i w dodatku zawsze w oprawie dużych pieniędzy. Inaczej nie istnieje".

Bardzo ciekawy, choć już nieco zapomniany, jest ten PRL-owski styl pisania o fermencie seksrewolucji obyczajowej, który doprowadził do rewolty 1968 r. Była w tych kąśliwościach żurnalistów wiernych marksistowskiej ideologii wyczuwalna nuta zaniepokojenia. Komunistyczni korespondenci wychowani na walce klas i kulcie proletariatu z zaskoczeniem obserwowali, że zupełnie nowe wyzwanie rzucają burżuazyjnemu społeczeństwu rozpieszczeni przedstawiciele bananowej młodzieży.

Trafnie też zauważali, że ta kontestacja odbywa się pod hasłem wyzwolenia obyczajowego i niewiele obchodzi jej heroldów los ludzi, którzy naprawdę nie mają co włożyć do garnka. Jedyne, w czym mylili się ludzie tacy jak Grodzicki, to siła i skala wpływu rewolty '68. W latach 60. postrzegali ją jako błazenadę, która nie wpłynie znacząco na spodziewany bunt mas francuskich pod wodzą tamtejszej partii komunistycznej.

Dziś widać, że niewiele zrozumieli oni z logiki dziejów. Idealizowana w ich teksach klasa robotnicza w ciągu kolejnych trzech dekad przejdzie do szeroko rozumianego obozu socjalistów i partii zielonych. A francuscy komuniści przetrwają w formie politycznych dinozaurów.

Na marginesie warto zauważyć, że w tym obrzydzeniu do młodzieży z Saint-Germain-des-Prés widać wiele starego, dobrego drobnomieszczańskiego ducha. Nawet mając w kieszeni legitymację korespondenta „Trybuny Ludu" czy „Życia Warszawy", wysłannicy z Warszawy nie potrafili przestać się dziwić społeczności, gdzie każdy sypiał z każdym, i to w dowolnej kombinacji. Jakaż to zmiana w porównaniu z późniejszą generacją dziennikarzy wychowanych przez „Gazetę Wyborczą"... ©℗

eprasa.pl 5608f5901c

Od starożytności do współczesności / Kiedy wygrana grozi klęską

Nikola Zrinski broni Szigetváru. Obraz Bertalana Székelyego FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM DERI

Śladami Pyrrusa

Grzegorz Janiszewski

Król Epiru zapisał się na kartach historii zwycięstwami okupionymi tak wielkimi stratami, że faktycznie były one porażkami. Później wielu dowódców powtarzało jego błędy, co często pozwalało ich przeciwnikom osiągnąć strategiczne cele

Armenia w V w. n.e. była państwem już od dwóch stuleci chrześcijańskim. Znajdowała się wówczas między dwoma imperiami – Rzymem i irańskim państwem Sasanidów – które zawzięcie ze sobą rywalizowały o pozycję w regionie. Ze względu na krzyżujące się tam szlaki z Europy, Azji Centralnej, Bliskiego Wschodu, Arabii i Afryki Północnej Armenia była kluczem do panowania na obszarze między morzami Czarnym, Śródziemnym i Kaspijskim. Przynosiła Persom duże dochody podatkowe i dawała najlepszą jazdę, wykorzystywaną w służbie zarówno Persji, jak i Bizancjum. Za Sasanidów oficjalną religią imperium stał się zaratusztrianizm. Inne wyznania były prześladowane. W latach 30. V w. perski władca Jezdegerd II postanowił całkowicie pozbawić Armenię niezależności, a z Ormian uczynić czcicieli ognia.

Kiedy sasanidzkie władze zmieniły chrześcijański kościół w przygranicznym mieście Anh w świątynię Zaratustry, wybuchło powstanie, które szybko rozprzestrzeniło się na resztę Armenii. W odpowiedzi, w kwietniu 451 r. Persowie ruszyli na Ormian z ok. 200-tysięczną armią. Dowodził nią Muszkan Nusalawurd, prowadząc ze sobą słonie bojowe i słynny pułk „nieśmiertelnych". Ormianie zebrali ok. 60 tys. żołnierzy pod dowództwem sparapeta (tytuł najwyższego dowódcy wojskowego) Wardana Mamikoniana. Za broń chwycili wszyscy, którzy potrafili ją nosić, także starcy, kobiety i dzieci. 21 maja obie armie spotkały się na równinie Awarajr, w okolicach dzisiejszego Nachiczewanu. Widząc ogromną przewagę Persów, Mamikonian postanowił zadać im jak największe straty, a potem się wycofać i przejść do wojny partyzanckiej.

O wschodzie słońca łucznicy obu stron zaczęli ostrzał. Potem do boju weszła lekka kawaleria. Ormianie zdołali rozbić prawą flankę Persów i uderzyć na centrum wroga, rozrywając szyki nieśmiertelnych i przeganiając bojowe słonie. Persowie początkowo zaczęli się cofać, mieszając szyki. Wkrótce jednak przeformowali je, a przewaga liczebna i słonie bojowe przechyliły szalę zwycięstwa na ich stronę. Podczas trwającej cały dzień bitwy zginął Mamikonian i wielu ormiańskich dowódców. Persowie ponieśli ogromne straty – ok. 130 tys. zabitych i rannych. Ormianie stracili tylko 38 tys. ludzi. Po naradzie wojennej przeszli do organizacji partyzantki opierającej się na sieci trudno dostępnych górskich twierdz.

Przetrzebiona perska armia nie była w stanie ich pokonać. Ustał strumień pobieranych z prowincji podatków i skończyły się ormiańskie posiłki wojskowe. W końcu nowy szachinszach Peroz I, gdy zobaczył nieustępliwość Ormian w obronie wiary, odstąpił od ich przymusowego nawracania. Traktatem z Nwarsak z 481 r. Persowie zagwarantowali Ormianom wolność religii i budowania kościołów, a także amnestię dla powstań-

eprasa.pl 5608f5901c

ców. Miedzy innymi dzięki perskiemu pyrrusowemu zwycięstwu pod Awarajr Armenia zachowała swoją kulturę i tożsamość, stając się później jedną z chrześcijańskich wysp na islamskim morzu.

Bitwa pod Awarajr. Rycina z XV w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Janczarzy na beczce prochu

Sulejman Wspaniały swoje legendarne panowanie rozpoczął od zdobycia Belgradu w 1521 r. Pięć lat później pod Mohaczem pokonał Ludwika II. Węgry zostały podzielone między Habsburgów a Turków. Rozpoczęła się seria kampanii, których celem było zdobycia Wiednia. Droga do Europy stanęłaby wtedy przed muzułmanami otworem. Po 45 latach ponad 70-letni sułtan znowu wyprawił się na cesarską stolicę, ponieważ liczył na ostateczne zwycięstwo. Drogę zagradzały mu twierdze Gyula, Eger i Szigetvár. Sułtan zdecydował się na oblężenie tej ostatniej. Dowódcą obrony był Chorwat Nikola Zrinski, weteran walk z Turkami, który dobrze przygotował ją do obrony. Sprowadził zboże, dodatkowe działa, kule i proch. Zaciągnął tysiąc najemników, prawie podwajając liczebność załogi, która teraz liczyła 2,5 tys. żołnierzy.

Turcy podeszli pod twierdzę na początku sierpnia 1566 r. Było ich ok. 100 tys. Ciągnęli od 200 do 300 dział. Ich ostrzał poczynił tak wielkie szkody, że Zrinski 9 września kazał wycofać żołnierzy z pierwszej linii murów. 19 września obrońcy zostali wyparci na starówkę, atakowaną z czterech stron. Zrinski liczył na odsiecz i odmawiał poddania fortecy. W tym czasie w swoim namiocie pod oblężonym Szigetvárem zmarł Sulejman. Wielki Wezyr Sokollu Pasza kazał zachować to w tajemnicy, żeby nie demoralizować żołnierzy. Nie wiedzieli też o tym obrońcy.

Janczarzy osuszyli bagna i zaczęli kopać tunele minerskie pod murami starówki. 5 września wysadzili spory kawałek murów, a wiejący z południa wiatr rozniósł po mieście pożary. Zrinski z 500 obrońcami wycofał się do wewnętrznej cytadeli, zostawiając pozostałych na pastwę muzułmanów, żeby osłonić odwrót. Dwa dni później Turcy podpalili cytadelę, w której i tak nie było już żywności ani amunicji. Zrinski otrzymał ofertę kapitulacji, ale kazał na nią odpowiedzieć moździerzową salwą z kartaczy, która zabiła ponad 600 janczarów. Potem w odświętnym ubraniu, z szablą i tarczą, którą dostał w spadku po swoim ojcu, stanął przed swoimi żołnierzami i zwrócił się do nich: „Wyjdźmy z tego płonącego miejsca i stańmy naprzeciwko wrogów. Kto zginie – stanie przed Bogiem. Kto przeżyje – zostanie uhonorowany. Ja pójdę pierwszy, a wy za mną. I niech Bóg będzie mi świadkiem, nigdy was nie opuszczę, moi bracia i rycerze!”. Potem na czele swoich żołnierzy ruszył konno przez bramę na Turków. Kula wystrzelona z janczarskiej strzelby szybko trafiła go prosto w głowę. Jego towarzysze walczyli dzielnie, ale wkrótce zostali wybici prawie do nogi.

Turcy stracili ok. 30 tys. żołnierzy, w tym 5–6 tys. janczarów. Co ciekawe, prawie połowa z nich zginęła, bo uwierzyła w plotkę o skarbie ukrytym w twierdzy. Zamiast niego Zrinski zostawił beczki z prochem z wolno tlącym się lontem, które wysadziły w powietrze poszukiwaczy. Takie straty połączone ze śmiercią sułtana spowodowały, że Turcy musieli porzucić plany zdobycia Wiednia i się wycofać. Wojnę zakończył pokój w Adrianopolu w 1568 r., potwierdzający zdobycze stron. Turcy stanęli pod Wiedniem dopiero 115 lat później.

Nikola Zrinski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WĘGIERSKIE MUZEUM NARODOWE

Rujnująca siła fortyfikacji

W połowie XVI w. Niderlandy w wyniku habsburskich machinacji dynastycznych stały się częścią Hiszpanii. „Nowoczesnym” protestantom z Antwerpii czy Rotterdamu, którzy palili swoje czarownice i robili bajeczne pieniądze na zamorskim handlu, nie w smak było podlegać „obskuranckiej” katolickiej władzy z jej inkwizycją i płacić podatki na wojny Filipa II Habsburga – „Szatana Południa”, jak go nazywali. W 1568 r. między Hiszpanią a północnymi prowincjami Niderlandów wybuchła wojna.

Walki toczyły się ze zmiennym szczęściem przez ponad 30 lat, kiedy w lipcu 1601 r. pod murami Ostendy stanęły wojska arcyksięcia Albrechta Austriackiego. Miasto było ostatnią niezdobytą przez Hiszpanów twierdzą na flamandzkim wybrzeżu Morza Północnego. Obrońcy dobrze je przygotowali. Otaczał je podwójny pierścień bastionów i wałów, między którymi ciągnęły się fosy połączone z morzem. Na okolicznych bagiennych terenach wykonano potężne budowle fortyfikacyjne, połączone z kanałami irygacyjnymi, znacznie utrudniające podejście do miasta i prowadzenie oblężenia. Zaopatrzenie, mimo hiszpańskiej blokady morskiej, było dostarczane holenderskimi statkami.

Po przybyciu angielsko-holenderskich posiłków, siły obrońców zwiększyły się do ok. 3,6 tys. żołnierzy. Hiszpanie mieli tymczasem ok. 20 tys. żołnierzy i 50 dział. Po opanowaniu okolic twierdzy

eprasa.pl 5608f5901c

Pieter Snayers, „Oblężenie Ostendy"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PRINSERHOF

przystąpili do ataków na Bastion Piaskowy, chroniący Stary Port na północno-zachodnich krańcach miasta. Kule wystrzeliwane z rozmieszczonych na wydmach dział nie czyniły dużych szkód w ziemnych fortyfikacjach, a kolejne szturmy załamywały się w ogniu obrońców. Jednak choroby i ostrzał czyniły wśród nich spustoszenie. Pod koniec roku zostało ich już mniej niż 3 tys. Dowodzący obroną Francis Vere rozpoczął negocjacje w sprawie poddania twierdzy. Zerwał je jednak zaraz po przybyciu posiłków. Wściekły Albrecht na początku stycznia 1602 r. zarządził szturm generalny. Korzystając z odpływu, Hiszpanie zaatakowali Stary Port, przechodząc osuszonym kanałem w kierunku Bastionu Piaskowego. Holendrzy przywitali ich huraganowym ogniem z dział, zmuszając do wycofania. Wtedy Vere kazał otworzyć śluzy, które zalały kanał wodą. Setki Hiszpanów, którzy nie zdążyli uciec, prąd porwał do morza. Vere kazał zamknąć śluzy, a kiedy opadła woda, wydał rozkaz do ataku. Zdezorganizowani Hiszpanie stracili wówczas jedną czwartą swoich sił. Ta klęska sprawiła, że przez resztę roku nie szturmowali już miasta, ograniczając się do ostrzeliwania go z wybudowanych na wydmach wysokich platform.

Ponieważ Albrecht nie mógł zniszczyć ziemnych umocnień, zdesperowany zatrudnił przysłanego przez papieża Klemensa VIII włoskiego inżyniera wojskowego i wynalazcę, Pompeo Targone, żeby znalazł sposób na obrońców. Targone zbudował m.in. wielkie drewniane boje do forsowania kanału portowego Geule, drewnianą groblę do jego osuszenia, ruchome szańce na kołach, a nawet pływające platformy artyleryjskie, jednak wysiłki te nie przyniosły przełomu. Po dwóch latach oblężenia dowództwo nad Hiszpanami objął Genueńczyk Ambrosio Spinola, który przybył z 8 tys. posiłków. Spinola nigdy nie dowodził wojskiem, całą swoją wiedzę czerpał z książek. Jego umiejętności i energia okazały się jednak zaskakująco skuteczne. Zamiast szturmów, kazał metodycznie niszczyć umocnienia ogniem artylerii.

Atak przypuścił dopiero wiosną 1604 r., kiedy sztormy zniszczyły część umocnień. Nacierającym udało się zdobyć zewnętrzny pierścień umocnień. Hiszpańscy żołnierze wolno posuwali się w kierunku wnętrza twierdzy. Obrońcy w północno-zachodniej jej części wznieśli umocnienia ostatniej szansy zwane „Nową Troją". Z braku ziemi i cegieł wykorzystali do ich budowy również ciała poległych towarzyszy. W czerwcu Hiszpanie opanowali już większość starych umocnień. Sztormy, do których doszło w końcówce lata 1604 r., podmyły umocnienia Nowej Troi i uniemożliwiły dostarczanie posiłków. Kiedy Hiszpanie w końcu zdobyli Bastion Piaskowy, sytuacja obrońców stała się dramatyczna. Twierdza została poddana 20 września 1604 r. na honorowych warunkach. Hiszpanie stracili podczas oblężenia 60–80 tys. żołnierzy. Miasto zostało prawie doszczętnie zniszczone.

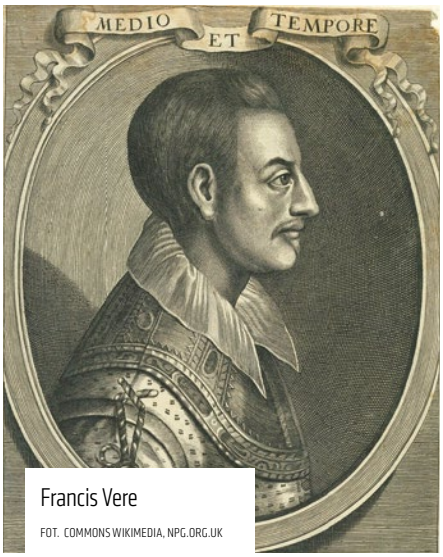

Francis Vere

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NPG.ORG.UK

Jednak skorzystawszy z zaangażowania Hiszpanów w oblężenie, Holendrzy zdobyli kilka innych miast, w tym portowe Sluis, które z powodzeniem zastąpiło Ostendę. Koszty kampanii obciążyły hiszpański skarb do tego stopnia, że w 1607 r. Filip III musiał ogłosić bankructwo królestwa i rozpocząć rokowania z niderlandzkimi prowincjami. W 1609 r. zawarto 12-letni rozejm, który pozwolił Niderlandom odetchnąć i doczekać do wybuchu wojny 30-letniej. Ostatecznie uzyskały one niepodległość na mocy kończącego tę wojnę traktatu westfalskiego z 1648 r.

Ruiny zamiast krainy

Vukovar leży w pobliżu dawnej Vojnej Krajiny, Pogranicza Wojskowego, ciągnącego się wzdłuż granic Chorwacji i Węgier z osmańską Turcją. Habsburgowie osiedlali tam wojowniczo nastawionych osadników, żeby chronili granicy przed Turkami. W mieście żyli przybysze z różnych stron Europy. Oprócz miejscowych Chorwatów także Serbowie, Niemcy, Żydzi i Węgrzy. W przedwojennej Jugosławii między Serbami a Chorwatami panowały napięcia zakończone podczas wojny rzeziami dokonywanymi przez obie strony. Jugosławia Tity zamroziła stare konflikty, miasto było przywoływane przez władze jako przykład powojennego „braterstwa i jedności". Jednak w obliczu rozpadu państwa stare demony odżyły z nową siłą.

eprasa.pl 5608f5901c

25 sierpnia 1991 r., dwa miesiące po ogłoszeniu niepodległości przez Chorwację, na miasto spadły pierwsze pociski wystrzelone przez żołnierzy JNA – Jugosłowiańskiej Armii Ludowej – de facto będącej już armią serbską. Chorwaci w tym czasie dopiero organizowali swoje siły zbrojne. W Vukovarze mogli wystawić przeciwko Serbom jedynie 1,8 tys. żołnierzy Gwardii Narodowej, 300 policjantów i 1,1 tys. ochotników zwerbowanych wśród ludności cywilnej. W tym wielu z osiadłych w mieście od pokoleń Serbów. Siły JNA liczyły ok. 36 tys. żołnierzy i członków organizacji paramilitarnych, wyposażonych w artylerię, czołgi i transportery opancerzone. Wspierało ich lotnictwo i okręty dunajskiej Flotylli Rzecznej.

Dowodzący obroną miasta byli oficerowie JNA, Mile Dedaković i Branko Borković, opracowali sensowny plan. Podzielili miasto na sześć stref i przydzielili je konkretnym oddziałom. Wobec przewagi serbskiego lotnictwa komunikacja między nimi miała się odbywać kanałami i rowami melioracyjnymi.

Sytuacja była patowa. Serbowie nie mieli zamiaru wchodzić do miasta, ponieważ liczyli się z dużymi stratami. Zaczęli więc ostrzeliwać Vukovar artylerią, licząc na zmęczenie obrońców. Ci nie mogli z kolei liczyć na odsiecz. Ważniejsze były przygotowania do nadchodzącej wojny w Bośni. Do Vukovaru wysłano niewielkie ilości broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej. Obrońcy byli wyposażeni głównie w broń myśliwską.

Przez cały wrzesień serbskie oddziały ograniczały się do ostrzeliwania miasta. Dopiero pod koniec miesiąca z Belgradu przybyła brygada pancerna, która okrążyła miasto szczelnym pierścieniem. Próby zdobycia Vukovaru, prowadzone do końca października, nie przynosiły jednak efektów. Obrońcy skutecznie bronili się za pomocą min przeciwpancernych i zasadzek organizowanych wśród ruin. Serbowie stracili w ten sposób ponad 100 pojazdów. Problemem były też zbyt szczupłe siły piechoty, które nie pozwalały na skuteczną ochronę czołgów. Żołnierze z poboru dezerterowali, odmawiali walki, urządzali głosowania nad powrotem do domu albo siadali na ziemi, śpiewając „Give peace a chance" Lennona. Paramilitarni czetnicy nadawali się tylko do wyłapywania uciekinierów i urządzania rzezi na jeńcach i cywilach.

Zniecierpliwieni Serbowie wzmagali ostrzał. Na miasto spadało ponad 12 tys. pocisków dziennie. Obrońcy, wyparci z dwóch pierwszych linii, ukrywali się w schronach atomowych z czasów zimnej wojny. W listopadzie Vukovar był już niemal doszczętnie zniszczony. Serbowie nie oszczędzali domów i szpitali. 16 listopada przypuścili szturm generalny, zajmując ulicę po ulicy i dom po domu. Siły chorwackie w obliczu tragicznej sytuacji związanej z wyczerpywaniem się zapasów amunicji, wody i brakiem możliwości zapewnienia opieki nad rannymi dwa dni później zdecydowały się na kapitulację. Serbowie urządzali selekcję ludzi wychodzących z kryjówek, decydując, kto przeżyje, a kto nie. Urządzili też masakrę pacjentów z miejscowego szpitala, pędząc ich na świńską fermę Ovčara, gdzie po długich torturach zamordowano ponad 200 osób. Nieserbską ludność wywieziono z miasta, które włączono do samozwańczej Republiki Serbskiej Krajiny.

Czołg zniszczony przez obrońców Vukovaru

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PIOTR DENTON

Prawie trzymiesięczne oblężenie Vukovaru wyczerpało siły i zasoby JNA i uświadomiło serbskim przywódcom, że kontynuowanie wojny z Chorwacją nie jest możliwe bez totalnej mobilizacji społeczeństwa i gospodarki, co łatwo mogło się skończyć zapaścią państwa. „Zwycięstwo" w bitwie o Vukovar stało się punktem zwrotnym wojny. Chorwaci zyskali czas na organizację swoich sił zbrojnych, JNA wytraciła impet, który w innym przypadku mogła wykorzystać do natarcia w głąb Chorwacji, morale jej żołnierzy spadło. Ponadto niemal całkowite zniszczenie miasta pogrążyło Serbów w oczach opinii międzynarodowej. Z kolei wśród Chorwatów tragedia mieszkańców miasta pozwoliła stworzyć mit „chorwackiego Stalingradu" i zjednoczyć naród pod jednym sztandarem. Vukovar pozostał pod Serbską władzą do 1998 r., a potem na mocy porozumienia z Erdut wrócił do Chorwacji.

Pyrrusowym zwycięstwem jest też z pewnością obecna wojna Rosji z Ukrainą. Mimo że jej wynik jest jeszcze nieznany, to już dziś można mówić o jednej z największych porażek Rosji w dziejach. Przynajmniej w odniesieniu do celów wojny ogłoszonych przez Putina. Milionowe straty w ludziach, załamanie rosyjskiej gospodarki i zszargany wizerunek znacząco przewyższają zyski, które może jeszcze osiągnąć Rosja. Do tego dołączenie Finlandii i Szwecji do NATO i militarne przebudzenie kontynentu w skali nieznanej od końca zimnej wojny. W czasach internetowych mędrków warto więc wracać do starej, dobrej szkoły prof. Janusza Pajewskiego, zaczynającego wykład o pierwszej wojnie światowej od przedstawienia strategicznych celów, które zamierzały osiągnąć poszczególne państwa. Inaczej nawet największe taktyczne zwycięstwa mogą się okazać jedynie pyrrusowymi.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Armatka systemu Boforsa odnaleziona na Bródnie, niemy świadek walk o stolicę

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Relikty z wrześniowych pobojowisk

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Kampanią 1939 r. zajmuje się liczne grono profesjonalnych historyków oraz wielu entuzjastów, którzy penetrują pobojowiska. Dzięki współpracy eksploratorów, archeologów i muzealników udało się odnaleźć i udostępnić publiczności wiele bezcennych pamiątek

Już w okresie gomułkowskiej odwilży zaczęto dokumentować przebieg zmagań 1939 r. oraz poszukiwać i zabezpieczać militaria związane z WP. Były to działania bardzo potrzebne, ponieważ materialnych śladów – zwłaszcza tych w dobrym stanie zachowania – przetrwało relatywnie mało. Gros sprzętu przejęli po walkach Niemcy i Sowieci, którzy albo wykorzystali go do własnych celów, albo przekazali sojusznikom. To, co ukryto przed kapitulacją, zasiliło potem arsenał konspiracji i zużyło się podczas okupacji. W tej sytuacji destrukty z pobojowisk bywały często jedynymi pamiątkami eksponowanymi w muzealnych gablotach.

Armatka i sztandary

Miały one za to bezcenny kontekst historyczny, jak np. armata kal. 37 mm systemu Boforsa znajdująca się w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Wydobyto ją w 1979 r. w trakcie prac ziemnych przy budowie Szpitala Bródnowskiego. Zachowała się w dobrym stanie technicznym, działały mechanizmy podniesieniowy i kierunkowy, w lufie wciąż tkwił nabój. Informacja o odkryciu armaty, zamieszczona w „Kurierze Polskim", pozwoliła ustalić jej dokładną historię. Na apel pracowników muzeum odpowiedział mjr Stanisław Grudziński, będący w 1939 r. dowódcą kompanii przeciwpancernej 79. Pułku Piechoty Strzelców Słonimskich. Jednostka walczyła w składzie 20. Dywizji Piechoty wsławionej twardą walką pod Mławą, a w nocy z 13 na 14 września wycofała się do Warszawy, podejmując obronę pododcinka „Pelcowizna" na skraju Cmentarza Bródnowskiego. Na przedpole głównej linii obrony wysunięto samodzielne stanowisko plutonu przeciwpancernego dowodzonego przez por. Kazimierza Rachwała (trzy armaty kal. 37 mm). Ogień Boforsów odpierał kilkakrotnie niemieckie ataki i dopiero atak bombowców nurkujących Ju-87 Stuka zniszczył pozycję. Obsługa jednej z armat zginęła, poległ także dowódca plutonu uderzony w głowę odłamkiem bomby lotniczej (szczątki por. Rachwała ekshumowano po 1945 r. i przeniesiono na Cmentarz Wojskowy na Powązkach). Masy ziemi z leju po bombie przysypały stanowisko wraz z działkiem. Odkopano je dokładnie po 40 latach. Armata została rozbrojona w Wojskowym Instytucie Technicznym Uzbrojenia w Zielonce, następnie poddano ją konserwacji w pracowniach MWP.

W ciągu ostatnich trzech dekad poszukiwania reliktów z kampanii 1939 r. zostały zintensyfikowane. Najwięcej emocji przyniosły akcje skupione wokół miejsc ukrycia znaków bojowych WP. Dzięki ponownej analizie dokumentów, wspomnień i relacji, wspartych nowoczesną technologią, zdołano dopisać zakończenie do wielu rozdziałów rozpoczętych ongiś przez Kazimierza Satorę, pracownika MWP i autora legendarnej już dziś książki pt. „Opowieści wrześniowych sztandarów". Odnaleziono m.in. znaki bojowe 13. Pułku Piechoty z Pułtuska, a także 68. Pułku Piechoty z Wrześni czy 4. Pułku Strzelców Podhalańskich

eprasa.pl 5608f5901c

z Cieszyna. Dzieje tych historycznych relikwii są fascynujące, a niekiedy również zagadkowe, jak w przypadku sztandaru 6. Pułku Ułanów Kaniowskich ze Stanisławowa. W trakcie dramatycznych zmagań na przedpolach stolicy grupa oficerów pułku przedarła się do miasta i przekazała płat wraz z głowicą zaufanej rodzinie w celu ich ukrycia. Pułkowy znak szczęśliwie przetrwał okupację. W 1966 r. były żołnierz pułku, rtm. Stanisław Heller, przekazał do MWP głowicę, jednak losy płata pozostawały nieznane. Aż do 2009 r., kiedy to Jan Suzin – legendarny spiker telewizyjny – przekazał za pośrednictwem swojego brata mosiężną tuleję wydobytą z rodzinnego grobowca na Powązkach. Według rodzinnej tradycji wewnątrz miał się znajdować sztandar jednego z oddziałów AK z Wileńszczyzny. Jakież było zdziwienie rodziny oraz pracowników muzeum, gdy z tulei wydobyto poszukiwany od dekad płat 6. Pułku!

Wydobycie reliktów sztandarów stanowi zawsze początek żmudnego i kosztownego procesu konserwacji, zwłaszcza że ich część, schowana pospiesznie we wrześniu 1939 r. lub potem w czasie okupacji, uległa daleko idącym zniszczeniom. Wszystkie są dzisiaj bezcennymi pamiątkami świadczącymi o głębokim przywiązaniu do tradycji nawet w obliczu zagrożenia życia.

Czołgi i samoloty

Z nie mniejszym zaangażowaniem poszukiwano śladów polskiej broni pancernej, która choć nieliczna, dzielnie stawiała czoła niemieckiej potędze w wielu bitwach w 1939 r. „Świętym Graalem" od zawsze był czołg 7TP – najlepsza maszyna w arsenale WP, oparta konstrukcyjnie na brytyjskim Vickersie, ale produkowana w macierzystych zakładach „Ursus" i uzbrojona w doskonałą szwedzką armatę przeciwpancerną kal. 37 mm. Sto kilkadziesiąt tych wozów dowiodło walorów bojowych podczas starć z niemiecką Panzerwaffe. Jak dotąd nie udało się odnaleźć żadnego 7TP ani w kraju, ani za granicą. Z pobojowisk pozyskano jednak dużą ilość części, które grupa entuzjastów wykorzystała do jego wiernej rekonstrukcji. Jeżdżąca kopia, zbudowana w ponad 60 proc. z oryginalnych elementów, od prawie dekady znajduje się w zbiorach MWP.

Dużo większe efekty przyniosły poszukiwania tankietek, małych rozpoznawczych czołgów, które w latach 30. XX w. stały się ikoną motoryzacji WP. Kilkaset tych pojazdów, rozproszonych wśród jednostek piechoty i kawalerii, walczyło na niemal każdym odcinku frontu. Po 1939 r. Niemcy wykorzystywali zdobyczne tankietki w charakterze ciągników na terenie okupowanej Europy Zachodniej. I właśnie stamtąd zaczęły kilka dekad temu wracać do kraju dzięki zaangażowaniu muzeów i prywatnych kolekcjonerów. Niestety, zazwyczaj w stanie bardzo złym i zdekompletowanym. Już w Polsce poddawano je żmudnym zabiegom konserwatorskim, uzupełniając brakujące części i wyposażenie znaleziskami z pól bitewnych. Tankietki można podziwiać w kilku krajowych kolekcjach.

Sztandar 6. Pułku Ułanów Kaniowskich tuż po wydobyciu z tulei, w której schowano go w grobowcu na warszawskich Powązkach

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Nie mniej cennymi są relikty polskich samolotów bojowych z kampanii 1939 r. Tym bardziej że wojnę przetrwał tylko jeden – PZL P.11c, prezentowany w krakowskim Muzeum Lotnictwa. W 2011 r. w Wólce Radzymińskiej pod Warszawą udało się zlokalizować miejsce zestrzelenia i wydobyć wiele fragmentów legendarnego „Łosia" (PZL.37). Wśród najciekawszych i zarazem najcenniejszych znalezisk był lotniczy rkm „Szczeniak" (jedyny znany egzemplarz), a także doskonale zachowana goleń podwozia i cylinder z silnika. Niestety, nie wszystkie odnalezione przedmioty udało się ocalić. Była wśród nich unikatowa bomba lotnicza. Mimo dobrej współpracy z WP i starań o to, aby bombę zachować w zbiorach muzeum, skala przedsięwzięcia i ryzyko związane z rozbrojeniem niebezpiecznego znaleziska spowodowały, iż ten ciekawy zabytek trzeba było wysadzić w powietrze.

Muzea duże i małe

Muzeów dokumentujących zmagania 1939 r. jest dziś w Polsce sporo. Wiele ma charakter izb pamięci, w których są prezentowane cenne artefakty związane z konkretnymi potyczkami i uczestnikami walk. Jedna z takich ekspozycji znajduje się na Żywiecczyźnie i jest poświęcona walkom o rygiel obronny „Węgierska Górka".

Co najważniejsze, przygotowano ją w jednym ze schronów bojowych („Wędrowiec"), o który od 2 do 3 września Niemcy i Polacy toczyli zażarte walki. Zginęło pięciu żołnierzy z 20-osobowej załogi. Warto zwrócić uwagę nie tylko na żołnierskie uzbrojenie i wyposażenie, lecz także na oryginalne wyposażenie schronu, w tym ambrazury (otwory strzelnicze) do armaty przeciwpancerne i ckm-y.

Najbardziej znaną placówką poświęconą kampanii 1939 r. jest Muzeum Ziemi Sochaczewskiej i Pola Bitwy nad Bzurą, którego twórcą jest Maciej Wojewoda. Jako wieloletni dyrektor muzeum nie tylko dokumentował zmagania na terenie ziemi sochaczewskiej, lecz także penetrował pobojowiska w poszukiwaniu ich materialnych śladów. Owoc jego pracy jest fenomenalny, a niemal każdy pokazywany tu zabytek ma kontekst, np. kurtka mundurowa szer. Bolesława Kasprzaka z wyraźnymi śladami po odłamkach, które raniły go podczas walk o wieś Ruszki. Zabytki broni i wyposażenia są pokryte wżerami po korozji, które akurat w tym wypadku nadają im dodatkowy walor historyczny.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Żołnierz fiński z pistoletem maszynowym Suomi KP/-31

FOT. FIŃSKIE ARCHIWUM FOTOFRAFII WOJENNEJ

XX w. / Mors i inne peemy

Bezsensowna broń

Tymoteusz Pawłowski

Pistolet maszynowy jest powszechnie rozpoznawalnym symbolem, często używanym w kulturze masowej. Jednak tak właściwie na tym jego rola się kończy, ponieważ wojskowa użyteczność peemów była – i jest – minimalna

Historia pistoletu maszynowego jest typowa dla europejskich wynalazków. Wymyślili go Włosi, a następnie pomysł ukradli Niemcy. I jak to Niemcy, nie wystarczało im samo przejęcie wynalazku. Nasi zachodni sąsiedzi dołożyli wszelkich starań propagandowych, by ukraść również pamięć o włoskich korzeniach pm-u. Patent na pistolet maszynowy przyznano w kwietniu 1914 r. – a więc zanim zaczęła się pierwsza wojna światowa – Bethelowi Revellemu, włoskiemu konstruktorowi broni strzeleckiej. Od kwietnia 1915 r. produkowano go pod nazwą Villar-Perosa, a w 1918 r. pojawiła się jego wersja znana jako Beretta 1918.

Zaletą pm-ów była ich niska cena, wynikająca z prostej konstrukcji. W karabinie lufa jest ciężka, zamek skomplikowany, iglica delikatna, mechanizm spustowy zbudowany niczym zegarek. Pistolet maszynowy używa amunicji pistoletowej, lżejszej i mniej energetycznej, więc lufa może być lekka, zamek jest prostym kawałkiem stali z wystającym trzpieniem pełniącym funkcję iglicy, a za spust może służyć zwykły haczyk. Pistolet maszynowy ma jednak również dużo wad: jego praktyczny zasięg ogranicza się do 100 metrów, jest niecelny, a przede wszystkim niebezpieczny dla… strzelca. Prostota urządzenia spustowego i zamka sprawia, że nie ma tam miejsca na zamontowanie bezpieczników.

Największą jednak wadą pistoletów maszynowych jest ich bezsensowność. Powstały, ponieważ istniała taka techniczna możliwość, ale nie było dla nich zastosowania. Kolejne dziesięciolecia to próby – od razu można dodać, że nieudane – znalezienia miejsca dla tej broni. Już początki były symptomatyczne: włoski Villar-Perosa był namiastką ciężkiego karabinu maszynowego, ale jako że koncepcja się nie sprawdziła, przebudowano go na karabin i w tej roli również się nie sprawdził.

Znaleźć cel

Potem było już tylko gorzej. Niemcy wykorzystali swoje MP18 w końcowym okresie Wielkiej Wojny jako broń grup szturmowych, których zadaniem było podejście do francuskich okopów i zasypanie ich pociskami. W teorii był to doskonały pomysł, ale w praktyce doprowadził do śmierci kwiatu niemieckiej młodzieży: Francuzi mieli bowiem o wiele bardziej skuteczne ręczne karabiny maszynowe Chauchat, i to właśnie rkm-y na nich wzorowane stały się później podstawową bronią piechoty.

W kolejnej wojnie światowej Niemcy znaleźli dla pm-ów inne zastosowanie. Nie używali rkm-ów z zasilaniem magazynkowym, lecz „uniwersalnych" karabinów maszynowych zasilanych taśmowo. Broń przenosił jeden żołnierz, a taśmę – inny. Wystarczyło, żeby taśmowy skręcił sobie nogę podczas zmiany stanowiska ogniowego i km był niezdat-

eprasa.pl 5608f5901c

ny do użytku. Z tego powodu w każdej niemieckiej drużynie musiał być pistolet maszynowy, aby dać czas obsłudze karabinu maszynowego na znalezienie kolejnej taśmy nabojowej. Dlatego też armia niemiecka z czasów drugiej wojny światowej kojarzy się z pistoletami maszynowymi.

Większość państw europejskich widziała jednak w pm-ach specyficzną broń policyjną, którą można było użyć w razie komunistycznego zamachu stanu, takiego jak w Hamburgu w 1923 r. czy rok później w Tallinie. W walkach miejskich pm-y sprawdziły się doskonale, służąc jako namiastka karabinów maszynowych. To właśnie wówczas zastosowano charakterystyczne magazynki bębnowe o dużej pojemności przydatne w działaniach policyjnych, ale zbyt ciężkie i skomplikowane, aby używało ich wojsko walczące w polu. Oczywiście nie przeszkodziło to Rosjanom w skopiowaniu pomysłu, i tak jak symbolem Wehrmachtu jest landser uzbrojony w MP 38, tak symbolem Armii Czerwonej jest sołdat z Pepeszą.

Polska policja w 1939 r. miała na uzbrojeniu sto kilkadziesiąt pistoletów maszynowych: w każdym województwie po kilkanaście sztuk. Były to głównie amerykańskie Thompsony – najbardziej bezsensowne spośród wszystkich pm-ów. Skonstruowano je na podstawie teorii, że tarcie między zamkiem a komorą zamkową zmniejsza się, gdy zmniejsza się ciśnienie w lufie. Według tej teorii zamek mógł być lekki, ale praktyka tego nie potwierdziła. Zamek musiał być ciężki, więc ciężki był również pm. Broń początkowo nie przyjęła się w amerykańskich siłach zbrojnych (przez 20 lat zamówienia były symboliczne); kupowała je natomiast policja, gangsterzy oraz Hollywood.

W wielu stanach USA noszenie pistoletów kieszonkowych bez specjalnego pozwolenia było niezgodne z prawem, można za to było otwarcie nosić broń myśliwską. Gangsterzy nosili więc strzelby, a jako że przed 1934 r. prawo federalne nie rozróżniało ich od pm-ów, najpopularniejszą gangsterską „strzelbą" był pm Thompsona.

Pistolet maszynowy Villar-Perosa M15

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ATIRADOR

Gangsterzy byli bohaterami filmów, więc Thompsony stały się popularnymi rekwizytami: podobno w magazynach w Hollywood było najwięcej pistoletów maszynowych na świecie. Ukoronowaniem bezsensownych działań Thompsona było sprzedanie rodzinnej firmy w 1939 r., tuż przed wybuchem wojny światowej, a więc tuż przed otrzymaniem olbrzymich zamówień od armii.

Na wojnie

Wojsko Polskie II Rzeczypospolitej nie było zbytnio zainteresowane pm-ami, ponieważ wiedziało, że nie są one za bardzo skuteczne. Były jednak modne, w związku z tym prowadzono nad nimi prace badawcze, które doprowadziły do powstania pistoletu maszynowego o kryptonimie Mors, co po łacinie oznacza śmierć. Konstruktorzy – Piotr Wilniewczyc i Jan Skrzypiński – zastosowali w nim wszelkie możliwe gadżety, chociażby automatykę ułatwiają wymianę magazynka, co sprawiło, że broń była duża, skomplikowana, kosztowna, a więc pozbawiona wszelkich zalet pistoletów maszynowych. I chociaż przed wrześniem 1939 r. wyprodukowano kilkadziesiąt egzemplarzy, których użyto w czasie wojny, to przyszłość miała należeć do nowego, małego, prostego, taniego PMD – pistoletu maszynowego dywersyjnego. To właśnie polski PMD powinien się znaleźć w rękach mjr. Hubala na naszej okładce (uzbrojenie go w pm Mors jest pewną hiperbolą). W rzeczywistości Oddział Wydzielony Wojska Polskiego nie potrzebował pistoletów maszynowych, był bowiem bardzo dobrze wyposażony w dużo lepszą broń: jak wspominał wachm. Józef Alicki, w marcu 1940 r. „co trzeci–czwarty żołnierz miał przewieszony przez plecy rkm".

Pistolet maszynowy Thompson-Campbell 1921

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HMAAG

W czasie drugiej wojny światowej pistolety maszynowe stały się bronią popularną, ale znów – z niewłaściwych powodów. Zarówno Brytyjczycy, jak i Rosjanie ponieśli olbrzymie straty w pierwszych walkach z Niemcami i nie byli później w stanie wyprodukować odpowiedniej liczby „prawdziwych" karabinów. Uzbroili więc swoje armie w tanie pistolety maszynowe: Steny i Pepesze. Nie była to dobra broń, ale jej następne warianty – Sterling oraz PPS – uchodzą do dziś za jedne najlepszych pm-ów świata.

Do tego grona można również zaliczyć izraelskie Uzi oraz szwedzkiego Kulsprutepistol m/45, zwanego powszechnie Carlem Gustafem. Uzi stał się symbolem wojen izraelsko-arabskich, głównie dlatego że był uzbrojeniem wojsk tyłowych, które mogli odwiedzać fotoreporterzy, w przeciwieństwie do formacji pierwszoliniowych, uzbrojonych w karabiny. Natomiast Carl Gustaf stał się sławny, ponieważ używały go państwa neutralne, często zaangażowane w misje pokojowe ONZ, a także US Army w Wietnamie, gdzie znano go jako Swedish-K. I to jest właśnie nisza, w której pistolety maszynowe sprawdzały się wojsku: zielone berety, oddziały specjalne, spadochroniarze itp.

W 1966 r. w Niemczech skonstruowano zupełnie nowy pistolet maszynowy, przyjęty do uzbrojenia Bundeswehry jako MP5. To broń mała, poręczna, bezpieczna, celna i bardzo przyjemna w strzelaniu, chociaż droga. Powszechnie uchodzi za najlepszy pistolet maszynowy świata. Co z tego, skoro nie zrobił kariery: w ciągu 60 lat wyprodukowano tyle sztuk, ile Sterlingów czy Carli Gustafów w ciągu sześciu lat. Gdy bowiem pojawił się MP5, na rynku był już dostępny amerykański karabin M16, prawdziwie rewolucyjna broń, która robiła wszystko to, co MP5, a także wiele innych rzeczy. I to był koniec pm-ów. Dziś praktycznie się ich nie produkuje, bowiem… nie mają sensu. Dziś służą głównie do rekreacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5608f5901c

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1872 ROKU W TARNOWIE JAN SZCZEPANIK BYŁ NIEZWYKLE WSZECHSTRONNYM WYNALAZCĄ, DZIAŁAJĄCYM W WIELU RÓŻNYCH DZIEDZINACH. Z TEGO TEŻ POWODU NAZYWANO GO „POLSKIM EDISONEM" ALBO „LEONARDEM DA VINCI Z GALICJI". ZACZYNAŁ OD BRANŻY FOTOGRAFICZNEJ I TKACKIEJ. DUŻY ROZGŁOS PRZYNIOSŁO MU OPRACOWANIE SKUTECZNEJ KAMIZELKI KULOODPORNEJ.

SZCZEPANIK ZMARŁ W 1926 ROKU, POZOSTAWIAJĄC PO SOBIE BOGATE ARCHIWUM I DOKUMENTACJĘ SWYCH LICZNYCH WYNALAZKÓW. MATERIAŁY TE ZGROMADZONE W MIESZKANIU W WARSZAWIE ZOSTAŁY W 1944 ROKU SPALONE Z ROZKAZU NIEMIECKICH WŁADZ OKUPACYJNYCH.

PRZYPADAJĄCA W TYM ROKU SETNA ROCZNICA ŚMIERCI JANA SZCZEPANIKA, STAŁA SIĘ OKAZJĄ DO PRZYPOMNIENIA DOKONAŃ TEGO WYBITNEGO WYNALAZCY.

Wyrzykowski & Jasiński 2026

eprasa.pl 5608f5901c

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA"

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych", a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych".

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

170 zł

oszczędność 44 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST. ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5608f5901c

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 5608f5901c